

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/90

1955



• *«La Culture»* • *Revue mensuelle* •

Cz. MIŁOSZ:

VALKA — CZYLI POZA CZASEM

A. UZIEMBŁO: **ROK 1905**

SPIS RZECZY

—	<i>Splacamy dom</i>	3
Czesław Miłosz :	<i>Valka — czyli poza czasem</i>	5
Józef Łobodowski :	<i>Odwiliż na mrozie</i>	19
Jerzy Horzelski :	<i>Współczesny klimat intelektualny</i> ..	27
Witold Gombrowicz :	<i>Fragmenty z dziennika</i>	37



Jerzy Pietrkiewicz :	<i>Dwadzieścia lat poezji</i>	47
----------------------	-------------------------------------	----



Czesław Miłosz :	<i>Dolina Issy (III)</i>	62
------------------	--------------------------------	----

SPRAWY KRAJOWE

Alfred Zauberman :	<i>Polska krajem niedoboru ludnościowego</i>	91
--------------------	--	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Czy „Wielki Brat” zastąpi Clausewitza</i>	96
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	104

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Adam Uziembło :	<i>1905</i>	109
-----------------	-------------------	-----

PRZEGLĄD NIEMIECKI

S.W. Kozłowski :	<i>Umowy paryskie</i>	120
Jan Kowalik :	<i>Polska w bibliografii powojennych Niemiec, 1945-1953 (c. d. 4)</i> ..	123

KRONIKA KULTURALNA

—	<i>Nagroda „Kultury”</i>	127
---	--------------------------------	-----

K S I A Ż K I

Paweł Hostowiec :	<i>Polska, Rosja i Zachód</i>	129
M. P. :	<i>Nowości poetyckie</i>	132
T. S. :	<i>Tworzywo Melchiora Wańkowicza</i> ..	135
W. Zal. :	<i>Pieniądz w Polsce Ludowej</i>	137
N. :	<i>Młody las</i>	140
(j) :	<i>Notatki wydawnicze</i>	143
(j) :	<i>Przegląd czasopism</i>	146
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	148



St. Śliwiński, Dr J. Pawlikowski, B. Pomian-Piatkowski, Z. Grabowski, W. K., Zbigniew Jasiński, Józef Czapski :	<i>Listy do Redakcji</i>	150
---	--------------------------------	-----



—	<i>Résumé en langue française</i>	159
—	<i>English Synopsis</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień-Avril

1955

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Jerzy HORZELSKI, ur. 1903 (Łódź). Studia: inżynierskie (mechanika), potem humanistyka (polonistyka i psychologia, Uniw. Warsz.). Przez wiele lat zawodowy dziennikarz w Warszawie. Od 1940 roku pracuje w wojennym przemyśle brytyjskim, potem w Min. P. i H. rządu emigracyjnego. Obecne zatrudnienie w Oxfordzie bez związku z poprzednią karierą zawodową lub wykształceniem.

Poza pracami ściśle naukowymi (głównie z zakresu psychologii) pisywał liczne sprawozdania i artykuły popularyzacyjno-naukowe, reportaże, eseje itp.

Alfred ZAUBERMAN urodził się w roku 1903. Komentuje w publicystyce zagadnienia gospodarstwa narodowego Polski i innych krajów Europy środkowej i wschodniej. Pracuje naukowo: w ostatnich kilku latach ogłosił w czasopiśmie uniwersyteckich Wielkiej Brytanii i USA szereg prac o teorii i polityce ekonomicznej w ZSSR.



P. 9786. Chm. Arch.

Imprimé en France

DALSZE WPLĄTY NA DOM "KULTURY"

Andrzej Chciuk, Queenscliff, Vic. (Australia)	2.000	fr.
Jacek Bielański, Los Angeles, California (USA)	1.750	"
Andrzej Bielański, Los Angeles, California (USA)	1.750	"
Jerzy Krzecunowicz, Addis Ababa (Ethiopia)	1.000	"
Anonimowo, Montreal (Kanada)	3.500	"
Aleksandra Stadnik, Syracuse, N. Y. (USA)	700	"
Alina Jocz, Syracuse, N. Y. (USA)	1.000	"
Jerzy Wallas, Johannesburg (Afryka Poł.)	2.000	"
Angela Dulovich, Chicago (USA)	6.125	"
Ks. George Klimas, Saginaw, Mich. (USA)	7.000	"
Kazimierz Trojanowski, Detroit, Mich. (USA)	1.750	"
Julian Godlewski, Zürich (Szwajcaria)	200.000	"
M. P., Paryż	300	"
Kazimierz Bezubik, Woodville North (Australia)	2.000	"
Dr Wacław i Aleksandra Soroka, New York (USA)	3.500	"
Feliks Szczupski, Sandbury, Ont. (Kanada)	1.750	"
Stanisław Makuch, Bronte, Ont. (Kanada)	3.500	"
Wiktor Stanisławski, Culiacan, Sin. (Meksyk)	3.500	"
Marek Maus, Meksyk	3.500	"
Borys Sheiman, Meksyk	3.500	"
Zygmunt Reisbaum, Meksyk	3.500	"
Józef Pokorny, Montreal (Kanada), dodatkowo	1.500	"
Bezimienne (Wenezuela)	3.000	"
Jerzy Giżycki, Toronto (Kanada)	1.000	"
J. Truchan, Wellandport, Ont. (Kanada)	1.000	"
Dr Roman Turowski, Pto. Cabello (Wenezuela)	5.250	"
Jan i Halina Prot, Hitchin, Herts (Anglia)	1.000	"
J. Kaźmierczak, Chicago (USA)	1.750	"
Zbigniew Kruszewski, Chicago (USA)	350	"
B. i H. S., Melbourne (Australia)	6.000	"
deklarując tę samą sumę na lata następne.		
Stanisława Rayska, Londyn	1.000	"
Z. Savan (USA)	350	"
Karol Schoen, Ciudad Bolivar (Wenezuela)	4.200	"
Jerzy Patykiewicz, Chicago (USA)	1.000	"
Lucjan Kupferwasser, Chicago (USA)	3.500	"
Bernard Ziffer, New York	1.000	"

Irena Ziemińska, North Easton, Mass. (USA)	4.200 fr.
Księgarnia Polska w Monachium — St. Mikiciuk	1.000 "
Zarząd Samodzielnego Oddziału Koła A.K. w Niemczech — prezes mgr J. Jar-Łańcucki	850 "
Zarząd Oddziału Związku Inwalidów Wojennych P.S.Z. w Niemczech — prezes mgr J. Jar-Łańcucki	850 "
R. Kenny, Scarborough, Ont. (Kanada)	7.000 "
Zebrane w Melbourne (Australia): bezimiennie: 10 sh., be- zimiennie: £1.10.00, L. Jazdrzewski: £1., A. Mądrzak: £1., R. Nojman: £1., bezimiennie: £1., bezimiennie: £1., bezimiennie: 10 sh., i bezimiennie: £2.10.00; ra- zem funtów australijskich	£10.00.00
W. Paciorekowska, Melbourne (Australia)	800 fr.
S., Sandane (Norwegia)	500 "
E. I., Bruksela (Belgia)	820 "
Adam Uziembło, Paryż	4.900 "
Władysław Wolski, Paryż	2.450 "
Dr F. Kaluza, Pretoria (Afr. Pol.)	2.700 "
Stanisław Stelmach, New Britain, Conn.	1.000 "
E. Hemmerling, Newark, N. Y. (USA)	1.750 "
Z. Nowak, Paryż	2.000 "
Jan Bołtuć, Cleveland, Ohio (USA)	1.000 "

Kolonia polska w Brazylii przekazała na ręce naszej przedstawicielki w Rio de Janeiro dalsze wpłaty: Z. Arnd — 200 crs, V. Biliński — 500 crs, K. Barciński — 500 crs, S. Barciński — 250 crs, G. Brzeski — 500 crs, J. Chmielewski — 500 crs, M. Czerewko — 200 crs, H. Ewigheit — 500 crs, A. Gniewosz — 200 crs, E. Gardoliński — 1.000 crs, S. Gorian — 500 crs, A. Jonas — 200 crs, W. Janin — 150 crs, K. Kowalewska — 200 crs, K. Kaciukiewicz — 500 crs, A. Kozłowski — 1.000 crs, H. Lekszczyka — 250 crs, S. Melville — 500 crs, J. Mirel — 200 crs, S. Nodari — 500 crs, T. Pfeifer — 500 crs, J. Pawelkiewicz — 500 crs, F. Rokicki — 500 crs, G. Szereszewski — 1.000 crs, L. Schubert — 300 crs, H. Szule — 250 crs, T. Skowroński — 500 crs, J. Targowski — 200 crs, A. Vamosz — 500 crs, M. Yohn — 100 crs, A. Polakiewicz — 2.000 crs, czyli ogółem kwotę 14.700 crs.

DZIEKUJEMY.

Valka - czyli poza czasem

W pierwszych dniach lutego 1955 odbyłem kilkudniową podróż do Niemiec. Chcę przedstawić w sposób możliwie zwięzły cel i wyniki mego tam pobytu.

Posłużę się zamiast wstępu wspomnieniem z lektury. Wielu ludzi czytało w dzieciństwie „Chatę Wujka Toma”. Sympatia ich zwracała się ku biednym niewolnikom nie ku plantatorom. Możliwe, że wśród właścicieli niewolników były cnotliwe panienki i zacięni panowie, a wśród Murzynów niejedną miał skłonnośći zbrodnicze, ale to nie zmieniało wyraźnego podziału na tych co cierpią i tych co są skażeni zadawaniem cierpień.

„Chata Wujka Toma” należy do przeszłości. Jednak w XX-ym wieku ilość sytuacji niewolniczych jest olbrzymia. Nie zmniejszają jej wcale pretensje państw, które są skłonne uważać obywateli za swoją własność. Państwa te, nawet wrogo względem siebie usposobione, wykazują pewną wzajemną lojalność tam gdzie chodzi o uszanowanie cudzych praw do materiału ludzkiego. Znamy dość dobrze okoliczności, w których wydawano masowo zbiegów, albo zamykano ich — jako element niepewny, co równało się karze za ucieczkę spod systemu, choć ten (jak np. w wypadku Żydów) groził śmiercią.

Jest jasne, że zmierzam do tzw. problemu uchodźców. Nie jest to dla mnie problem polityczny. Ma on aspekty polityczne — i jak jeszcze, wyrasta przeciw z polityki. Rzecz się przedstawia jednak inaczej, kiedy patrzy się na poszczególnego człowieka, czy też na masę jako na zbiorowisko poszczególnych ludzi, z nieskończoną komplikacją ich losów. Wtedy co chce się powiedzieć, to przede wszystkim to: „człowieka nie wolno marnować”. Piękna zasada, z którą wszyscy się zgodzą. Rozbieżności pojawiają się kiedy chce się coś zrobić w praktyce.

Istnieje Deklaracja Praw Człowieka. Nic o niej nie wiem — niech zajmują się nią specjaliści. Istnieje z kilka tuzinów organizacji międzynarodowych niosących pomoc uchodźcom, są biura studiów, Wysoki Komisarz od Spraw Uchodźców w Genewie,

jest Magna Karta uchodźców, uchwalona w roku 1951. Wszystko to zostawiam na razie na boku. Celem mojej podróży do Niemiec było przekonać się jak to wygląda w najbardziej przyziemnej rzeczywistości. Niech to będzie spojrzenie naiwne, a nawet głupie (tylko głupiec mówi to co widzi). To też czasem bywa potrzebne.



Niemcy Zachodnie mają dużo kłopotów z napływem uchodźców z Niemiec Wschodnich. Władze filtrują przybywających starannie i stosują surowe kryteria przy udzielaniu statusu uchodźcy politycznego. Prawdopodobnie działa tutaj mniej — przy obecnym rozpędzie ekonomicznym — obawa przeciążenia rynku pracy, a więcej obawa przed przenikaniem „elementów niepożądanych” czy też agentów. Dołącza się i inny wzgląd, całkiem poważnie, jak mi mówiono, brany pod uwagę, przez niemieckie osobistości: perspektywa wyludnienia się Niemiec Wschodnich przez ten ciągły upust krwi jest dla nich mało pożądana, jeżeli tamte ziemie są bądź co bądź częścią ich ojczyzny. Występuje też zjawisko ruchu w kierunku odwrotnym. Wyraża się on (to powtarzam na odpowiedzialność moich rozmówców) ostatnio proporcją 1:4 na korzyść Zachodu. Kto są ci, co uciekają na Wschód? 1) ci co szukają ucieczki dla swoich ambicji politycznych; 2) „rozczarowani”; 3) wysłannicy, którzy wracają po spełnieniu „zadań”. Ten obraz mówi wiele o powikłaniach, jakie rozplątywać muszą odpowiednie władze. Cały problem uchodźców niemieckich zamyka się jednak jeżeli nie w granicach, to na obszarze jednego kraju, przeciętego granicą.

Ale Niemcy są jedyną drogą dla uchodźców z Polski, z Czechosłowacji i z szeregu innych krajów Europy Wschodniej jeżeli wyłączyć ucieczki statkiem czy samolotem. Są oni w bez porównania gorszej sytuacji niż ich niemieccy koledzy, zmieniający tylko system nie kraj. Zważywszy na zdecydowany brak uczuć progermańskich w Europie Środkowo-Wschodniej, traktują oni Niemcy Zachodnie jako kraj tranzytu. W jakim stopniu im się to udaje i co ich spotyka? Oto dlaczego warto za Ren pojechać.



Pozycja moralna uchodźcy — niezależnie od jego motywów — jest bardzo zła. Państwo, do którego przynależy uważa uchodźcę za ciężkie przestępstwo i ten fakt, poprzez dziwną zaraźliwość pojęć, wpływa na opinię o nim tych, u których szuka schronienia. Pomijając już, że dogrzebują się oni w nim przede wszystkim agenta, uraża ich niejako jego bunt przeciwko władzy, jakkolwiek by była (jest w tym może cień przekonania, że „wszelka władza pochodzi od Boga”). Ujął to dając podbudowę socjologiczną, pewien dość wysoki urzędnik amerykański. „Element ludzki, który przychodzi do nas ze wschodu — mówi —

jest nędzny. Człowiek, który ucieka, składa dowód, że nie znalazł miejsca w swoim społeczeństwie. Czyli jest osobnikiem niezaadaptowanym i można przypuścić, że w kraju osiedlenia będzie również fermentem niepokoju”. To zdanie, wypowiedziane w prywatnej (nie ze mną) rozmowie różni się oczywiście od wielko-gębnych oświadczeń, składanych z publicznej trybuny, ale dość logicznie prezentuje punkt widzenia państw, które — choćby się nienawidziły — zawsze ponad głową człowieka mają swoje mrugnięcia.

Zbiegowie naprawdę nie są jednak na ogół ani kryminalistami, ani aniołami. Są to po prostu ludzie niemniej chyba wariaci od tego dostojnego męża, który swoją karierę zawdzięcza mówieniu zawsze „tak”, a nigdy „nie”. Słuchałem ich opowieści w pewnych barakach, o których zaraz opowiem obszerniej, a które przypominają baraki Annopola pod przedwojenną Warszawą. Często tym relacjom towarzyszyło nerwowe skręcanie bibułki, z której wysypywał się tytoń, albo wyciąganie stawów w palcach i powtarzanie się pytanie: „Co robić?”.

Jakie są najczęstsze motywy ucieczki? Myliłby się kto by chciał je sprowadzić do wspólnego mianownika. Najczęściej następuje splót — ogólnego tła z osobistymi okolicznościami, nie raz jeden szczegół wystarcza, przysłowiowa ostatnia kropka. To ogólne jest nacechowane jak wiadomo szaryzną i dużą dozą apatii. Radio zagraniczne wabi barwą, świeżością, czymś innym. Prasa krajowa, kłamiąc za dużo i opluwając bez ustanku Zachód, nie budzi zaufania, nie wierzy się jej i wtedy kiedy zdarza się jej mówić prawdę. Młody chłopak postanawia zakosztować świata, wolności, przygód. Przed wojną objechałby na gapę, pracując to tu to ówdzie, całą Europę i nikt by go nie uważał za zbrodniarza. To jedna kategoria: tych których ciągnie nieznane. Druga kategoria (zwindne podziały) to ci, u których niechęć do systemu przeważa nad urokiem rzeczy zakazanej. Należeliby tu „wrogowie wewnętrzni” czy też po prostu wszyscy, którym ta czy inna strona ustroju szczególnie dawała się we znaki; także — bo tacy też się zdarzają — starsi, którzy przeszli przez rosyjskie więzienia i odtąd długo szukali okazji. Wreszcie ci, którym policja deptała po piętach. „Żądają tu żeby przedstawił dowód, że groziło mi aresztowanie — mówi czeski student. — Kto w takiej chwili o tym myśli? Jaki dowód? List U.D.B.A. miała do mnie napisać? „Władze, od których zależy uchodźca, rozumują według schematu: ucisk — ruch oporu. Gubią się kiedy nie ma podziału na czarne i białe. Taki podział jest oczywiście bardzo starożytny i świadczy o zupełnej nieznajomości mechanizmu życia w krajach na wschód od Elby. Niektóre tylko wypadki dają się względnie łatwo zakwalifikować — na przykład jednym z częstych powodów emigracji młodych Niemców jest nacisk wywierany na nich, aby stali się „obserwatorami” policji politycznej, składając raporty o swoich kolegach. Wywołuje to ostre konflikty również u tych co uważają się za dobrych komunistów. W każdym razie i tutaj „pod-

pada się" policji politycznej nie dlatego, że bierze się udział w „grupach oporu”. Natomiast rozważając większość tych przynależności przenika się w zawile dzieje jednostek, wtrąconych w zawiłości historii ostatnich czasów.

Czterdziestoletnia kobieta, Polka. Pracowała jako księgowa w fabryce. Aresztowana i skazana na 3 i pół lat więzienia oraz dwuletnie pozbawienie praw za „sabotaż gospodarczy”. W tym pojęciu można zamknąć co kto chce: począwszy od nieudolności, kończąc na kradzieży. Zwykle jednak wpada się przez „sitwę” — ta jest niemal nie do uniknięcia w ustroju kolektywnym, kryje się kogoś, ktoś was kryje i wyspa. Skazanie na trzy lata więzienia wystarczy, aby małżonek skazanego uzyskał rozwód. Mąż kobiety skorzystał z tego prawa. Odsiedziała karę — wyszła. Trzeba z czegoś żyć, a nie mogła nigdzie dostać pracy, bano się ją przyjąć. Pracowała ukradkiem — natomiast brak oficjalnego zatrudnienia jest karalny (przestępstwo „bumelanctwa”). Była samotna, znalazła mężczyznę. Ten w czasie wojny służył w wojsku w Anglii. Wrócił w 1948 roku. Aresztowano go w roku 1949 pod zarzutem szpiegostwa. Przesiedział się, wypuszczono go bez procesu. Był jednak pod ciągłą obserwacją, bez ustanku U.B. składało mu wizyty. Dostał zakaz pobytu w mieście gdzie mieszkali (było to na Wybrzeżu). Zdecydowali się wreszcie, że nie pozostaje nic innego jak uciekać. Niech na tym przykładzie ktoś spróbuje oddzielić „polityczne” przyczyny od „niepolitycznych”. Nie uda mu się to. Dlatego właśnie wszelkie podziały kategorii w zastosowaniu do tych spraw noszą piętno abstrakcji.

Dalekie ogniwa łańcucha przyczyn i skutków prowadzą często daleko w przeszłość, w lata wojny. Na przykład u Jugosłowian (ci najczęściej przez Austrię przekradają się do Niemiec), są bardzo żywe pozostałości walk bratobójczych — Michajłowicz — Tito, Kroaci — Serbowie. Stąd u zbiegów skargi na dyskryminację w uposażeniu, w społecznym awansie stosowaną do tych co byli „po niewłaściwej stronie”. Polityczne względy? Gospodarcze? Głód nowego i niezależności? Bądź tu mądry.

Jedno trzeba stwierdzić: rzeczywistych motywów żaden ze zbiegów, niezależnie od tego jakiej jest narodowości, nie potrafi gładko wyluszczyć, słowa jakich używa pozostają na zewnątrz tego co czuje. Gdyż sięgamy tutaj w strefę doświadczenia nierozporządzającego językiem, a byłoby całkiem fałszywe wyobrażać sobie, że człowiek który tylko wzrusza ramionami i uśmiecha się, jest piernikiem.



Moim zadaniem jest obrona tych co nie mają adwokata. Zadanie trudne. Temat nie nadaje się do układania patetycznej mowy, jak przy faktach jaskrawych i jednoznacznych. W co doświadczenia się zbiegowie, przypomina raczej mnóstwo pajęczyn, w których bzykają muchy. Nawet wyliczając te pajęczyny natykamy

się na nieokreśloność, ruchomość, jest to jak błądzić w dziwnym labiryncie.

Rozsądny i ostrożny obserwator zastanowi się, wycofa się na palcach i powie, że nic się tu nie potrafi pomóc. Pułapki, jakie czatują na zbiegów są wynikiem „zimnej wojny”, ci co je stawiają mają niewątpliwie swoje racje. Trzeba pewnej lekko-myślności — i wysiłku wyobraźni — żeby o tych wyższych i niższych racjach na chwilę zapomnieć i brać pod uwagę tylko interes uchodźcy.

Wczujmy się więc w młodego Polaka czy Czecha, utożsammy się niejako z nim, aż do klucia kilkudniowego zarostu kiedy przeciąga sobie ręką po twarzy. Odnotujmy, że nie jest on świadomy perypetii jakie go czekają — o Zachodzie, na którym się znalazł, ma wiedzę mglistą, wysiłkowi, na jaki się zdobył, towarzyszyła wiara, że byle się wydostać wszystko się dobrze ułoży. Wysiłek jest zresztą często olbrzymi — uciekają na osiach wagonów, w wagonach-chłodniach (zamarzając na śmierć po drodze) itd.

Powszechnie wiadomo, że Niemcy Zachodnie i Berlin są pokryte siecią wywiadów: amerykańskich, brytyjskich, francuskich, niemieckich, plus zapewne dziesiątki innych. Pierwszy etap zbiega to przesłuchania. Urzędniczy wywiady starają się z niego wypompować jak najwięcej informacji. Przypuszczalnie wiele tu zależy od rodzaju służby czy kalibru ludzi, na których trafi. Niemniej powstaje tu dla niego od razu poważne zagadnienie moralne: kolizja pomiędzy przywiązaniem do własnego kraju i wrogością do rządu, który w jego kraju sprawuje władzę. Potwierdził to technik jugosłowiański, z którym rozmawiałem: „wypytywali mnie o fabryki. Powiedziałem, że jestem przeciwnikiem Titę, ale to są nasze, jugosłowiańskie fabryki i nie będę dawać o nich informacji”. „I co?” „Nic. Nawet to im się podobało”. (Pytanie czy zawsze się podoba.)

Jeżeli zbieg nie jest podejrzany i ma kwalifikacje, wywiady starają się go zwerbować do współpracy. Z chwilą gdy im się to uda nasze zainteresowanie i kompetencje tutaj się kończą. Istotne byłoby ustalić jakie presje mogą go skłonić. Te wydają się nie tylko zewnętrzne (osobnik bez kraju i na razie bez azylu), ale również psychologiczne, mające źródło w nim samym: potrzeba przynależenia do jakiejś grupy (jest przeraźliwie samotny), robienia czegoś, zamiłowanie do przygody, do odgrywania romantycznej roli. Nie należy też pomijać przekonań politycznych ani chęci zysku, czy prościej konieczności życiowych. Przyszłość młodzieńca jest, w razie zgody, chyba ciemna, skoro się weźmie pod uwagę, że schodzi on w istocie w „underworld” i staje się podejrzany dla szeregu władz imigracyjnych z istoty swego zawodu („jeżeli mógł pracować dla nas, to również dobrze może pracować dla drugiej strony”).

Z zasady władze okupacyjne muszą przekazać uchodźcę władzom niemieckim, które jedynie są powołane do udzielenia mu azylu. Przy opiece ze strony takich czy innych instytucji wojsko-

wych (co zakłada że jest dla nich interesujący, czy potrzebny) zyskuje ich poparcie i ułatwienia. Jeżeli jest natomiast zwykłym śmiertelnikiem, zostaje odesłany do niemieckiego obozu Valka.

Obóz Valka położony jest o kilkanaście kilometrów od Norymbergi, tuż przy stadionie sportowym, na którym odbywały się słynne hitlerowskie Parteitage. Składa się z baraków, stojących na płaskiej wydmy i gdyby go otoczyć drutem, tudzież wieżyczkami strażniczymi byłby zwykłym obozem koncentracyjnym. Tylko jedna jego część jest ogrodzona murem z prętami gotowymi do założenia na nich kolczastego drutu. Wewnątrz, w rzędzie gęsto stłoczonych baraków — błoto, bez śladu roślinności. Brama nie jest zamknięta — jakkolwiek krążyły wieści, że ma być zamknięta; możliwe, że podnoszony od czasu do czasu wrzask w prasie międzynarodowej wywiera wpływ hamujący. Valka to również murowane domki, w których mieszkają starzy Dipisi, ci co ugrzęźli w Niemczech i żyją ze skąpych zasiłków i z paczek. Cały ten obszar smutnego, brudnego osiedla ma coś w rodzaju ulic, parę sklepów i kantynę, gdzie wieczorem mieszkańcy zalewają robaka najtańszym śmierzącym winem, co prowadzi do wrzasków i załatwiania porachunków nożami. Umorusane dzieci snują się w szarzyźnie zimowego dnia, mówią po polsku. Kobieta pcha wózek dziecinny, podchodzi inna, rozmawiają po ukraińsku, to znów słyszy się czeski, serbo-kroacki.

Sława Valki jest w sąsiedniej Norymberdze dobrze ugruntowana. Jeżeli zdarzy się kradzież, czy morderstwo, prasa ma okazję rozpisywać się o Valce, słusznie czy niesłusznie. Oczywiście, że nędza rodzi zbrodnie i oczywiście, że każdy trafiając do Valki zyskuje piętno potencjalnego przestępcy.

Baraki mają ściany cienkie przez które gwiżdże wiatr. Każdy z nich: korytarz, z obu stron małe izby na dwie albo trzy osoby (żelazne łóżka, w niektórych są piętrowe). Piecyk albo kuchenka. Kibel. Mieszkańcy otrzymują po 25 kg. węgla na 10 dni. Urządzeń kąpielowych nie ma. Ściany oblepia się gazetami, żeby nie wiało.

Co do wyżywienia, zaczniemy od śniadania. Co dają? Wybuch śmiechu. „Kawę. Ale to dla nas zawcześnie. Nikomu iść się nie chce”. Wszyscy wstają późno: snem starają się zwyciężyć bezsensowność upływającego w pustce czasu. Pewien młody Czech przez dwa lata nie podnosił się z łóżka: nie ma po co. Gdyż istotą tego zawieszenia między niebem a ziemią jest bezczynność: są to ci, którzy nie mają prawa pracować.

Obiad i kolacja dostarczają trudnej do ustalenia ilości kalorii (mówiono o 1.300) jeżeli się te kalorie zje, co wymaga samodyscypliny: zupa, kluski i plasterki konserwowej kielbasy mają (próbowałem) wstrętny odór, dziwaczny, jakby były zrobione z metalu.

Na kieszonkowe wydatki dostaje się 13 i pół marek miesięcznie. Przejazd do Norymbergi kosztuje markę. (Wolno tam

jeździć, nie wolno pracować.) Celowość takich wypraw jest jednak wątpliwa.

Żeby dopełnić obrazu, trzeba wspomnieć o instytucjach duchowej pomocy czy opieki. Jest w Valce kilka drewnianych kaplic, w „barakowym stylu”, różnych wyznań. Jest kilka biur instytucji takich jak International Rescue Committee, YMCA, National Catholic Welfare Committee. Ich działalność musi, siłą rzeczy, ograniczać się jednak do pisania podań czy rozdawania paczek swoim podopiecznym. Ich znaczenie psychologiczne jest pewnie znaczne (kontakt z szerszym światem), ale nie zdolają one przełamać murów administracyjno-ustawowych; poruszają się w ramach legalności.

Mieszkańcy baraków w Valce są to ci, co czekają. Wielu co prawda już nie czeka: „żelazny kapitał” stanowi fantastyczną zbieraninę ludzka, pozbawiona jakichkolwiek szans. Są to Arabowie, co bili się po stronie Niemiec; węgierscy SS; zbiegowie z francuskiej Legii; uciekinierzy z Włoch czy z Francji, których status prawny pogmatwał się beznadziejnie. W tę kolekcję pakuje się zbiegów z Europy Środkowo-Wschodniej. Ci czekają. O ich losie decyduje komisja niemiecka, urzędująca w tejże samej Valce — organ, którego wyrok obowiązuje na terenie całej Republiki Federalnej.

O co chodzi? O papiererek, który wielu czytającym ten artykuł, wyda się niezbyt wygodnym, ale oczywistym minimum, a który dla obywateli Valki (bo jak ich inaczej nazwać) jest nieosiągalnym szczęściem. O status polityczny uchodźcy. Oznacza on: prawo do posiadania dowodu tożsamości, do poruszania się i do szukania (nie otrzymania oczywiście, ale i to dużo) pracy.

Istnieją kraje gdzie taki status przyznaje się niemal automatycznie na podstawie kilku zasad zdrowego rozsądku. Niemcy są jednak pedantyczni. Ponieważ Federalna Republika podpisała Konwencję Genewską z 25 lipca 1951, wykonują jej postanowienia ściśle, to znaczy stosując interpretację jak najbardziej zważającą.

Definicja uchodźcy politycznego w Konwencji budzi podejrzenie, że jej autorzy poruszali się we wzniostych sferach Ducha i nie przewidzieli zamętu jaki spowodować może niedokładność terminów, będąca zresztą odbiciem ich przyzwyczajenia z ubiegłego wieku. Definicja brzmi:

Osoba, która „w wyniku wypadków jakie zaszły przed 1-szym stycznia 1951 i wskutek dobrze uzasadnionej obawy prześladowań z przyczyny rasy, narodowości, przynależności do grupy społecznej, czy swoich poglądów politycznych, jest poza krajem swojego obywatelstwa i jest niezdolna czy, wskutek takiej obawy, nie chce, uciec się pod opiekę tego kraju; albo która, nie mając obywatelstwa i przebywając poza krajem swego stałego zamieszkania w wyniku takich wypadków, jest niezdolna, czy, wskutek takiej obawy, nie chce do niego powrócić.

Kto stosuje ten paragraf zgodnie z intencją ustawodawcy, zaliczy do uchodźców wszystkich zbiegów wyłączając jedynie tych, którzy popełnili zbrodnie, karalne według wszystkich kodeksów. Co prawda Konwencja przysporzy mu kłopotu wspominając tylko o „poważnej nie-politycznej zbrodni” (poza klauzulą o wyłączeniu przestępców wojennych); w krajach gdzie wszystko ma charakter polityczny i gdzie przestępstwo rzadko jest „neutralne”, niełatwo ustalić co jest taką „poważną nie-polityczną zbrodnią” (chyba morderstwo z zazdrości). Mniejsza zresztą o to.

Jak natomiast postępuje ten, komu wygodniej jest stosować wykładnię stricte? Będzie zmierzał do wyłączenia wszystkich, którzy:

- 1) nie mieli dobrze uzasadnionej obawy prześladowań;
- 2) obawiali się prześladowań, ale z innych przyczyn niż wymienione w paragrafie.

Młody zbieg zeznaje przed komisją. Myśl, że jego los będzie zależał od władz Federalnej Republiki nie powstała mu w głowie. W Polsce czy Czechosłowacji ucieka się „do Amerykanów”. Brak wiadomości o „drodze urzędowej” jest — to trzeba podkreślić — zupełny. Czesi, z którymi rozmawiałem, obwiniają o to radia zachodnie. Zbieg nie wie też do czego pytania komisji dążą, jaki w nich kryje się kruczek.

— Dlaczego uciekł?

— Bo chciałem wolności.

— Czy groziło mu aresztowanie?

— Eee nie, po prostu miałem dosyć.

Pióra skrzypią. Wkopał się na zawsze. I nic już tego protokołu nie odrobi.

Wyobraźmy sobie inne zeznanie.

— Dlaczego uciekł?

— Bo mnie szukali, żeby aresztować.

— Dlaczego aresztować?

— Jestem dentystą. Chcieli mnie posadzić za to, że wprawiałem złote zęby, co u nas jest zabronione.

Czy to obawa prześladowań z przyczyny rasy, narodowości, przynależności do grupy społecznej, czy poglądów politycznych? Nie. Wkopany.

Co więcej, jeżeli petent bał się aresztowania, powinien to udowodnić. Jak udowodnić? Niech się sam o to martwi. Jeżeli był w służbie czynnej wojskowej komisja może go wyłączyć (co się zdarza) na tej podstawie, że dezercja według międzynarodowego prawa karnego jest zbrodnią.

Odrzuceni przez komisję są zapisywani do rubryki „zbiegów z przyczyn ekonomicznych”. Trafiają do niej na przykład ci, którzy twierdzą, że są przeciwnikami komunizmu i dlatego uciekli, choć nic im bezpośrednio nie zagrażało.

Na poparcie prawdziwości tych danych wystarczy podać jeden casus. Dwóch braci, obaj marynarze na polskich statkach

handlowych, umówiło się, że zjedzą na ląd przy pierwszej okazji. Statek jednego zawinął do Stockholmu. Władze szwedzkie uznały marynarza za uchodźcę i udzieliły mu azylu. Statek drugiego zawinął do Hamburga. Komisja w Valce odrzuciła jego prośbę. Oto dosłowny tekst jej orzeczenia:

Bundesdienststelle Az. 15720/Pol. 287 Nuernb. A. 9. 1954

..... Beschluss.

Der Antrag des Herrn geb. am. in auf Anerkennung als auslaendischer Fluechtlng wird abgelehnt.

Gruende:

Des Antragsteller fuhr als Matrose auf einem polnischen Dampfer. Als dieser in Hamburg anlegte, benutzte Herr die Gelegenheit und fluechtete am 28. 2. 1952 vom Schiff. Wie er angibt, wurde er hierzu veranlasst, weil er des kommunistischen Systems in seiner Heimat ueberdruessig war. Seitdem befindet er sich in der Deutschen Bundesrepublik.

Der Antragsteller hat weder angegeben, dass er politischen Verfolgungen ausgesetzt gewesen war, noch solche fuer die Zukunft zu fuerchten gehabt hatte. Er ist lediglich deshalb in Hamburg von Bord gegangen, weil ihm das kommunistische Regime in Polen nicht zusagte. Dieser Fluchtgrund entspricht nicht den Voraussetzungen, die in Artikel 1 A, Ziffer 2 des Abkommens ueber Fluechtlng vom 28. 7. 1951 fuer die Anerkennung als auslaendischer Fluechtlng gefordert werden. Demzufolge musste der Antrag des Herrn abgelehnt werden. Gegen diesen Beschluss steht Herr gemass (-) 15 der Asylverordnung das Rechtsmittel der Beschwerde zu. Dieses Rechtsmittel muss innerhalb von 14 Tagen, gerechnet vom Tage der Zustellung ab, schriftlich bei dem Beschwerdeausschuss eingegangen oder muendlich zu Protokoll vor dem Beschwerdeausschuss erklart worden sein.

Der Anerkennungsausschuss:

gez. Unterschriften.

Ausgefertigt: Duoe.

Konsekwencja zaliczenia do „ekonomicznych” czy odmowy: Valka, albo inny podobny obóz, z dużym prawdopodobieństwem, że dożywotnio. Zauważmy, że wyrok ma moc wiążącą dla wszystkich krajów, bo decyduje tutaj pierwszy kraj, w którym zbieg się znalazł po opuszczeniu ojczyzny. Po wyroku negatywnym pozostaje tylko nadzieja na wizy za ocean, co jest kwestią lat nie miesięcy. Polacy mogą liczyć na zaciąg do Polskich Kompanii Wartowniczych w Niemczech, co zresztą też napotyka na bardzo duże przeszkody.

Od orzeczenia komisji przysługuje odwołanie do wyższej instancji, która ma swoją siedzibę również w Valce. Ani komisja niższa ani wyższa nie śpieszą się. Można czekać na decyzję parę lat. A procent decyzji pozytywnych jest minimalny.

Wniosek jaki się nasuwa: im prawdziwiej w zeznaniach człowiek opowiada swoje dzieje, tym większe jest prawdopodobieństwo, że złapie się na haczyk prawny, albo zapłacze się w szczegółach (komisja chętnie wyłapuje sprzeczności). Bo rzeczywistość jest zwykle paradoksalna, zaskakująca, fantastyczna — tylko wymyślone historie są jasne. Stąd krzywdą dla

prawdopodobnych, a premia dla tych co przychodzą z relacją z góry, dla takich czy innych celów, skonstruowaną.



Przyjrzyjmy się komisji. Jej biura w budynkach Valki zajmują wiele pokoi. W swojej zasadniczej niechęci do przyznawania statusu uchodźcy kieruje się ona zapewne zasadą: „Mamy dość swoich”. Jeżeli jest powolna, tłumaczy się to zapewne zwykłą walką o życie. Biurokraci muszą zaurzędować na swoich papierkach i stworzyć pozór, że uginają się pod nawałem pracy, że są niezbędni; szybkie załatwianie spraw groziłoby ich posadom. Nie są to może posady znakomite, ale warto się ich trzymać, zwłaszcza, że, jak się szeptem, Republika Federalna wysyła tu tych, co obijają się i nie mają innego zastosowania.

Wysokie osobistości komisji są to aktywni niegdyś Nazi. Patrzą oni z melancholią przez okna na pobliski stadion, gdzie maszerowali z podniesioną dłonią w uroczystościach NSDAP. Może się zdarzyć, że zbieg z Polski rozpozna wśród nich swego znajomego: p. von Panvitz był w latach wojny gauleiterem Instytutu Rolnego w Puławach i jako taki rozporządza „znajomością Wschodu”. Językiem, którym najłatwiej porozumieć się z władzami obozu jest czeski: Niemcy z Sudetów.

Pohitlerowski garnitur jest widocznie potrzebny, żeby Wolność ukazała zbiegom oblicze jakie jej przystoi. Formalnie nic tu nie można zarzucić. Nominacja urzędników jest wewnętrzną sprawą Niemiec i przypomniawszy sobie liczbę Parteigenossen wśród kadr urzędniczych nie będziemy oczekiwać, że wszyscy znajdą zatrudnienie na poczcie lub w skarbowości. Polacy w Valce, mniej formalistycznie usposobieni, krzywią usta w gorzkim uśmiechu i składowi komisji przypisują swój, jak oceniają, całkowity brak szans. Krewa, bracie.



„Smród i ubóstwo” — to określenie jednego z Polaków ujmuje istotę Valki. Zajawszy się nieco jej mieszkańcami ustalimy wkrótce, z pewnym przybliżeniem, że powodzenie zbiega jest wprost proporcjonalne do stanowiska w hierarchii społecznej jakie zajmował w kraju, z którego przybył. Minister czy wysoki urzędnik policji politycznej tu się nie znajdują. Znajdą się ci co i w swoim kraju byli na dole, albo bliżej dołu. Wyższe wykształcenie jest tu rzadkością, przeważa wykształcenie w zakresie szkoły powszechnej czy średnio-techniczne. Każdy tutaj musi borykać się, niezależnie od skromności swego dawnego fachu, z rozsypaniem się swego znaczenia (koledzy, rodzina, grupa która go znała), bo teraz przebywa już na dnie.

Porywy, żeby się z tego dna wydostać, nawet mieszkając w Valce, są. Czesi, ojciec z kilkunastoletnim synem, uciekli z Pragi bo ojciec orzekł, że musi utalentowanego syna wykie rować na prawdziwego malarza. Zabiega teraz o przyjęcie syna

do Szkoły Sztuk Pięknych w Norymberdze i może mu się uda. Paru studentów ma nadzieję otrzymać stypendium i prawo do kształcenia się w Norymberdze. Ale nawet dla odważnych i wytrwałych często próba sił jest za ciężka. „Chcę się uczyć, ale po pierwsze w baraku jest zimno, a po drugie przez ściany słyszy się każde słowo, u sąsiadów gra od rana do wieczora radio, w nocy ryki, wrzaski, bójk, policja dobija się do drzwi, wpada, świeci latarkami pod łóżka i tak ciągle”.

Jest dość prawdopodobne, że Valka, która zasługuje na nazwę pozaczasowej octlani raczej niż piekła, spełnia zadanie straszaka, wygodnego dla tych co się nim posługują. „Przez pół roku — mówi mi polski chłopak — pracowałem dla... — tu wymienia jedną z władz okupacyjnych (wolałem nie pytać o rodzaj pracy). Ale powiedziałem, że już nie chcę. Iiii, to takie głupie. Jest rok 1955, a nie 1945. Powiedzieli, że jak tak, to zdechnę w Valce i przysłali tu”.

Ten sam chłopak zostawił w kraju żonę. „Pisałem do domu”. „I co pan pisał?” „Że dzieje mi się doskonale. Co mam rodzinę martwić. To dostaję prośby o paczki. Ha, ha!”. To zjawisko — zawiadomianie bliskich, że wszystko układa się jak najlepiej — jest powszechne. Żaden człowiek nie lubi przyznawać się do porażki.

Od czasu do czasu znajdujemy w prasie międzynarodowej artykuły o sensoryjnych ucieczkach przez trudne granice, ucieczkach wykazujących niezwykłą pomysłowość (żeby na przykład owinąć się w dekoracje teatru Vilara trzeba niemal błysku genialności). Bohaterów tych przygód spotkamy najczęściej w Valce. Rozbieżność pomiędzy zainteresowaniem sensacją jako taką i brakiem zainteresowania dla osoby ludzkiej stanowi wyraz pewnej filozofii. Według tej filozofii człowiek jest bytem duchowym, pozbawionym żołądka i byłoby zbędne, a nawet nietaktowne, mieszać się do jego tak prywatnych interesów jak to gdzie śpi i co je. Choć jak wykazuje Valka nie są to znowu interesy tak prywatne i niewiele tu zależy od indywidualnej zaradności.



„Co robić żeby się stąd wydostać?” International Rescue Committee pomaga uchodźcom jak może. Nie ma on wpływu na decyzje władzy niemieckiej, więc stara się dla nich o wizy. Dążeniem każdego z mieszkańców Valki jest: 1) zacząć życie na nowo; 2) niech wszyscy dadzą mi święty spokój. Wizy są jedyną nadzieją dla odrzuconych jako „ekonomiczni” i dla tych co czekają na wyrok komisji, spodziewając się, oczywiście, odrzucenia. W grę wchodzi Brazylia, Australia, Kanada, Stany Zjednoczone. Jednak upodobania urzędów emigracyjnych zwracają się ku biografiami przejrzystym i prostym łatwo dającym się wtłoczyć w formularze. Niezbyt wiele takich biografii odnajdzie się w Valce; sam upływ czasu, przynoszący coraz dalsze zmiany w krajach skąd przybywają, oddala też dzieje jednostek od za-

chodnich standardów. Poza tym każdy dzień przeżyty w obozie Valka zdolny jest splamić. Pokusa kradzieży kiedy komuś burczy w brzuchu jest duża. Potem więzienie, adnotacja „karany”. A sam obóz jak to się zwykle zdarza w ghettach, jest grzęzawiskiem intryg, oszczerstw i składanych nawzajem donosów. Tak na przykład „starzy” Polacy, ugrzęźli w Valce na amen, nie oszczędzają bynajmniej swoich nowoprzybywających ziomeków, traktując ich jako „bolszewików” i „agentów”, informując gdzie należy, że ktoś widział kogoś, jak rozmawiał z kimś, o kim ktoś inny powiedział, że jest podejrzanym. To są plamy, które zostają. A już całkiem źle jeżeli pojawiają się plamy inne — na płucach, o co w tych warunkach zdrowotnych nie trudno. Roentgen dla urzędów imigracyjnych jest najwyższą wyrocznią. Dotychczas widzę tego moribunda jak po zamienieniu kilku słów ze mną oddala się w stronę szpitalnego baraku. Głowę trzyma prosto, przygląda się kręcące się włosy, jest w nim coś z bladego eleganta przedmieść wielkiego miasta i narzucona sobie non-szalancja, z jaką traktuje swoją chorobę, mnie wzrusza. Były marynarz. „Dudy nawalają” — powiedział.

Wizy wywarzają wśród obywateli Valki nowy podział: na tych co są „eligible” i „non-eligible”. Amerykanie postanowili ostatnio zabrać z Valki wszystkich „eligible” (to jest nadających się do emigracji do jednego z państw zamorskich) i umieścić ich w po-koszarowych budynkach, w Zirndorf, również pod Norimbergą, co wywołało popłoch wśród ludności tego miasteczka („nowa Valka!”) i protesty burmistrza. Pomieszczenia są tam podobno przyzwoite, urządzenia higieniczne dobre. Zapewne na bezczynność i tam nie będzie lekarstwa, ale to już oznacza dźwignięcie się na jakiś wyższy stopień. W początku lutego toczyły się jeszcze spory kompetencyjne pomiędzy władzami amerykańskimi i niemieckimi, które chętnie widziałyby podział ciężarów w ten sposób, że Amerykanie będą płacić a oni dadzą administrację. Te i inne spory kompetencyjne muszą zostać rozstrzygnięte zanim obóz w Zirndorf zacznie funkcjonować.

Sprostować muszę przypuszczenie, które na pewno się wkłada: że Valka mieści setki tysięcy albo dziesiątki tysięcy. Tak nie jest. Milcząca współpraca państw doprowadziła do prawie całkowitego usunięcia tej plagi jaką jest dla nich przenoszenie się ludności z miejsca na miejsce. W Europie odbywają się już tylko wędrówki ludności niemieckiej. Z krajów położonych na wschód od Niemiec i Austrii przenika mały strumyczek czy raczej poszczególne krople. Dokładnej liczby ludzi w Valce zaleźnych od wyroków komisji, nie zdobyłem. Jedni podają mniej, inni więcej, ale liczba ta nie przekracza 700. Znaczną jej część stanowią przybysze z „nieżelaznokurtynowego” kraju — z Jugosławii. Dużo Czechów i Słowaków. Polaków mało — ze trzy dziesiątki. Gdzie indziej Rumun, Węgier, Rosjanin. W epoce

wielkich liczb te skromne cyfry wydawałyby się zbyt blade żeby nimi się zajmować, gdyby nie humorystyczna dysproporcja pomiędzy biurami, sekretariatami, komisjami powołanymi do opieki nad uchodźcą i tą bazą ich działalności. Część sum, zużywanych na uposażenia szefów i sekretarek, wystarczyłaby pewnie nie tylko na nakarmienie i ubranie tych którzy dostarczają okazji do posad, ale może nawet na zakupienie bezludnej wyspy, na którą by się zbiegów przewoziło samolotem: czyż nie dobry sposób, mogący przynieść ulgę wszystkim rządów? Piramida organizacji jednak rośnie. Żyją swoim własnym życiem jak sztuczna planeta raz wystrzelona i następnie obracająca się dokoła ziemi. Przystępuje się do badań teoretycznych. Oto powstała Association Européenne pour l'Etude des Problèmes des Réfugiés, z siedzibą w Strassburgu. Ma ona swoje biura w każdym kraju Europy i stanowi część World Association for Refugee Problem, której zjazd ma się odbyć w Helsinkach 10 sierpnia bieżącego roku.

Naturalnie, że występuje w poczynaniach tych wszystkich organizacji wewnętrzna sprzeczność, ta sama co między mężem, który zajmuje się badaniem gatunków much, a żoną, która każe dać muchę, która wleci przez okno, tępi przy pomocy D.D.T.



Rozważania zasadnicze nie leżą w moich zamiarach. Istnieje fakt: grupa ludzi nieszczęśliwych. Albo zmarnują się, albo umożliwi się im normalne życie. Pomóc im inaczej niż pisać ten artykuł nie mogę. Główne punkty, na które powinniśmy zwrócić uwagę ci co rozporządzają jakimiś innymi środkami są następujące:

1) Jest absurdem żeby Konwencja Genewska z 1951 była interpretowana w jednym kraju tak, a w innym inaczej, prowadząc do rezultatów krańcowo sobie przeciwnych. Jeżeli jest błędnie zredagowana, należy ją zmienić. Jeżeli to niemożliwe, należy ustalić jednolitą wykładnię.

2) Nie byłoby nierozsądne gdyby dziennikarze niemieccy przypomnieli odpowiedzialnym czynnikom Federalnej Republiki, że kot jest na ogół złym sędzią myszy i że ex-Nazi mogliby sprawować z powodzeniem inne obowiązki niż zasiadać w komisji, powołanej do wyrokowania o Słowianach.

3) Należy zabiegać aby urzędy emigracyjne wydobyły ze swoich kartotek podania o wizy, złożone przez mieszkańców Valki i dały im pierwszeństwo.

4) Jeżeli ma egzystować Valka czy inne podobne obozy, warsztaty pracy, które pozwoliłyby ludziom zarabiać i uczyć się nowych fachów, są koniecznością.

Program zawarty w tych punktach wydaje się dobry, choć naiwny. Zakłada bowiem dobrą wolę okazaną tym, co są nikomu niepotrzebni.

Czesław MIŁOSZ

Niewiele książek polskich zdobyło sobie rozgłos na szerokim świecie. Do tych książek należy

JÓZEFA WITTLINA

SÓL ZIEMI

Powieść ta, wydana w Polsce po raz pierwszy w roku 1935 osiągnęła w Kraju, przed wojną, cztery wydania i odznaczona została nagrodą WIADOMOŚCI LITERACKICH (tzw. Akademii Niezależnych) oraz nagrodą czytelników tego tygodnika.

Ogłoszona później w tłumaczeniach na języki: angielski (w Anglii i w Stanach Zjednoczonych), chorwacki, czeski, francuski, hebrajski, hiszpański, holenderski, niemiecki, rosyjski, słowacki, szwedzki, węgierski i włoski, przyjęta została entuzjastycznie na obu półkulach zarówno przez krytykę jak i przez szerokie sfery czytelników.

W roku 1943 Józef Wittlin otrzymał nagrodę American Academy of Arts and Letters oraz National Institute of Arts and Letters (pierwszy raz dostał ją pisarz polski) za

SÓL ZIEMI

Jest to nowoczesna epopeja o Żołnierzu Nieznanym, aktualna również i po drugiej wojnie światowej. Pisana prostym, lecz pełnym wysokiego artysty językiem, z humorem i głębokim wyczuciem ludzkiej doli w czasie pokoju i w czasie wojny, odwarza w serii niezapomnianych obrazów tragiczne dzieje prostego człowieka. Piotr Niewiadomski, główna postać powieści, był w cywilu tragarzem na małej stacyji galicyjskiej. Gdy wybuchła wojna został „cierpliwym piechur” w armii austriacko-węgierskiej. Obok niego oglądamy tu całą galerię ludzi wielkich i małych od starego cesarza Franciszka-Józefa po wspaniałego sztabsfeldfebla Bachmatiuka. Mamy też swoisty romans Piotra z sierotą Magdą. Ale to jest tylko szkielec, pokryty barwną mozaiką życia, toczącego się i na powierzchni zamierzchłych już czasów i w głębi ludzkich dusz, dusz prostych i skomplikowanych. Wittlin usiłuje tu stworzyć świat mitów, jakie owładnęły od roku 1914 wyobraźnią, a zwłaszcza podświadomością człowieka, podległego władzy wielkich bóstw wojny i tzw. cywilizacji.

Wydawnictwo ROY PUBLISHERS w New Yorku ogłosiło drukiem piątą (na emigracji — pierwsze) wydanie SOLI ZIEMI.

Cena egzemplarza broszurowanego \$ 2.80, w oprawie \$ 3.50.

Czytelnicy w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, pragnący nabyć egzemplarz oprawny z podpisem autora, mogą przesłać zamówienie wraz z należnością \$ 3.50 plus 20 c. na porto (czekiem lub money orderem) wprost na adres:

JOSEPH WITTLIN, 5400 Fieldston Road, New York 71, N.Y.

Skład główny we Francji: „Libella” 12, rue St.-Louis-en-Ile, Paris (4). — Skład główny w Anglii: Alma Book, 52 Holton House, 20-23 Holborn, London E.C.1.

Odwilż na mrozie

Wybuch wojny z Niemcami w roku 1941 przyniósł pewne odprężenie w dziedzinie literatury. Optymiści, a takich najwidoczniej nawet w Rosji Sowieckiej nie brakuje, łudzili się, że otwiera się nowa epoka dla polityki kulturalnej. Był to jednak tylko etap, i to krótkotrwały. W latach klęsk wojennych i trudności wewnętrznych trzeba było popuścić smyczy i rozluźnić kagańca; potem wzburzone wody wpędzone zostały z powrotem do starego koryta. Ale każdy doświadczony dozorca więzienny wie, jak trudno jest wdrożyć więźniów do dawnego regulaminu, gdy raz choćby zakosztowali względnej łagodności.

Po żdanowskich czystkach, potępieniu Pastiernaka, Achmatowej i Zoszczenki, po długotrwałym panoszeniu się ambitnych grafomanów przyszła „odwilż”, spowodowana śmiercią Stalina i wzbudzonymi przez nią nadziejami. W krainie wszelkich czarów i paradoksów odwilż nastaje wraz ze zniknięciem „słoneczka”. Gdy zaczynała się walka na Kremlu i następnie podział spadku po „najgenialniejszym”, nadzór nad literaturą musiał nieco osłabnąć. Ale nie tylko to. Głos zabrał anonimowy czytelnik. Prawdziwy barometr nastrojów w kraju totalnej dyktatury stanowi nie tyle statystyka wydawnicza, co statystyka biblioteczna, poprzez którą przemawia wielki głuchoniemy: anonimowy czytelnik sowiecki. A ten wyraźnie ucieka od pseudo-lirycznej propagitki, od powieści produkcyjnej, od rezonerskiego dramatu. Ucieka ku klasykom wczorajszego i przedwczorajszego dnia. Młoda dziewczyna, do której dramatyczne dzieje Anny Kareninej przemawiają wymowniej od historii Lubowi z „Młodej Gwardii”; młodzieniec, który zamiast wierszy Szczipaczowa recytuje na wieczorku komsomolskim „Pieśń o sokole”, albo „Zwiastuna burzy” Maksyma Gorkiego; oficer, zabierający z urlopu tom Turgeniewa zamiast Simonowa czy Surkowa — to istotne, nie wymaginowane niebezpieczeństwo dla systemu. Magia „inżynierów dusz” przestaje docierać do ludzkich mechanizmów. Czas więc najwyższy uderzyć w bębny na alarm.

Cofnijmy się o dwadzieścia lat wstecz. Literatura sowiecka

z lat pierwszych pięciolatek i wielkiego zrywu budowniczego niewątpliwie docierała do masowego czytelnika i spełniała wyznaczone jej zadanie. Była niewiele lepsza od dzisiejszej, operowała sztancami, nagrywała płyty, prześlizgiwała się po powierzchni ludzkiej psychologii, naiwnie stosowała podział na czarne i białe, ale uskrzydlał ją sui generis romantyczny zryw i niepozabawiona heroicznych cech egzaltacja. Grubo ciosana, prymitywna, modelowana według tego samego kopyta — wszystko co chcecie! — wyrażająca jednak treści mitotwórcze, choćby ta mitologia oparta była na nieporozumieniu. Społeczność, która „na własnych kościach” wznosiła kombinaty i miasta w sercu wczorajszej pustyni, wierzyła, że za cenę najwyższych trudów i poświęceń przebiją drogę ku socjalizmowi. Ówczesna literatura potwierdzała i podsyciała tę wiarę, więc była potrzebna i popularna.

Zbyt wiele wody upłynęło od tego czasu w Woldze i Donie. Uprzemysłowienie kraju nie przyniosło ani wzrostu stopy życiowej, ani elementarnych choćby wolności obywatelskich. Mitologia uległa biurokratyzacji, romantyzm przeszedł w sztamę, heroizm poświęcenia w cierpienniczą rezygnację. Aby utrzymać swoją dawniejszą popularność, literatura musiałaby przestawić się na odbiorcę nowego typu. Musiałaby dać wyraz powszechnemu rozczarowaniu i — co więcej — ukazać konflikt sowieckiego obywatela z sowiecką rzeczywistością. Jakże to uczynić w granicach obowiązującego soc-realizmu? I oto po śmierci Stalina zaczęła coraz ostrzej zarysowywać się opozycja pisarzy przeciw oficjalnie obowiązującej teorii.

Bomba pękła, gdy w czasopiśmie „Nowyj Mir”, na którego czele stał ówczesnie poeta Aleksander Twardowski, wysunięto zarzut nieszczerości. Gdyby to chodziło o poszczególnych pisarzy tylko, nie byłoby powodu do rozdierania szat. Artykuł krytyka Pomierancewa, który wywołał największą awanturę, a samego Twardowskiego kosztował utratą redaktorskiego fotela, nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości: zbyt wielki nacisk Partii, zbyt wielka sztywność soc-realistycznych przepisów zmusza pisarzy do nieszczerości. Aż się prosi o zacytowanie znanego powiedzenia rosyjskiego satyryka z ubiegłego stulecia, Sałtykowa-Szczedrina: „Dziś taki, co chce przedstawić siebie z najlepszej strony — nawet i ten zobowiązuje się szczeniaku jak pies...”

Wśród ortodoksów soc-realizmu zawrzało. Oskarżenie Pomierancewa, którego poparli niektórzy inni krytycy — Liwszyc, Abramow, Szczegłowa — uznano za kalumnię pod adresem sowieckiej literatury. Twardowski z niespotykaną od dawna w Sowietach odwagą i godnością wziął całą winę na siebie i wyleciał z redakcji czasopisma. Ostateczne załatwienie tej sprawy odłożono do II-go Zjazdu Pisarzy, który odbył się w Moskwie w drugiej połowie grudnia ubiegłego roku.

Wypadek z Pomierancewym i Twardowskim nie był odośobniony, choć przejawiał się w formie najbardziej drastycznej. Opozycja przeciw soc-realizmowi narastała od zbyt dawna. Na jakiejś dyskusji Lew Kassil zażądał prawa pisarzy „do patrzenia na

gwiazdy”; kiedy indziej krytyk Tarasienkow wołał o „ludzkie”, a nie tylko polityczne treści, zaś gruzińscy pisarze Gabaskirja i Szengielaj wręcz oświadczyli, że „prawdziwa poezja wymaga większej swobody” i że twórcom „należy się przywilej popełniania błędów”, bo tylko wówczas „znajdą własną drogę”. Początkowo nieśmiało, potem coraz głośniej zaczęto mówić i pisać, że w sowieckiej literaturze musi znaleźć się miejsce na impoderabilia, co stanowi już herezję nie tylko w stosunku do soc-realizmu, ale i samego marksizmu.

Mniej więcej rok temu ukazał się poemat wspomnianego już Aleksandra Twardowskiego pt. „Za dalą dal”. Poszczególne jego fragmenty, lepiej niż wielostronicowe referaty, mówią o literackiej rzeczywistości w Sowietach. Pisarz jedzie na urlop i w przedziale wagonu rozmawia z wyimaginowanymi towarzyszami podróży.

*Powieść napiszą należycie,
przyjadą, gdy gotowa już,
postukać laską, wzniecić kurz:
— Czy pierwszy tom się zgadza z życiem?
I patrzysz: powieść — wszystko cacy,
nowa metoda twórczej pracy,
ktoś opieszale jest, o, wstydzie! —
dziadunio, co w komunizm idzie,
on, ona — przodownicy dzielni,
inauguracja nowej kielni,
inżynier, wiec, produkcja, stal,
minister i ogólny bal.*

*Wszystko podobne i pochwalne,
takie jak jest, lub może być,
ale w całości niejadalne,
że chciałbyś płakać, chciałbyś wyć.*

Po tak dobitnej charakterystyce literatury „produkcyjnej” autor wysuwa własne postulaty i domaga się krytyki wymagającej, bezwzględnej, ale uczciwej i zapładniającej.

*I czyż naprawdę w takiej nudzie
musimy wszędzie, zawsze tkwić,
a z nami prace, myśli, ludzie
i prawo nadchodzących dni?
Jak chcecie, lecz po dobrej woli
ja nie ustąpię, mówię szczerze.
Mnie życie cieszy, życie boli,
ja kocham, męczę się i wierzę.
Oczywiście służyć sercem cudym
pragnę, jam za nią walczył rad.
Nie dla wstępnego artykułu —
dla życia-m przyszedł na ten świat.
Czytam. Nie, bracie, miej sumienie!*

Już książka mi wypada z rąk,
duszę wyraca, w oczach drżenie.
Czy koniec już? Nie, dalszy ciąg!



Ty kiwasz głową:
— Prawda szczerą!
Tak, krytycy nie próżno krzyczą...

Lecz ty w ich słowach nie przebierasz,
tobie ich gorycz tchnie słodyczą.
Tys dawno nad pochwały przeniósł
i ostry sąd i gruby żart,
i sam we własnym wiesz marzeniu,
co w duszy tkwi i co ty wart;
pragnienie tych szczęśliwych spotkań
z kimś, kto by szczerze ciebie wsparł
nie łgarstwem snutym z kołowrotka,
lecz mową, w której prawdy żar.
By za to można ciebie cenić
i razem z tobą żyć i śnić,
byś był sam sobą w swym sumieniu,
jakim byś zawsze pragnął być.

I dla miłości tej bezcennej,
nie pomny smutku naszych lat,
już byś conocnie i codziennie
swą duszę w pracy strawić rad.

Składnia tego fragmentu jest chwilami zagmatwana i niezupełnie jasna. Odnosi się wrażenie, jakby natłokiem słów Twardowski chciał osłonić, okrzęcić bawełną tok buntowniczych myśli. Ale wystarczą poszczególne wiersze, nie pozostawiające najmniejszej wątpliwości: „Byś był sam sobą w swym sumieniu... nie pomny smutku naszych lat...” Nic dziwnego, że politycy zaniepokoił się nie na żarty. Pisarz, któremu śnią się takie rzeczy, na stanowisku redaktora jednego z najpoważniejszych literackich czasopism?!

Nie ważne plotki. Radość żywa
wypełnia serce. To szczęśliwość
i męstwo! Blask na twoim czole!
Nagle — głos nowy się odzywa:
— Nic z tego...
— Jakto?
— Nie pozwolę...
Surowo zabrzmiał głos odmowny,
nie żeby podniesiony w krzyk
lub gniewny. Zwykle tak kierownik
rozmawiać z podwładnymi zwykł.

— Nic z tego — znowu swoje klepie.
— A ktoś tam nos tu wścibia swój?
— Nie pytaj... sam to wiesz najlepiej...
— A jednak...
— Jam redaktor twój.

I z półki schylił się ze śmiechem
mój trzeci sąsiad.

— Żartów chcesz?
Cóż ty myślał? Żeś odjechał
od innych, to ode mnie też?
Ja i w podróży, chociaż śpiący,
czuwam i słucham, wiem nie mało.
Choć do rozmowy tej się wtrącać
dotąd mi — przysnam się — nie chciało.
Ciekawe! Gorącego człeka
wnet poznać! Dąsa się i biada,
a jaki jest odważny! Czekaj...
Niedługo wszystko sam odszczekasz,
coś dzisiaj tu naopowiadał.
Czekaj... gdy w heben zagrzmi dobosz,
odwołasz ten namiętny bój.
Czemu? Bo zawsze jestem z tobą,
wszędzie i wciąż — redaktor twój.

W marzeniu siedzisz jak w obłoku,
nad białą kartką sen śniesz słodki.
Ale beze mnie ani kroku,
ani przecinka, ani zwrotki.
Tylko nieznacznie coś poprawię
tu, tam — i utwór jest na schwał,
ale na pewno pozostawię
wszystko, coś sam wykreślić chciał.
Ołówek, gumka, raz za razem,
z miłością twe traktując słowa,
i na świat wyjdiesz jak obrazek,
tak jakem ciebie wymalował.

— Dość — powiedziałem — przyjacielu!
choć mnie opadł zimny dreszcz.
— Stój, redaktorze, nazbyt wiele
brać na ramiona swoje chcesz.

— Ach, nie — powiada mi —
ach, wierzaj!
Ami mi w głowie taki trud.
Tobie zadanie to powierzam:
siadaj, bierz pióro, pisz jak z nut.
Mnie to zupełnie nie popłaca,
ślepieć tu mam, poprawiać mam?

*Rozumiesz... całą moją pracę
ty wykonujesz za mnie sam.
Oto w czym sekret, mój rycerzu,
nie warto nowych sporów wieść.
Rad z ciebie jestem całkiem szczerze
i szczerą ci oddaję cześć.
Oto poeta! — tak za przykład
każdemu zawsze ciebie stawiam.
— Ja go nie czytam, sprawa zwykła:
nie boję się, więc nie poprawiam.*

Po zakończeniu fikcyjnego dialogu autor zwraca się bezpośrednio do czytelnika, niemego świadka sporu. Tłumaczy swój wyskok wyjątkowością sytuacji; jest przecież na urlopie, wydało mu się, że może wszystko wypowiedzieć.

*Lecz, czytelniku, wiedz, te słowa
złożyłem, kiedym był w podróży,
kiedym beztrosko urlopował,
daleki od codziennej służby;*

*daleko od kochanych władz.
A jeśli dobra w tobie dusza,
ty z krzykiem na mnie nie wyruszaj
i nie połączaj moich prac.*

*Jak głupi krytyk nie krzycz: Gore! —
w zoila się nie zmieniaj też
i nie poszukuj tu z uporem,
co i beze mnie dobrze wiesz.*

Oto wymowne wyznanie sowieckiego Ezopa. Czytajcie mnie, ale nie poszukujcie tego, co dobrze wiecie i beze mnie. Jak taki poemat mógł przejść przez sitko cenzury? Po pierwsze, na skutek pewnego bałaganu i bezhołowania po śmierci Stalina, gdy chorażewki na dachach miotały się w popłochu na wszystkie strony, wreszcie, z której powieje silniejszy wiatr, po drugie, bo Twardowski zastosował zwykły chwyt sowieckich pisarzy: udaje, że chodzi o przerosty biurokratyczne, w danym wypadku reprezentowane przez osobę redaktora. W rzeczywistości, zza chwiejnych opłotków pozorowanego stanowiska bije w sam system.

W takiej to atmosferze przygotowywano się do II-go Zjazdu Pisarzy. Już samo jego zwołanie — po dwudziestu latach! — było za wszelką cenę ratować trzeszczący i rozłazący się w oczach łoskający się amoniospod az 'izpomop au fozuufuufuq uozpuzim' soc-realizm. Utworzono specjalną ekipę „pewnych” pisarzy, złożoną z ambitnych przeciętniaków i jeszcze ambitniejszych grafo-manów. Ci mieli oczyścić teren, wytworować najbardziej zagrożone odcinki i podstemplować walące się ściany.

Aby zrozumieć o co chodzi, należy wyjaśnić, dlaczego Partii tak bardzo zależy na utrzymaniu socjalistycznego realizmu. Dlaczego zamiast postawić na utalentowanych pisarzy w rodzaju Twardowskiego, w przeddzień Zjazdu wystawiono ponownie na świecznik różne miernoty, zapchnięte w cień po śmierci Stalina, różnych Gładkowych, Surkowych, Ażajewych i Bubienowych? Odpowiedź jest nietrudna. Literatura ma spełniać określone role propagandową i tym samym musi podlegać kontroli, zorganizowanej według pewnych zasad. Mit socjalizmu jeszcze nie zrealizowanego w pełni, ale już realizującego się, prysłby jak mydlana bańka, gdyby pozwolono na realizm autentyczny, to znaczy na widzenie życia takiego, jakie jest dziś, a nie jako antycypacja mglistej przyszłości. Niech by pozwolili na rzetelny realizm, a wszystkie zagadnienia, jak typowość, pozytywny bohater, właściwie postawiony konflikt, dokoła których drepce krytyka marksistowska, niby afrykański czarownik dokoła totemu, przewróciłyby się za jednym zamachem. Można utrzymywać te fikcje tylko dlatego, że sprawdzianem dla nich jest nieokreślona przyszłość. W konfrontacji z rzeczywistością natychmiast przestałyby istnieć.

Wbrew niektórym, przesadnie optymistycznym ocenom na Zachodzie, II-gi Zjazd zwołany był po to, aby podtrzymać owe fikcje i podstemplować walące się ściany. A choć nie brakowało ostrych i bijących w sedno wystąpień — cenzura sowiecka przeważnie łagodziła ich ton — wszystko rozlało się po kościach. Utrzymano oficjalną wersję, według której „soc-realizm związany jest organicznie z realizmem rosyjskim XIX-go wieku i stanowi jego twórczą kontynuację”; przyjęto malenkowską definicję „typowości w literaturze”, mimo że jest ona sprzeczna z Engelsem i Leninem; raz jeszcze poddano ostrej krytyce obiektywizm i pisarzy usiłujących mu hołdować; pojęcia konfliktu i bohatera pozytywnego utrzymały się bez większych zmian. Opozycji dano się wygadać — to wszystko.

Aleksandra Twardowskiego wybrano przewodniczącym nowego zarządu. Sekretarzem został główny jego antagonistą w osobie Surkowa. Zobaczymy, czy Twardowski długo utrzyma się na tym stanowisku. Różne są sposoby likwidowania przeciwników. Niekiedy wystarczy powierzyć trudną i niebezpieczną misję, z błogą nadzieją, że sami się na niej wykończą. Twardowskiemu przyjdzie to tym łatwiej, że będzie miał przy sobie takiego współpracownika jak Surkow, żywy portret redaktora z zacytowanego powyżej fragmentu poematu „Za dałą dał”.

„Odwiłż” przyszła za wcześniej i nie spełniła żadnej z nadziei. Mróz chwycił ponownie, na sowieckiej ulicy panuje gołoleź. Pisarze nadal będą ślizgać się i przewracać. A inni wyciągają wniosek z tego, że na śliskim lodzie najłatwiej utrzymać się na czworakach. Zaś masowy czytelnik daremnie będzie szukać w ich książkach tego, „co dobrze wie i bez nich”.



OBEREK

Wielobarwne reprodukcje tańców Zofii STRYJENSKIEJ, nadające się do powieszenia na ścianę. Kolorowe i zamasyście rozweselą swojskim rytmem wnętrze każdego polskiego domu.

*Tańczą ściany, cztery kąty
a za nimi i piec piąty.*

Teczka składa się z 5-cio kolorowych obrazów o formacie 24 cm. na 32 cm. następujących tańców: MAZUR, KUJAWIAK, KRAKOWIAK, GÓRALSKI, OBEREK.

Cena wraz z przesyłką: We Francji: frs 1.200; w Anglii: sh. 24; w innych krajach dolarów 3.50 lub równowartość.

Do nabycia we wszystkich większych polskich księgarniach oraz w składzie głównym:

" LIBELLA "

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4°

Telefon: DANton 51-09.

Metro: Sully Morland albo Pont Marie. Autobusy Nr 86 oraz 67.

Współczesny klimat intelektualny

Do truizmów należy spostrzeżenie, że jednym z wybitniejszych zjawisk, które charakteryzują bieżący okres dwudziestego wieku, jest rewolucja, lub jak chcą niektórzy, przewrót w zakresie nauki. Mimo to jednak na ogół nie zdajemy sobie dostatecznie sprawy z tego na czym owa przemiana naprawdę polega i jakie są wymiary jej konsekwencji. Najnowsze bowiem sensacyjne wynalazki i zdobycze, jak bomby atomowe, eksploracje przestrzeni międzyplanetarnej (już *de facto* rozpoczęte), jak zwalczanie groźnych chorób i procesów starzenia się organizmu itd. nie są ani wynikiem ani objawem obecnego rozwoju nauki, tym bardziej więc rewolucji w jej łonie zachodzącej. Wszystkie te olśniewające (czy przerażające) osiągnięcia to są po prostu zdobycze techniki, a więc nauk stosowanych, oparte na postępach naukowych z końca ubiegłego stulecia. Jeżeli są one niekiedy uważane za triumf nauki, to dlatego, że chyba od czasów starożytnego Egiptu nie było takiego pomieszania pojęć nauki i techniki w umysłach laików jakie obserwujemy obecnie.

Rewolucja naukowa, która dopiero teraz, w połowie stulecia, zaczyna być wyraźniej widoczna, polega na czymś zupełnie innym niż techniczne i przemysłowe zastosowanie teorii naukowych. Polega ona mianowicie na zmianie naszej zasadniczej postawy myślowej wobec nauki w ogóle, a nauk ścisłych w szczególności.

W wieku dziewiętnastym, który cywilizacyjnie skończył się właściwie dopiero gdzieś przy końcu pierwszej wojny światowej, dla uczonego, intelektualisty czy technika, nauka ścisła była po prostu sprawnym instrumentem, przy pomocy którego można wykrywać prawa, rządzące zjawiskami naturalnymi. Taka postawa wobec nauki była najoczywistej usprawiedliwiona powodzeniem. Zjawiska naturalne jedno po drugim ulegały atakom wiedzy i pozwalały się wprzęgać do rydwanu triumfującej

techniki. Nie zapominajmy, że w ostatnim okresie, nie wiele większym nad półwiecze, pojawiły się wynalazki, które gruntownie przeobraziły naszą cywilizację: przemysłowe zastosowanie elektryczności, praktyczne wykorzystanie ropy naftowej, motory spalinowe z samochodami i lotnictwem, telefon, radio, telewizja, kinematograf i salwarsan (ten ostatni jako symbol chemoterapii w ogóle) — wszystko to za pamięci wielu z nas. Rodziły się wprawdzie tu i ówdzie wątpliwości, czy triumf nauki jest kompletnie osadzony na właściwym torze, gdy stykano się ze zjawiskami naturalnymi, które uporczywie wymykały się naukowemu metodom badawczym, a bardziej może jeszcze, gdy wszelkie wysiłki włączenia nauk humanistycznych do dziedziny nauk ścisłych spełzały na niczym, ale wątpliwości te wciąż udawało się odsuwać poza margines zagadnień „istotnych”.

Dziś ta zasadnicza postawa wobec nauki ulega zmianie i, mimo że świadomość przemian dopiero zaczyna wydobywać się na jaw, stanowi rewolucję myśli bardziej gruntowną niż ta, której świadkiem był wiek siedemnasty, a która położyła pierwsze podstawy naszych dzisiejszych zdobyczy technicznych.

Znaczenie i charakter obecnych przemian najłatwiej jest uchwycić na przykładzie ilustracji. W pewnym okresie historycznym geometria była nauką czysto empiryczną. Uczeń starożytnego Egiptu i Chaldei odkrywali twierdzenia geometryczne jako prawa natury, rządzące zachowaniem się przedmiotów złożonych z linii, powierzchni i brył. Na podstawie wielu odcyfrowanych już „matematycznych” papirusów i cegiełek klinopisowych można stwierdzić, że takie, na przykład, twierdzenie jak o kwadracie przeciwprostokątnej równym sumie kwadratów przyprostokątnych, albo o sumie kątów trójkąta równej dwóm kątom prostym, jak o stosunku obwodu cylindra (koła) do jego średnicy, stosunku kąta wpisanego do długości cięciwy i wielu innych były znane i odkryte jako uogólnienie wyników wielokrotnie dokonywanych manipulacji z realnymi polami, bryłami, wykopami, kolumnami itd. Pomiary dokonywane były, naturalnie, ze ścisłością dostępną ówczesnej technice mierniczej, ale uogólnienia brały pod uwagę prawdopodobne błędy mierzenia. Słowem, twierdzenia te były traktowane jak prawa naturalne i odpowiednio wykorzystywane w zastosowaniach praktycznych. Geometria była więc, dla owych starożytnych uczonych, taką samą nauką przyrodniczą (empiryczną), jaką dla uczonych osiemnastego wieku była np. fizyka.

Dopiero uczoney aleksandryjski, Euklides, w trzecim wieku przed naszą erą, udowodnił, że geometria nie musi być traktowana jak nauka empiryczna, a jej twierdzenia jako generalizacje danych obserwacyjnych. Pokazał on, że można obrać kilka prostych postulatów, z których wszystkie znane twierdzenia geometryczne (i wiele innych) można logicznie wydedukować, wcale nie odwołując się do doświadczenia. W ten sposób twierdzenia te stały się niezależne od danych empirycznych, przestają być „prawami naturalnymi”, a geometria stała się pierwszą w his-

torii nauką ścisłą. Fakt, że zjawiska naturalne można wygodnie opisywać w terminach tych, teoretycznie wydedukowanych „praw natury”, jakąś „ostateczną abstrakcją” praw natury. Dziś wiemy bowiem, że podstawowe postulaty Euklidesa nie są wcale jedyne; można je obrać zupełnie inne, a jeżeli będą one logicznie niesprzeczne, to można z nich budować różne abstrakcyjne geometrie, w których cały wspaniały system Euklidesa może się zaważać jako przypadek szczególny. Co więcej, poznaliśmy zjawiska naturalne, które nie dają się wyrazić w systemie geometrii Euklidesa, doskonale pasują do systemów innych, bardziej ogólnych geometrii.

Sytuacja geometrii bynajmniej nie jest wyjątkiem. Podobnie przedstawia się, na przykład, sprawa fizyki. Podstawowe twierdzenia Newtona również nie są, jak uważano dawniej, generalizacjami obserwacji, a przez to prawami naturalnymi, lecz są postulatami, z których inne twierdzenia można wydedukować i w ich terminach zjawiska naturalne wygodnie opisywać. Postulaty te jednak mogą być zupełnie inne. Aby dojść do takiego wniosku trzeba było poznać zjawiska naturalne, które nie dają się opisać w terminach fizyki Newtona, to znaczy w terminach „praw” grawitacji, inercji i przyspieszenia. Zjawiska takie znaleziono w ruchach cząsteczek atomów. Ruchy elektronów dookoła jąder atomowych nie podlegają „prawom” grawitacji. Dziś posiadamy już inne systemy teoretycznej fizyki, w których nie ma „praw naturalnych” grawitacji, czy nawet w ogóle „sił fizycznych”, a w których cały, wspaniały system Newtona jest przypadkiem szczególnym. Logicznie wydedukowane twierdzenia tych teoretycznych systemów pozwalają opisywać, to znaczy wiązać w łańcuchy przyczynowe i przewidywać, większy zakres zjawisk naturalnych niż te, które obejmuje fizyka Newtona.

Każdą zatem naukę przyrodniczą (empiryczną) można traktować jako pierwszy etap rozwoju wiedzy, w którym wysiłek skierowany jest na katalogowanie faktów empirycznych, przynależnych do danego „universum” i wiązanie ich w łańcuchy przyczynowe „praw naturalnych”. Drugim etapem rozwoju jest dążenie do zredukowania empiryczności nauki przez wynalezienie systemu teoretycznych postulatów, któreby pozwoliły „prawa naturalne” zastąpić czysto logicznymi dedukcjami. Jest to więc, w pierwszym okresie poszerzanie empiryczności danej dziedziny nauki co, dając jej objąć „universum”, czyni ją jednak z konieczności wiedzą przybliżoną, statystyczną, jako że indukcja leżąca u podstawy uogólnień jest operacją logicznie nieścisłą, przybliżoną lub nawet wątpliwą. W drugim okresie istnieje zmniejszanie empiryczności, przez co wzrasta ścisłość danej gałęzi wiedzy, gdyż dedukcja stanowiąca metodę wyprowadzania systemu twierdzeń z teoretycznych koncepcji (postulatów) jest operacją logicznie ścisłą. Czy i w jakim zakresie „rzeczywistość” będzie odpowiadać tak stworzonemu systemowi teoretycznemu zależy przede wszystkim od zespołu koncepcji teoretycz-

nych, w których terminach zjawiska naturalne będą opisywane, a stwierdzone to być może (i powinno) przez obserwacje i eksperymenty. Nie jest więc takie rozumowanie wznowieniem starej kontrowersji pomiędzy empiryzmem a realizmem, lecz sformulowaniem nowej postawy wobec teorii naukowej. Nie jest to również zachęta i usprawiedliwienie „dzikiego” teoretyzowania, to znaczy fantazjowania na tematy naukowe, gdyż system teoretyczny może być zaakceptowany naukowo tylko wtedy, gdy metoda dedukcji stosowanej do wyprowadzenia twierdzeń jest w istocie ścisła, a zatem choćby w zasadzie możliwa do przeprowadzenia na drodze matematycznej (*), oraz gdy twierdzenia te prowadzą do wniosków, sprawdzalnych obiektywnymi metodami eksperymentalnymi. Każdy inny rodzaj teoretyzowania nie ma nic wspólnego z nauką.

Ta nowa postawa myślowa nie tylko umożliwia szerszy rozwój nauk przyrodniczych, na co wskazują przykłady geometrii i fizyki, ale również zdaje się otwierać nowe perspektywy przed naukami humanistycznymi, a więc przede wszystkim przed psychologią, która jest w takim samym stopniu nauką kluczową dla wszystkich nauk humanistycznych, w jakim fizyka jest nią dla nauk przyrodniczych, a znajduje się dziś w takim stadium empiryczności, które umożliwia rzetelne próby teoretyzowania ścisłego.



Odkrycie, że nauki ścisłe uzależnione są w swym rozwoju od zasadniczych postulatów, przyjmowanych jako punkt wyjścia dla dedukcji, wysuwa na proscenium zagadnienie wyboru (i inwencji) postulatów i koncepcji teoretycznych, oraz kontroli, która by upewniała że grupa podstawowych założeń stanowi system kongruentny. Dobór systemu postulatów w pewnym tylko stopniu uzależniony jest od zespołu danych empirycznych (obserwacyjnych) — mianowicie od tego, czy zespół ten jest mniej lub więcej kompletny — głównie jednak zależy od arbitralnego wyboru.

Dziwnie się może z pozoru wydawać, że arbitralny wybór ma rozstrzygać o zespole postulatów, w których terminach zjawiska naturalne mogą być opisywane, ale sprawę tę wyjaśnić może uproszczony przykład analogii: jest rzeczą dowolnego wyboru, czy do opisu pewnego zjawiska naturalnego użyjemy terminu *ciecz*, czy też *płyn*, *humor*, *liquid*, *fluide*, *gwolbyr* lub jeszcze innego, mimo że każdy z tych wyrazów będzie wymagać innych form gramatycznych i innego systemu leksykalnego aby utworzyć znaczącą wypowiedź. Dowolność wyboru pociąga jed-

(*) Istnieje pożyteczna, dawno już sformułowana „reguła” orientacyjna, która powiada że tyle jest prawdziwej nauki w jakiegokolwiek dziedzinie wiedzy ile jest w niej matematyki. Choć jest to, oczywiście, pół żart, to jednak tylko pół.

nak za sobą konieczność użycia innego systemu językowego, co sprawi, że analogiczna wypowiedź może mieć węższy lub szerszy zakres znaczeniowy.

Dobór podstawowych postulatów systemu teoretycznego, będąc arbitralny, wynika z określonej postawy filozoficznej. W krańcowym więc przykładzie, postawa radykalnego sceptycyzmu (poglądu filozoficznego, który nie uznaje rzeczywistości absolutnej) musi prowadzić do innego rodzaju postulatów teoretycznych, niż na przykład postawa filozoficzna monizmu, ta zaś z kolei do innych postulatów niż filozoficzny dualizm itd. Stąd też, jedną z konsekwencji współczesnej rewolucji myśli naukowej jest wzrost zainteresowania filozofią. Bibliografia rozpraw filozoficznych (międzynarodowa) za dziesięciolecie 1934-1945 wykazuje około 25 tysięcy pozycji (a więc ponad 70 dziennie!) (*). Podobne zestawienie za pierwsze dziesięciolecie bieżącego wieku obejmowałoby mniej niż połowę równorzędnych pozycji. Powstawać jednak może pytanie, czy i w jakim stopniu współczesna filozofia akademicka potrafi sprostać wymaganiom stawianym jej przez potrzeby nauk ścisłych. Znakomity fizyk (astrofizyk) E.A. Milne, w serii wykładów wygłoszonych w 1950 roku (w Birmingham, na rok przed swym nagłym zgonem) odpowiedział na to pytanie w sposób zdecydowanie negatywny. Stwierdził on, mianowicie, że fizycy teoretyczni często żalą się iż gdy zwracają się do filozofów o pomoc, to jej nie znajdują. „Proszą o chleb — mówił on — a otrzymują kamień”. W rezultacie zmuszeni są oni do własnych prób formułowania postawy filozoficznej i spośród wybitniejszych współczesnych fizyków teoretycznych nie brak chyba żadnego, który by nie zostawił serii rozpraw lub wypowiedzi filozoficznych. Niestety, współcześni uczeni są w olbrzymiej większości ściśle wyspecjalizowanymi fachowcami. W wyjątkowych tylko wypadkach mogą oni być dokładniej obznajmieni z innymi działami wiedzy, a więc na przykład z filozofią. Wypowiedziom wybitnego uczonego z jakiegokolwiek dziedziny nauki, mówiącemu o zagadnieniach filozoficznych, dodaje niepomiernej wagi autorytet naukowy zdobyty w jego własnej specjalności, ale w istocie są to przeważnie wypowiedzi laików, źle zaznajomionych z literaturą, problematyką i współczesną techniką filozoficzną, toteż, mimo iż niekiedy zawierają one niezwykle interesujące obserwacje lub sformułowania, zostają one szybko pogrzebane w miłosiernej niepamięci.

Dzisiejsza filozofia akademicka jest wynikiem siedemnastowiecznej rewolucji naukowej. Do tego okresu filozofia obejmowała całkowity zakres wiedzy człowieka, zdobywanej przy pomocy rozumu, a więc nie na drodze Objawienia. Dlatego też filozof był w zasadzie, choć nie zawsze w praktyce, encyklopedystą. Później, po kolejnym odrywaniu się od filozofii dziedzin, które stawały się samodzielnymi naukami specjalnymi, jeżeli po-

(*) *Bibliographia Philosophiae*. Redakcja G.A. De Brie. Utrecht. Editiones Spectrum, 1954 (cena guldenów 52,50).

został jakiś trzon zasadniczy, to jest on właśnie dziedziną dzisiejszej filozofii. Pogląd na to czy i jaki zakres wiedzy pozostał z dawnej filozofii, dzieli dzisiejszą akademicką filozofię na dwie wyraźne i odrębne grupy.

Jedna z tych grup (mniej liczna) skłania się do poglądu, że z dawnej filozofii nie pozostało nic, poza całkowicie jałową młócką kontrowersji pomiędzy idealizmem a realizmem, którą i tak należy całkowicie odrzucić z zakresu filozofii naukowej. To zatem, co może być uważane że pozostaje, jako jedyna wartość intelektualna, nie różni się niczym od nauki specjalnej — logiki. Stąd też, ta grupa filozofów zajmuje się naukowo, głównie jeżeli nie wyłącznie, teorią symbolizowania (semantyką), logiką formalną i różnymi aspektami zagadnienia komunikacji (informacji), co sprawia że są to właściwie mówiąc filozofowie in partibus infidelium.

Druga grupa, do której zaliczyć można znaczną większość filozofów współczesnych, jest mniej jednolita. Uznaje ona, że z rozparcelowanej dawnej filozofii pozostała wcale grzeczna resztówka, która stanowi właściwy przedmiot dzisiejszej filozofii, ale dokładniejsza definicja tego przedmiotu jest formułowana rozmaicie i to właśnie różni poszczególne szkoły filozoficzne. Dzisiejszą konstelację tej grupy można by scharakteryzować jako zewnętrzny pierścień różnych szkół, które nawzajem traktują się z mniej lub więcej pobłażliwym lekceważeniem, a same są niekoniecznie zaliczane do „prawdziwej” filozofii przez uczonych, reprezentujących centralne zespoły grupy. Wśród tych, „zewnętrznych” szkół można odróżnić np. neo-heglistów, marksistów, bergsonistów, duhenistów, egzystencjalistów itp. Główny ośrodek grupy uważa filozofię za badanie i opis metod, kryteriów i koncepcji, stosowanych w różnych zakresach czynności intelektualnych.

Poza tym istnieje jeszcze, najbardziej zróżniczkowana, grupa filozofii, która według dość zgodnej opinii kół akademickich nie ma żadnego znaczenia naukowego, ale która niewątpliwie gra poważną rolę w wytwarzaniu intelektualnego chaosu. Do rzeczników tych filozofii należą popularyzatorzy odkryć naukowo-technicznych i psychoterapii, oraz niektórzy teologowie (i teozofowie).

Potrzeba i głód filozofii odczuwany jest dziś nie tylko przez uczonych, choć głównie wśród nich jest to potrzeba świadoma. Dla człowieka ze świata laików potrzeba filozofii jest nie mniej istotna. Filozofia przecież nie jest tylko podstawą spekulacji naukowych, ale również, a może przede wszystkim, niejako gramatyką życia. Gramatyka może być zbiorem najróżniejszych, nie pasujących do siebie reguł, czy uzusów, może być pełna niekonsekwencji i sprzeczności — w rzeczy samej chyba każda gramatyka jest właśnie taka — ale mimo to tylko gramatyka nadaje sens mowie. Tak samo „prywatna” filozofia człowieka może być „ogrodem nieplewionym” najprzeróżniejszych poglądów nawzajem sprzecznych, lub niewspółmiernych, może być, jak mó-

wił Chersterton, „zlepkiem strzępów zdyskredytowanych i dawno przebrzmiałych doktryn”, ale tylko filozofia, choćby nawet taka, nadaje sens życiu. Toteż potrzeba filozofii, potrzeba jej ulepszania i usprawniania, jest czynnikiem psychicznym o żywej aktywności, który jeżeli nie jest uświadomiony i rozumiany, to staje się nieomal instynktowny.

Nie trzeba być chyba szczególnie bystrym obserwatorem, aby dostrzec powszechną i zdecydowaną rewitalizację nastrojów religijnych, przede wszystkim, ale bynajmniej nie wyłącznie, wśród tzw. intelektualistów (i nie tylko wśród społeczeństw chrześcijańskich). Obserwowany przez jednych z przychylnym lub sarkastycznym zdziwieniem, przez innych z triumfalną radością, fenomen ten naogół przypisywany jest wpływom zjawisk dziejowych, dezorganizujących równowagę i spokój psychiczny, jak krytyczne napięcia sytuacji politycznej, niegające się wspomnienia przeżyć z katastrofy wojennej, lub zawody życiowe różnego rodzaju, nie mówiąc już o czynnikach pozaracyjnych. Wydaje się jednak, że ruch ten może mieć w części podłoże inne i przeto ukrywać w sobie źródło reakcji odwrotnej, jeżeli potrzeby te nie zostaną wydobyte z podświadomości i zaspokojone. W gruncie rzeczy, inteligent zwraca się dziś ku religii przeważnie nie tyle w poszukiwaniu pełniejszego wymiaru dla swojej duszy (często gęsto krępowałby się on użyć publicznie tego terminu w odniesieniu do siebie inaczej niż metaforycznie!), lecz w poszukiwaniu filozofii życia. Otóż trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że religia jako źródło i przewodnik życia duchowego, oraz system organizacji procesów emocjonalnych jest, lub może być czynnikiem najwyższej skuteczności, ale jako *substytut* filozofii, a więc organizatora życia intelektualnego jest po prostu nieporozumieniem, które prowadzi do zawodu i rozczarowania.

Cytowany dziś znacznie częściej niż czytany, Arnold J. Toynbee powiada że „przed końcem siedemnastego stulecia nasi praojcowie świadomie wycofali swój skarbiec z religii i ulokowali go w naukach przyrodniczych”. Toynbee nie mówi wyraźniej, a czytelnik jego, urzeczony zasięgiem potężnych wizji i magią słowa tego, jednego z nielicznych historyków-poetów, nie dostrzega może iż nie dowiedział się o jakim to skarbie mowa. Inteligent w siedemnastym stuleciu zaczął rezygnować z czerpania filozofii z religii, gdzie w istocie znajdował tylko jej substytut, a natomiast zwrócił się ku nowo utworzonej nauce ścisłej, gdyż ta zdawała się obiecywać, że odkryje prawa naturalne, które stać się mogą filozofii niewzruszonym fundamentem.

Wystarczyło trzech wieków aby złudzenie to się rozwiało. Dziś zaczynamy rozumieć, że nie ma praw naturalnych innych, niż koncepcje teoretyczne, a te zaś są konsekwencją, świadomej czy nieświadomej, postawy filozoficznej. Ze zatem trzeba (jak w zmodyfikowanej formule alchemicznej) *mieć* filozofię aby znajdować „piawa naturalne”, nie zaś odwrotnie. Czy znaczy to jednak, że w panice odwrotu należy z powrotem cofnąć się do

szukania filozofii w religii? Kto wie, czy formuła alchemiczna nie sięga również i tutaj; czy nie należy mieć filozofię aby znajdować „prawą religijną”, a więc koordynację życia duchowego z życiem intelektualnym?



Rozbrat filozofii naukowej z potrzebami intelektualnymi rozpoczął się zarysowywać wyraźnie od czasów Emmanuela Kanta, jak twierdzi prof. Blanshard, który jest profesorem filozofii na uniwersytecie w Yale (*). Kant był pierwszym z filozofów, który przestał liczyć się z tym, czy jego wywody będą dostępne dla zwykłego inteligentnego czytelnika. Zaczął się on posługiwać terminologią ściśle akademicką, zwracając się w ten sposób tylko do ograniczonego zespołu fachowych filozofów. Filozofia Kanta jest chronologicznie pierwszą, która, aby dotrzeć do literata, publicysty, polityka, czy nawet uczonego z innej dziedziny wiedzy, wymaga popularyzacji, a zatem związanych z nią uproszczeń, omówień i — zniekształceń. Jako przykład, Blanshard cytuje wyznanie Macaulay'a, który zanotował w swym dzienniku po otrzymaniu egzemplarza „Krytyki”: „Próbowałem czytać ją ale znajduję że jest ona całkowicie niezrozumiała, zupełnie jakby była pisana w sanskrycie... Wydaje mi się, że powinno być możliwe wytłumaczenie prawdziwej teorii metafizyki w słowach, które mógłbym zrozumieć. Potrafię rozumieć Locke'a i Berkeley'a, Hume'a, Reida i Stewart'a, rozumiem „Akademików” Cycera i większość Platona, zdaje mi się zatem dziwne, że z książki o elementach metafizyki... nie jestem zdolny zrozumieć ani słowa” (**).

Przykładów podobnych opinii o pracach filozofów dawnych i nowych, opinii wypowiedzianych przez intelektualistów nieprzeciętnej miary, Blanshard przytacza więcej i zastanawia się czy nie jest to po prostu sprawa stylu wypowiedzi filozofów. Powiada on, że filozof napewno nie zdobyłby się na taki objaw nietaktu aby w towarzystwie informować przyjaciela szeptem o sprawach, które są równie interesujące i ważne dla wszystkich obecnych, ale pozwala on sobie przemawiać do audytorium w języku, który, jak dobrze wie, jest całkowicie niezrozumiały dla większości słuchaczy. Rozwijając jednak temat stylu i jasności języka, amerykański filozof dochodzi do wniosku, że zdobycie stylu, któryby pozostając jasny, w pełni wyrażał myśl pisarza, leży wprawdzie w zakresie możliwości wysiłku intelektualnego, ale przeważnie wymaga bardzo znacznych tego wysiłku nakła-

(*) Brand Blanshard. *On Philosophical Style*. Manchester University Press, 1954. (Str. 69. Cena sh. 5.)

(**) Co prawda Kant opracował ten sam temat po raz drugi w książce *Prolegomena do wszelkiej przyszłej metafizyki, któraby miała uchodzić za naukę* i ujął go w sposób nieco bardziej (ale tylko nieco bardziej) dostępny dla niefachowca.

dów. Gdy jednak styl taki się osiągnie, to będzie on równocześnie, jak to sformułował Whitehead, „ostateczną moralnością umysłu”. A zatem, że taki styl nie tylko jasno wyrazi myśl, ale również jaskrawo uwypukli jej defekty.

Profesor Blanshard nie stawia kropki nad i. Trudno nie dodać jednak, że temat który rozwija bynajmniej nie wyczerpuje zagadnienia. To nie jest tylko konsekwencja stylu i języka (a choćby i defektów rozumowania), która sprawia, że proces rozpoczęty przez Kanta doprowadził do stanu dzisiejszego, kiedy nierzadko uważa się filozofię naukową za wyłączną dziedzinę ekspertów i gimnastykę umysłową pedantów, nie mającą bezpośrednio praktycznego znaczenia; za dziedzinę naukową tak ekskluzywną jak np. gemmologia, lub też za sztukę w pełni abstrakcyjną, która operuje estetyką gruntownie wypraną z emocji.

Zasadnicze zagadnienia filozofii pozostają te same od wieków i każdy z jej problemów był analizowany i formułowany wielokrotnie. Nowoczesny filozof jest świadom nie tylko tych wysiłków swych poprzedników, ale również usterek, jakie w owych sformułowaniach były wykryte i wytknięte. Konstruuje on takie wypowiedzi, które byłyby wolne od usterek, ale naogół udaje się mu to tylko za cenę uogólnień. W rezultacie otrzymujemy stwierdzenia, które są może ściśle i bezbłędne, ale tak uogólnione, że konkretny problem rozplywa się bez reszty w bezbrzeżnym morzu abstrakcji. Dlatego też nowoczesny filozof, który może posiada jakąś własną, czy wyznawaną doktrynę filozoficzną, przeważnie w swych pismach sprawia takie wrażenie jakby starał się swą doktrynę utaić, nie zaś przedstawić i uzasadnić jej konsekwencje. Niestety zaś, jedynie doktryna filozoficzna jest tym przyrządem w którym koncepcje postulatów naukowych mogą się uformować. To też, gdy fizyk, czy inny uczony-teoretyk, zwraca się do współczesnej filozofii o pomoc, to, spodziewa się jej w postaci odpowiedniego przyrządu-doktryny, a tego właśnie nie znajduje.

Czy jednak znaczy to, że filozof współczesny ma mniej odwagi niż jego poprzednicy i lęka się narazić swoje sformułowanie doktryny na bolesną krytykę, czy też ma mniej wiary we własne siły intelektualne? Oczywiście, że taki zarzut mógłby pasować tylko do nielicznych. Filozof dzisiejszy jednak wie z doświadczenia wieków ubiegłych, że sformułowania doktryn filozoficznych szybko tracą swoją potencję. Doktryna filozoficzna jest właściwie niczym innym jak zasadniczym schematem ideologii. Ideologia zaś jest to, mniej lub więcej zcałkowany, zespół opinii osobistych, które ze swej strony, w znacznym a nieznanym stopniu, wywodzą się z nastrojów emocjonalnych, automatyzmów obyczajowych i tendencji instynktownych. Te zaś zjawiska, które są w jakiś sposób powiązane z kulturą, charakterem i typem osobowości, stanowią domenę psychologii. Póki zatem psychologia nie potrafi uporać się z wyjaśnieniem zjawiska procesów psychicznych i ich związku z procesami intelektualnymi, póty filozofia nie zdoła posunąć swych odkrywczych i twórczych osią-

nieć poza granice jednego (intelektualnie) pokolenia, lub przy-
najmniej określonego „typu” psychicznego.

Z drugiej jednak strony można zauważyć, że rozwój psycholo-
gii jako nauki ścisłej musi być, jak rozwój każdej dyscypliny
naukowej, uzależniony od stanu filozofii. W istocie psycholo-
gia i filozofia związane są wzajemną zależnością i rozwijać się
mogą tylko w równoległym postępie. Podobna zależność wza-
jemna istnieje również pomiędzy filozofią i fizyką, gdzie równo-
legły rozwój doprowadził do postępu, który musimy ocenić jako
imponujący. Doszedł on jednak do stanu, który jak się zdaje,
pozostać musi statyczny, póki psychologia nie wyrówna pozycji.

Psychologia jest zatem tą dziedziną naukową, na którą uwa-
ga i wysiłek intelektualny najbliższych dziesięcioleci muszą być
głównie skierowane. Tu znajdują się obszary dziewicze, gdzie
odkrycia, które mogą gruntownie przeobrazić naszą epokę, cze-
kają na śmiałości dostatecznie wyekwipowanych, aby do nich
dotrzeć. Pojawiające się ostatnio, a coraz liczniejsze próby trak-
towania psychologii jako nauki empirycznej, wymagającej już
wprowadzenia postulatów dla ujęcia wielkiego jej „universum”
w konsekwentny system koncepcji teoretycznych, mogą być oz-
nakami, które wskazują, że psychologia przekracza już bariery
oddzielające ją od królestwa nauk ścisłych.

J. HORZELSKI

POLSKIE SŁOWO NA OBCZYŹNIE

ROZPOCZYNAJĄC DRUGIE DZIESIECIOLECIE
SWEJ PRACY NA OBCZYŹNIE

KSIĘGARNIA POLSKA W LONDYNIE

ORBIS

38, Knightsbridge, London S.W.1.

przesyła wszystkim swoim Klientom i Przyjaciółom

podziękowanie

*za dotychczasowe zlecenia i zapewnienie
najstaranniejszego załatwiania Ich zleceń nadal.*

Zawsze na składzie ponad 3.000 tytułów.

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE

o r a z

PLYTY GRAMOFONOWE POLONIA

Około 100 płyt własnych nagrań
w wykonaniu najwybitniejszych polskich artystów
na emigracji.

Płyty wysyłamy w specjalnym opakowaniu i ubezpieczone.
W Paryżu: Księgarnia Princesse, 15, rue Princesse, Paris 6.
Katalogi książek i płyt wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Fragmenty z dziennika

Niedziela.

Chcę dopowiedzieć resztę o mojej przeszłości argentyńskiej.
Wiedziecie już w jakim stanie ducha przybyłem z La Falda do
Buenos Aires.

Byłem wówczas o tysiące mil od literatury. Sztuka? Pisanie?
Ależ to wszystko pozostało na tamtym kontynencie i jak zabite
deskami, skonane... a ja, Witoldo, wprowadzić przedstawiałem
się czasem jako „escritor polaco”, niemniej byłem już tylko jed-
nym z wydziedziczonych, jakich wielu gościła ta pampa, wysie-
dlonych nawet z tęsknoty za przeszłością. Ja zerwałem... i wie-
działem że literatura nie mogłaby zapewnić mi w rolniczo-hodo-
wlanej Argentynie ani sytuacji społecznej, ani dobrobytu mate-
rialnego. Więc po co? Jednakże, w drugiej połowie 1946-go ro-
ku (gdyż czas upływał) znalazłszy się po raz nie wiem który
z wypróżnioną zupełnie kieszenią i nie wiedząc, skądby załapać
niedużo grosza, wpadłem na następujący pomysł: poprosiłem Ce-
cylię Debenedetti aby sfinansowała przekład „Ferdydurke” na
hiszpański i zastrzegłem sobie sześć miesięcy na wykonanie za-
dania. Cecylia zgodziła się chętnie. Zabrałem się więc do pracy,
która tak wyglądała: naprzód ja tłumaczyłem, jak mogłem,
z polskiego, a potem zanosilem maszynopis do kawiarni Rex,
gdzie moi przyjaciele argentyńscy przerabiali wraz ze mną zda-
nie po zdaniu, szukając słów właściwych, walcząc ze składnią,
z nowotworami, z duchem języka. Ciężka robota, którą rozpo-
cząłem bez zapasu po to tylko aby przeżyć jakoś najbliższe mie-
siące, a oni, ci amerykańscy pomocnicy, przystępowali do tego
z rezygnacją, ot, chodziło o zrobienie „gauczady” ofierze wojny.
Ale, gdy przetłumaczyliśmy kilka pierwszych stron, Ferdy-
durke, książka już dla mnie umarła, leżąca przede mną obojęt-
nie, jak rzecz, zaczęła nagle dawać oznaki życia... i spostrze-
głem na twarzach tłumaczy rosnące zainteresowanie, ach, wi-
dzisz, teraz już z wyraźną ciekawością wgryzają się w tekst!
Wkrótce to tłumaczenie zaczęło przyciągać ludzi, na niektórych
sesjach w Rexie bywało kilkanaście osób — ale tym, który

wziął tę sprawę do serca, jak własną, którego uczyniłem przewodniczącym „komitetu” złożonego z kilku literatów a trudniącego się ostateczną redakcją, był Virgilio Piniera, Kubańczyk wielce utalentowany. On przede wszystkim, a potem także Humberto Rodríguez Tomeu — obaj z Kuby, obaj z ducha europejczy, w zażartej, rozpaczliwej walce z Ameryką dookólną i z Ameryką w sobie — oraz poeta argentyński, Adolfo de Obieta, najwięcej przyczynili się do doprowadzenia do końca tego trudnego a, jak potem oceniła krytyka, wcale wybitnego przekładu.

Co do mnie, nie czytałem „Ferdydurke” od siedmiu lat, wykreśliłem ją z mego życia. Teraz czytałem znowu, zdanie po zdaniu... i słowa jej był dla mnie nieważne. Nicość słów. Nicość idei, problemów, stylów, postaw, nicość nawet buntu — nicość sztuki. Słowa, słowa, słowa — wszak to wszystko niczego we mnie nie załatwiło, cały ten wysilek bodaj tylko pogrążył mnie bardziej w mojej zieleni. Na cóż mnie było brać tę niedojrzałość za rogi — czy po to aby mnie poniosła? W „Ferdydurke” walczą dwie miłości, dwa dążenia — dążenie do dojrzałości i dążenie do wiecznie odmładzającej niedojrzałości — książka ta jest obrazem walki o własną dojrzałość kogoś zakochanego w swej niedojrzałości. Ale było jasne, że mnie nie udało się przezwyteńczyć tej miłości, ani też jej ucywilizować i ona, dzika, nielegalna, tajna, po dawnemu szalała we mnie, jako coś sekretne i zakazane. Na cóż więc to napisałem? I śmieszna impotencja słów wobec życia!

A jednak! Tekst dla mnie nieistotny okazywał się skuteczny poza mną — w świecie zewnętrznym — a zdania dla mnie nieżywe ożywiały się w innych — i jakże inaczej mogłem wytłumaczyć sobie, że naraz książka stała się czymś cennym i osobiście bliskim dla niektórych z tej literackiej młodzieży... i to bynajmniej nie tylko jako sztuka, ale także jako bunt, rewizja i walka. Sprawdziłem na nich, że dotknąłem miejsc kultury unerwionych i drastycznych, a jednocześnie widziałem jak ten zapal, który w każdym z nich z osobna nie byłby może długotrwały, zaczyna się konsolidować „między nimi”, mocą tego, że jeden drugiego pobudzał i utwierdzał w zapale. Lecz, jeśli tak działało się z tą garstką, dlaczego nie miałyby powtórzyć się z innymi, gdy „Ferdydurke” zostanie wydana? A więc książka mogła liczyć tutaj, zagranicą, na ten sam oddźwięk co w Polsce — albo dużo większy. Była więc uniwersalna. Była jedną z tych chyba bardzo, bardzo nielicznych u nas książek, zdolnych poruszyć naprawdę obcych najlepszej klasy, czytelników. A w Paryżu? Uprzytomniłem sobie, że światowa kariera „Ferdydurke” nie jest czymś z dziedziny li tylko snów (o czym dawniej wiedziałem; ale zapomniałem).

Jednakże, natura moja, przykuta do niższości, stawała dęba na samą możliwość wywyższenia i to ponowne wtargnięcie literatury w moje życie mogło okazać się — tego się lękałem — ostateczną likwidacją Retiro. Opowiem wam coś charakterystycznego:

tycznego: gdy wydano „Ferdydurke” zaniósłem ją tam „gdzie stoi wieża przez Anglików zbudowana” i pokazałem ją Retiro — na pożegnanie, na znak chyba ostatecznego zerwania. Płonny żal i lęk! Co za iluzja! Nie doceniałem sennej nieruchomości Ameryki. Jej soków, które rozpuszczają wszystko. „Ferdydurke” utonęła w tej nieruchomości, nie pomogły recenzje w prasie ani wysiłki jej zwolenników, była to, ostatecznie, książka cudzoziemca, i, nota bene, nieuznanego w Paryżu, tak właśnie, nieuznanego w Paryżu... I nie odpowiadająca ani tej grupie inteligencji argentyńskiej, która, będąc pod znakiem Marxa i proletariatu, domagała się literatury politycznej, ani tej, która karmiła się wybrednościami europejskiej kuchni. A także opatrzona przeze mnie przedmową, gdzie o pisarstwie argentyńskim i polskim wyrażałem się bez większego respektu, zarzucając im fikcyjną dojrzałość, a czytelnika traktowałem — na wszelki wypadek — bez większej czołobitości. Zakończyłem przedmowę wezwaniem, aby nie stawiano mnie w przykrym położeniu częstując grzecznościowymi frazesami przyjętymi w takich wypadkach. Wobec tego, że dotąd rola społeczna sztuki rozumiana jest fałszywie i że, wskutek tego, nie umiecie właściwie traktować artystów ani mówić z nimi — pisałem — nie mówcie mi nic. Oszczędźcie sobie i mnie tego wstydu. Jeśli chcecie dać mi do zrozumienia, że dzieło wam się spodobało, dotknijcie prawego ucha; dotknięcie lewego oznaczać będzie sąd ujemny, a dotknięcie nosa — sąd pośredni. Tak lekko, nawet lekkomyślnie, wprowadziłem w świat argentyński „Ferdydurke” — albowiem ten powtórny debiut zastawał mnie bardziej jeszcze nieustępliwym wobec czytelnika i jego łaski lub niełaski.

Do tego dochodziły jeszcze inne względy, odsuwające mnie coraz bardziej od środowiska intelektualnego: ja byłem zdania, że intelektualści źle robią oddzielając się murem chińskim od rewolucji — nieuniknionej — która już wówczas stawała się rzeczywistością w Argentynie, że, owszem, należało wsadzić w ten proces historyczny cały intelekt i oświecenie kraju — ten zaś pogląd był nie do przelknięcia dla intelektu, oderwanego od sfery niższej, zatopionego w idyllicznej wizji „demokracji” z początków tego stulecia i nie liczącego się z ciśnieniem faktów. Więc i w tym trudno mi było z nimi się porozumieć. Uważam za względny sukces, że w tych warunkach nakład w ciągu paru lat został prawie wyczerpany i że mój wydawca nie stracił na tym interesie, a i mnie wypłacił trochę grosza. Zresztą przeciętny czytelnik argentyński wcale nie był zły, przeciwnie, zdolny asymilować a o ileż mniej dziedzicznie obciążony i nafaszerowany kompleksami niż Polacy. Ale w środowisku, w którym nikt nie ufał sobie ani nikomu innemu (ta klęska środowisk kulturalnie wtórnych), gdzie nie było ludzi mogących narzucić wartość, „Ferdydurke” nie mogła uzyskać autorytetu — a książkom trudnym i wymagającym wysiłku autorytet jest konieczny potrzebny, po prostu aby zmusić ludzi do czytania. Tak czy owak znów zostałem wciągnięty w tryby literatury. Zacząłem szkicować dra-

mat „Ślub”, już wyraźnie i, powiedziałbym, bezwstydnie nastawiając siebie na genialność, celując w coś na miarę szczytów, na miarę Hamleta lub Fausta, w czym wypowiedziałyby się nie tylko bóle epoki, ale i rodzące się nowe odczuwanie ludzkości... Jakże łatwe wydawały mi się wielkość i genialność, łatwiejsze bodaj od poprawności, której wymaga przeciętnie dobry tekst; a nie wynikało to z jakiejś naiwności mojej lecz z tego, że wielkość, genialność wraz ze wszystkimi innymi wartościami zostały mi spustoszone przez jedynego demona, który naprawdę był dla mnie ważny, przez tę wielką destruktorke wartości, młodość. Nie czułem dla nich respektu ponieważ mi na nich specjalnie nie zależało i, wobec tego, mogłem ich zażywać swobodnie. Nie trudno przejść po desce na wysokości 10-go piętra, gdy człowiek przestał być wrażliwy na wysokość — idziesz po niej, jakby leżała na ziemi. (Ale z tego nie można robić zarzutu „Ślubowi” — on bynajmniej nie ukrywa tej właśnie „łatwości”).

Dość na tym, że z końcem w Europie owego wybuchu, wyrzucającego podziemne fermenty, i ja zacząłem się cywilizować. Ale, gdy pierwszy mój debiut literacki w Polsce był parciem od wewnątrz na zewnątrz, ten drugi, w Argentynie, urzeczywistniał się pod działaniem sił zewnętrznych — tam, wtedy, pisałem z potrzeby wewnętrznej — tu, teraz, poddawałem się pewnemu już istniejącemu porządkowi rzeczy, który skazywał mnie na literaturę, kontynuowałem siebie samego sprzed lat. Drobna różnica, a jednak o niezmiernym i tragicznym znaczeniu, zwiastująca że właściwie przestałem istnieć i przerzuciłem się poza krąg orbity — istniałem już tylko jako konsekwencją tego co sam z sobą dokonałem uprzednio. Zachowałem jednak dobry humor... zachowałem przede wszystkim pozory rozgrzeszającego dzieciństwa. A praca literacka zaczęła znów mnie wciągać w dyalektykę mojej rzeczywistości i znowu powstawało pytanie: co począć w literaturze, w kulturze z owymi tak kompromitującymi związkami moimi z młodością, z niższością, do jakiego stopnia to nadawało się do ujawnienia? Byłże to tylko kompleks, choroba, zboczenie, casus kliniczny — czy też coś mającego prawo obywatelstwa wśród istot normalnych? A drugie pytanie: byłoż to wywalanie otwartych drzwi, czy też trudne przenikanie na teren dzikie, dziewiczo wstydlive? Reasumując: czy to nadawało się do zużytkowania w sztuce?

Psychoanaliza! Diagnozy! Formułki! Jabym ugryzł rękę psychiatry, któremu by się zachciało wypatroszyć mnie z mojego życia wewnętrznego — nie w tym rzecz aby artysta nie miał kompleksów, a w tym, by kompleksy przetworzył na wartość kultury. Artysta, według Freuda, to neurotyk, który sam się leczy — a z tego wynika, że nie może leczyć go nikt inny. Ale jak na złość za sprawą tej ukrytej reżyserii, którą nie ja jeden odkrywałem w życiu, w tym właśnie czasie ukazał mi się obraz kliniczny hysterii przez ścianę sąsiadującej z moimi uczuciami, będącej prawie ostrzeżeniem: uważaj, jesteś o krok od tego! Mianowicie, za pośrednictwem pewnych moich przyjaciół z ba-

letu, który przybył do Argentyny na gościnne występy, wszedłem w środowisko krańcowego, szalonego homoseksualizmu. Mówię „krańcowego”, gdyż o homoseksualizm „normalny” ocierałem się od dawna, światek artystyczny pod wszystkimi równoleżnikami przepojony jest tą miłością — ale tu objawiło mi się jej oblicze już do szaleństwa frenetyczne. Niechętnie dotykam tego tematu. Dużo wody upłynie zanim będzie można o tym mówić i, co więcej, pisać. Nie ma dziedziny bardziej zakłamaną i zamroczoną namiętnością. Tu nikt nie pragnie ani nie może być bezstronny. De gustibus... Wściekłość skręcających się z obrzydzenia „męskich” mężczyzn — umęczonych, wzajemnie hodojących i potęgujących w sobie męskość — kłótwy moralności, wszystkie ironie, sarkazmy i gniewy kultury, pilnującej prymatu kobiecego powabu — spadają na efeba, przemycającego się chyłkiem na mrocznym pograniczu naszej oficjalnej egzystencji. I rzecz ta nabiera zjadliwości na wyższych szczeblach rozwoju. Tam poniżej, tam, w dole, nie ujmuje się tego tak tragicznie, ani tak sarkastycznie, a najzdrowsi i najzwyczajniejsi chłopcy z ludu oddają się temu nieraz z braku kobiety — i to, jak się okazuje, wcale ich nie paczy i nie przeszkadza, później, w najbardziej poprawnym ożenku.

Jednakże grono, z którym teraz się spotkałem, było złożone z mężczyzn zakochanych w mężczyźnie bardziej niż jakakolwiek kobieta, byli to „putos” w stanie wrzenia, nie znający chwili odpoczynku, w ciągłej pogoni, „rozrywani przez chłopców jak przez psy”, podobnie jak mój Gonzalo w „Trans-Atlantyku”. Jadałem kolację w restauracji, gdzie założyli swoją kwaterę główną i co wieczór zanurzałem się w odmętach ich szału, ich nabożeństwa, ich konspiracji rozlubowanej i udęczonej, ich czarnej magii. Byli zresztą wśród nich ludzie pierwszorzędni, o świetnych zaletach duchowych, którym przyglądałem się z przerażeniem, widząc w ciemnej tafli tych jezior szalonych odbicie własnej mojej problematyki. Znów pytałem siebie, czy nie jestem jednak i pomimo wszystko jednym z nich? Czy nie było możliwe, ba, prawdopodobne, że byłem takim jak oni szaleńcem, w którym jakaś komplikacja wewnętrzna stłumiła pociąg fizyczny? Poznałem już siłę sceptycyzmu, z jakim przyjmowali wszystkie „wykręty”, wszystko co ich zdaniem było tchórzliwym upiększeniem brutalnej prawdy. A jednak — nie. A jednak dlaczegoż miało być niezdrowe moje rozmiłowanie w życiu młodym, jeszcze nieznużonym, w tej świeżości? W życiu rozkwitającym, to jest jedynym jakie zasługuje na miano życia, gdyż tu nie ma fazy pośredniej, to co nie rozkwita, więdnie. Czyż ono nie było przedmiotem ukrytej zazdrości i uwielbienia niemniej sekretnej wszystkich, jak ja, skazanych na wykańczanie się powolne, pozbawionych łaski codziennego pomnażania żywotności? Czy ta granica pomiędzy życiem wstępującym i zstępującym nie była najistotniejsza ze wszystkich? Jedyna różnica, jaka zachodziła pomiędzy mną a „normalnymi” mężczyznami polegała na tym, że ja uwielbiałem błysk tej bogini — młodości — nie tylko

w dziewczynie, lecz i w młodym chłopcu, że nawet młody był dla mnie doskonalszym jej wcieleniem niż młoda... Tak, grzech, jeśli istniał, sprowadzał się do tego, że ja ośmielałem się podziwiać młodość niezależnie od płci i wydobywałem ją spod panowania Erosa — że na piedestale, na którym oni umieszczali młoda kobietę, ja odważyłem się postawić chłopca. Tu więc stało się jawne, że oni, mężczyźni, godzą się na uwielbienie młodości tylko o tyle o ile jest im dostępna, o ile jest czymś nadającym się do posiadania... natomiast młodość zawarta w ich kształcie, taka, z którą nie mogli się złączyć, była im w niepojęty sposób wroga.

Wroga? Uważaj (mówiłem sobie), abyś nie wpadł w głupstwo sentymentalne, w marzycielstwo... Wszak co chwila mogłem oglądać objawy życzliwości Starszego dla Młodszego i nawet czułość. A jednak! A jednak! Zachodziły równocześnie fakty, które oznaczały coś wręcz przeciwnego: okrucieństwo. Ta arystokracja biologiczna, ten kwiat ludzkości prawie zawsze był przeraźliwie głodny — spoglądający przez szyby restauracji na starszych, którzy mogli się najeść, zabawić — gnany w ciemnościach niezaspokojonymi instynktami, dręczony pięknością nienasyconą — kwiat zdeptany i odepchnięty, kwiat poniżony. Kwiat dorastającej młodzieży, musztrowanej przez oficerów i przez tychże oficerów wysyłany na śmierć, te wojny będące przede wszystkim wojnami chłopców, wojny nieletnie... to wychowywanie ich w ślepej dyscyplinie aby umieli się krwawić gdy zajdzie potrzeba. Cała straszliwa przewaga Dorosłego, społeczna, ekonomiczna, intelektualna, urzeczywistniająca się z okrutną bezwzględnością i zresztą akceptowana przez tych, którzy ulegali. Było więc tak jak gdyby głód chłopca, śmierć chłopca, ból chłopca miały z istoty swojej mniejszą wagę niż śmierć, ból i głód Dojrzałych, jakby nieważność szczeniaka udzielała się jego cierpieniom. A ta właśnie nieważność, ta „podrzędność” szczenięcia sprawiała, że młodzież była niewolnicą, używaną do posług będących niejako poniżej już skonsolidowanej ludzkości. Rozumiałem, że wszystko to dokonywało się prawie samo przez się, po prostu dlatego, że z upływem lat wzrasta ciężar i znaczenie osoby w społeczeństwie, ale czyż nie nasuwało się także podejrzenie, że Dorosły gnębi Młodszego aby nie paść przed nim na kolana? Czy opar dławiący wstydu, który wytwarzał się wokół tego i innych podobnych pytań, nie był wystarczającym dowodem, że coś tutaj jest niewyznane i że nie wszystko da się wytłumaczyć zwykłą grą sił społecznych? I czy owa olbrzymia fala miłości zakazanej i hańbiącej, rzucającej naprawdę mężczyznę na kolana przed chłopcem nie była zemstą natury za gwałt popełniany przez Starzejącego się na Dorastającym.

Mglistość tych pytań, ich wieloznaczność a nawet dowolność nie pozbawiła ich wagi w moich oczach... jak gdyby z góry mi było wiadome, że coś w tym musi być z prawdy. Ale zagadnienie stało się jeszcze bardziej kłopotliwe, gdy zaczynałem zastanawiać się jak dalece w naszej kulturze odzwierciedla się ta opo-

zycja pomiędzy życiem wstępującym a zstępującym. O co mnie chodziło? Czego bym pragnął? Mnie chodziło w pierwszym rzędzie o to, aby fatalna granica, rozdzielająca dwie nie tylko odrębne ale przeciwstawne fazy życia, została uznana i uwidoczniła. Tymczasem wszystko w kulturze wskazywało raczej na chęć zatarcia granicy — dorośli zachowywali się jakby nadal żyli, tym samym życiem co młodzież, nie innym. Nie przeczę, że istnieje żywotność w dorosłym a nawet w starcu, jednakże nie jest ona z istoty swojej ta sama, ona jest już tylko wbrew umieraniu. Ale właśnie ci ludzie już umierający musieli przewagę, oni dysponowali siłą skumulowaną w ciągu swego życia i oni to wytwarzali i narzucali kulturę. Kultura była dziełem starszych — dziełem umierających.

Dość mi było na jeden moment związać się duchowo z Retiro, a język kultury zaczynał brzmieć w uszach fałszywie i pusto. Prawdy. Hasła. Filozofie. Morałności. Religie. Kodeksy. Ależ wszystko to było jak gdyby w innym rejestrze, wymyślone, powiedziane, napisane przez ludzi już częściowo wyeliminowanych z egzystencji, którym brak było przyszłości... ciężkie dzieło ociężałych, sztywny twór sztywności... podczas gdy tam, w Retiro, cała ta kultura rozpyływała się w jakiejś młodej niedostateczności, młodym niedorozwoju, młodej niedojrzałości, stawała się „gorsza”... „gorsza” dlatego, że ktoś kto jeszcze może się rozwijać jest zawsze „gorszy” od swego ostatecznego urzeczywistnienia. Sekret Retiro, demonicznym zaiste, było, że tam nie mogło dojść do pełnego wyrazu, wszystko musiało być poniżej poziomu, niejako w fazie wstępnej, niezrobione, tonące w niższości... a jednak to było właśnie życie żywe i godne podziwu, najwyższe nam dostępne jego wcielenie. Nietzscheanizm i jego afirmacja życia? Ale Nietzsche nie miał najmniejszego wyczucia tych spraw, trudno wyobrazić sobie coś bardziej papierowego a nawet śmiesznieszego i w gorszym smaku niż jego nadczłowiek i jego młoda bestia ludzka, nie, nieprawda, nie pełnia ale właśnie niedostateczność, gorszość, niższość, niedojrzałość są właściwe temu co jeszcze jest młode, czyli żywe. Wówczas jeszcze nie wiedziałem że o dość podobne do moich trudności, związane z chęcią ujęcia życia na gorąco, w ruchu, rozbijają sobie głowę egzystencjalizmy, które dopiero po wojnie uzyskały rozgłos. Zrozumcież moją samotność i moją wewnętrzną sprzeczność, która stawała się pęknięciem na całym moim przedsięwzięciu artystycznym: jako artysta byłem powołany do ubiegania się o doskonałość — ale przyciągała mnie niedoskonałość; miałem stwarzać wartości — jednak coś jak podwartość lub niedowartość stało mi się cenne. Wenus miłońską, Apolla, Partenon, Sykstyne i wszystkie fugi Bacha oddawałem za jeden trywialny żart wypowiedziany ustami zbratanymi z poniżeniem, ustami poniżającymi...

Czas już kończyć te zwierzenia. Nic z tego, o czym tu piszę, nie zostało we mnie „rozwiązane” — wszystko pozostało fermentem do dzisiaj. Może kiedy indziej opowiem, jak w następ-

ných latach ponowne wtargnięcie w moje życie tamtej mojej ojczyzny, Polski, oddaliło mnie od Retiro i częściowo przywróciło inną sprawę. Jeśli musiałem wywnętrzyć się z tych argentyńskich doświadczeń, to ponieważ jest moim zdaniem ważne aby człowiek przemawiający publicznie — literat — wprowadził od czasu do czasu słuchacza poza fasadę formy, we wrzący tygiel swojej prywatnej historii. Śmieszna ona, a nawet upokarzająca? Tylko dzieci lub dobrodusze ciotki (których staropanieńska niewinność jest, niestety, ważnym czynnikiem naszej opinii publicznej) mogą wyobrazić sobie, że pisarz jest istotą spokojnie wysublimowaną, wzniosłym duchem, pouczającym z wyżyn swego „talentu” o tym co Dobre i Piękne. Nie, pisarz nie zasiada na szczytach, lecz z dołu pnie się do góry — i któż śmiałyby poważnie wymagać abyśmy na naszym papierze rozwiżywali wszystkie gordyjskie węzły egzystencji? Człowiek jest słaby i ograniczony. Człowiek nie może być silniejszy niż jest. Wzmoczenie siły człowieka może nastąpić tylko wtedy, gdy inny człowiek użyczy mu siły. Więc zadaniem literata nie jest rozwiązywać problemy, a tylko je stawiać aby skupiły na sobie uwagę powszechną i dostały się między ludzi — tam one zostaną w jakiś sposób ułożone, ucywilizowane.

I chcę dodać na zakończenie, że poczucie tej właśnie impotencji wobec problemu skłaniało mnie w latach następnych do wycofywania się z teorii w ludzi, w konkret osób ludzkich. Z mgieł Retiro dwa wyłoniły się zadania, wyraźne, ważne — decydujące o tym, czy będę mógł w przyszłości wypowiadać się bardziej szczerze, czy też będę zmuszony ukrywać się z sobą... Pierwsze z nich, rzecz jasna: nadać pierwszorzędność owemu podrzędnemu słowu „chłopiec”, do wszystkich oficjalnych ołtarzy dobudować jeszcze jeden, na którym stanąłby młody bóg gorszości, niższości, nieważności, w całej swojej, związanej z dołem, potęgą. Oto konieczne poszerzenie naszej świadomości — wprowadzić, do sztuki przynajmniej, do mojej sztuki przynajmniej, ten drugi biegun stawiania się, nazwać kształt ludzki, który brata nas z niedostatecznością, zmusić aby mu hołd oddano! Ale tu wylańczało się drugie zadanie, bo nawet zahaczenie końcem pióra tego tematu było niemożliwe bez uprzedniego wyzwolenia się z „męskości” i, aby móc o tym mówić czy pisać, musiałem naprzód przezwyciężyć w sobie strach przed niedostatecznością w tym względzie, przed kobiecością. Ach! Znałem tę męskość, którą fabrykowali sobie oni, mężczyźni, między sobą, podjudzając się do niej, zmuszając się do niej wzajemnie w panicznym strachu przed kobietą w sobie, znałem mężczyzn, wyteżonych w dążeniu do Męczyzny, samców kurczowych, dających sobie szkołę męskości. Męczyzna taki sztucznie potęgował swoje cechy: był przesadny w ociężałości, brutalności, sile i powadze, był tym, który gwałci, który zdobywa przemocą — więc bał się piękności i wdzięku, które są bronią słabości, zapamiętywał się w samczej potworności, stawał się wyuzdany i trywialny, albo tępy i niezdarny. Najwyższym urzeczywistnie-

nem tej „szkoły” były chyba owe bankiety pijanych oficerów gwardii carskiej — na których przywiązywano sobie sznurek do organu męskiego po czym, pod stołem, jeden ciągnął drugiego za sznurek, a ten kto pierwszy nie wytrzymał i krzyknął, płacił kolację. Ale duch tej męskości wzmoczonej objawiał się we wszystkim, rzec można — w historii. Widziałem jak takim mężczyznom ich paniczna męskość odbierała nie tylko poczucie miary, ale i wszelką intuicję w postępowaniu ze światem: tam, gdzie należało być giętkim, on się rzucał, pchał, walił całym sobą z wraskiem. Wszystko w nim stawało się nadmierne: bohaterstwo, heroizm, surowość, moc, cnota. Całe narody w takich paroksyzmach rzucały się, jak byk na szpadę torreadora — w obłędnym lęku iż by widownia nie przypisała im najłżejszego związku z ewig weibliche... Otóż nie miałem wątpliwości, że byk spotęgowany i na mnie zaszarżuje, gdy zwęszy z mej strony zamach na swe bezcenne genitalia.

Ażeby temu zapobiec, trzeba mi było znaleźć dla siebie inną pozycję — poza męczyzną i kobietą, która by wszakże nie miała nic wspólnego z „trzecią płcią” — pozycję pozaseksualną i czysto ludzką, z której mógłbym przystąpić do wentylowania owych dusznych i płcią skażonych okolic. Nie być *przede wszystkim* męczyzną — być człowiekiem który dopiero na drugim planie jest męczyzną — nie identyfikować się z męskością, nie chcieć tego... Dopiero gdybym w ten sposób, stanowczo i jawnie, wydobył się z męskości, sąd jej nade mną straciłby swój pazur i mógłbym wtedy wiele powiedzieć z rzeczy nie do powiedzenia.

Jednakże te projekty pozostały projektami. W dalszym ciągu mego pobytu w Argentynie przymus pracy zarobkowej przywalił mnie do tego stopnia, że odtąd wszelka realizacja na dalszą metę i szerszą skalę stała się technicznie niemożliwa. Nie mogłem się skupić. Biurokracja wchłonęła mnie i przywaliła swymi papierkami tudzież swym absurdem — podczas gdy prawdziwe życie oddalało się ode mnie jak morze w czasie odpływu. Ostatnim wysiłkiem napisałem „Trans-Atlantyk” w którym wiele znajdziecie z doznań tu opowiedzianych, a potem skazany zostałem na dorywczą pracę literacką od niedzieli i święta, taką jak ten dziennik — gdzie nie mogę przekazać wam nic poza pobieżnym streszczeniem, nędźnie dyskursywnym, dziennikarskim prawie. Trudno. Ale i to niech będzie przynajmniej jakimś śladem wżycia się mojego w drugą, bolesną ojczyznę, w Argentykę, którą zesłał mi los i od której dziś już nie umiałbym na dobre się oderwać.

Poniedziałek.

Nie bez wpływu na spisanie tych wspomnień pozostał fakt, że niedawno policja w Buenos Aires dokonała wielkiej czystki w miejscowym Korydonizmie. Aresztowano kilkaset osób. Ale

cóż może policja wobec choroby? Jest-że w stanie zaaresztować raka? Obłożyć grzywną tyfus?

Lepiej więc byłoby odkryć subtelny bakcyła choroby, niż tłumić symptomy. Ale kto tu jest chory? Czy tylko chorzy? Czy i zdrowi? Nie podzielam ciasnego myślenia, które widzi tu jedynie „zboczenie płciowe”. Zboczenie, tak — ale mające swój początek w tym, że sprawy wieku i piękności nie są w ludziach „normalnych” dostatecznie jawne i dostatecznie swobodne. To jedna z najcięższych niemożliwości i niemocy naszych.

Czyż nie czujecie, że tutaj i zdrowie wasze staje się histeryczne? Jesteście skrupowani, zakneblowani — niewyznani.

Ja więc chcę mówić. Ale muszę powiedzieć o tym co mówię: nic z tego nie jest kategorię. Wszystko jest hipotetyczne. Wszystko jest uzależnione — dlategoż miałbym ukrywać? od efektu jaki wywoła.

Ta cecha określa całą moją produkcję pisarską. Próbuje rozmaitych ról. Przybieram różne postawy. Nadaję moim przeżyciom przeróżne sensy — a jeśli któryś z tych sensów zostanie zaakceptowany przez ludzi, utrwalam się w nim.

To jest we mnie młodzieńcze. *Placet experiri*, jak mawiał Castorp. Ale przypuszczam, że jest to zarazem jedyny sposób przeprowadzenia idei, że sens czyjegoś życia, czyjejś działalności określa się pomiędzy danym człowiekiem a innymi. Nie tylko ja nadaję sobie sens. Także inni nadają mi sens. Ze starcia tych interpretacji powstaje jakiś trzeci sens, który mnie wyznacza.

Witold GOMBROWICZ

NAGRODA LITERACKA KLUBU POLSKIEGO

W BUENOS AIRES
Z OKAZJI 15-LECIA ISTNIENIA

Klub Polski ustanawia nagrodę w wysokości 2.000 (dwóch tysięcy) peso za pracę literacką dotychczas nieopublikowaną.

Rękopisy nie przekraczające 300 stron znormalizowanego formatu należy nadsyłać do Sekretariatu Klubu Polskiego: c. Balcarce 621 Capital Federal, Argentina, do dnia 15 września 1955 roku.

Maszynopisy powinny być zaopatrzone godłem, przy czym należy załączyć zamkniętą kopertę, zawierającą nazwisko i adres autora. Praca może stanowić część większej całości.

Skład Jury: mgr. Waleria Fuksa
red. Roman Dąbrowski
red. Cezary Gólkowski
dr Janusz Łaszewski
Karol Świeczewski

Dwadzieścia lat poezji

(WYBÓR WIERSZY Z LAT 1934-1954) (*)

Nie przez flet czarujący i nie przez oszałamiający taniec działa na nas poezja Jerzego Pietrkiewicza, lecz przez ludzkie świadczenie o świecie, po norwidowsku pojęte wskazywanie na szare cudy codzienności. Uderza nas i zmusza do zastanowienia konsekwentne i wprost ascetyczne wyrzekanie się wszelkich „przymilnych pięknośtek”.

Z wyjątkiem paru linii w niektórych utworach młodzieńczych, gdzie władza nad wierszem jest jeszcze niepełna, poezja ta jest nad wyraz jednolita. Po męsku wstydliva, od dwudziestu lat walczy zwycięsko ze śpiewną łatwizną i tradycyjnym patosem. „Anty-wiersz”, credo poety, wyraża tę postawę. Napisany w 1949-ym, świadczy nie tylko o dojrzałości artystycznej autora, ale przylega dokładnie do jego pisarstwa.

Już u dwudziestoletniego poety zadziwiają otwarte na prawdę oczy; widzące i sądzące „tępe życie” polskie, gdzie „chałupy są chude” a „modlitwa chłopska pachnie skargą i potem”.

Dzisiejszą jego twórczość cechuje szczęśliwa proporcja między bogactwem autentycznego obrazu, a prawym intelektem wającym wartości. Myślę o „Pamięci Golgoty”, „Anty-wierszu”, lecz przede wszystkim o „Robiąc rachunek wstydu”. Są to utwory wysokiej próby, dające świadectwo pocie-człowiekowi.

Wierzę, że zapewnią one Pietrkiewiczowi miejsce poczesne i trwałe.

Marian PANKOWSKI

(*) Jerzy Pietrkiewicz, ur. 29 września 1916 roku w Fabiankach (Ziemia Dobrzyńska). Publikacje poetyckie: „Wiersze o dzieciństwie”, 1935; „Prowincja”, 1936; „Wiersze i poematy”, 1938; „Znaki na niebie”, 1940; „Pokarm cierpienia”, 1943; „Pogrzeb Europy”, 1946; „Piąty poemat” (odbitka z „Kultury”), 1950; „Modlitwy intelektu” (odbitka z „Myśli Polskiej”), 1950; „Sielanka stołeczna” (odbitka z „Kultury”), 1952.

OPOWIADANIE ZIMOWE

Wież biała w ramach okna —
 wieś biała ciszą w sercu —
 Ciepło już w sieni przy twarzy, na rękach;
 z pieca leniwość ciężka jak wieczór.
 Las wciąż w zaspach opuchłych schylał się i kłękał,
 a przez kwiaty w szybach nikt tych kłęknięć nie czuł.

Czarny żal pokoju lampy śmiech wziął spod klosza
 i matki przejściem przez pokój naniósł podłódze szelestów.
 Ojciec unosząc gazetę i spokój zarazem unosił,
 a zima była w obrusie zapachem jak zamieć czystym.

Trzykrotne pukanie do drzwi z półsnu uniosło głowy,
 próg nóg szuraniem pogrubił. „A to pan, panie Kowalski...”

Nad stołem słowa podłużne w ramach kanciastych gestów.

„Co słysząc w Lipnie?”

„Co z księdzem?”

„Jak się chowają krowy?”

Zegar po ścianach pętał, cykaniem zaproszył ciszę,
 brzękami szklanek stół ożył.

„Mówiłem panu, że przez to...”

„Kostkowski zostanie wójtem.”

Kiwnięcia głów nad słowami.

Kowalski zakładał kożuch, rękaw zmieniając w ramię.

(1934)

1920

Biały śnieg chłodem skurczony na twarzy,
 w oczach wiatr.
 Koło sieni sypały się dzwonki pod konie:
 czyjs przyjazd się zdarzył.

Mróz z klamki przeciekl w czteroletnie dłonie,
 w oczach zakwitł rozszerzony podziw.
 Dzień był pół-zrozumiały a pół-przysypany
 miękką pieszczotą matki z podwieczornych godzin.
 Noce były opuchłe od strachów, lub puste
 zamyśleniem.
 Ciepło od niepokoju ojciec odczytywał listy
 już w sieni.

(1934)

ZIEMIA DOBRZYŃSKA

Cyranki z Chełmicy Wielkiej niebu nadały kierunek
 i resztki ostrego słońca w dzióbkach przyniosły do gniazd,
 dzwon dworski bił w ciszę niebieską.
 Zwiędnięte liście echa spadały gdzieś koło starwu,
 żegnane płaczem cyranek.
 Po wzgórzach lipnowskich wiatr domy, niskie od światel, gonił;
 na mostku szelestem płytkim heblował spróchniałe deski,
 gdy zapach łąk ruszył ławą
 z Fabianek.
 Księżyc się odbił od wieży smutnego kościoła w Kikole,
 z chimur ścierał stężałą noc.
 Jak kretowiska szczekania psów się wznosiły na polach,
 gryzły kół turkot na szosie.

Rypin.

Noc, wiadrem dźwignięta z studni, skrzyiała smętnie w żura-
 [wiach,
 na rynku pochód akacyj i lamp ze światłem jak z psalmem.

Tymczasem w jeziorze Świętem tłum chaszczy i łóz zakipiał,
 podpełznął pod mury klasztoru i krzyczał, biegnąc przy oknach.
 Gaszono po izbach lampy,
 mrokiem zamknęło się Skepe.

Wtedy Maryja wyszła z cichego białą klasztoru,
 z Dzieciątkiem na ręku szła wolno po rozmodlonych krużgankach.

Noc się zgłębiała po rowach tajemną, północną porą,
 miesiąc światłem srebrzystym kosił przy strugach łąki.
 Dnia 10 lipca akurat nad samym ranem
 chory na oczy młynarz zobaczył Marię w Fabiankach.

(1935)

SMIERC

Na krześle jabłko obrane ze skórki w zapach.
 Na oknie futryny z chłodu.
 Za oknem po kałużach deszcz czałapał.
 Niepogoda.

Skierski umarł właśnie przed chwilą.
 Podwojony w lustrze pokój zakryto czarną płachtą,
 Skierska zatrzymała ściekający po wahadle zegara dżdżysty czas,
 w kuchni ktoś z trudem ciemność płonąca zapalką rozchyłał.

Chód razem z zapalką zgast.
Na szosie z turkotu wozów — bruk,
gęsty deszcz — jak płot wokół domu:
sztachety ze smug.

Plachtą zakryte lustro twarzy trupa nie odbije na szkle.

Stojący zegar był brzegiem czasu,
poza nim wieczność.
Bez lustra i zegara było bardzo źle.
Soltys we swąd żałobny gromnicę zagasił —
Dzieci dotąd spokojne i grzeczne
bać się zaczęły nagle widma wilkołaka.

U Skierskich zaczęto płakać.

(1935)

Z POEMATU „PROWINCJA”

Sierpc:
godzina trzecia po południu.

Krawiec Olszak otworzył okno.
Było cudnie.

Nad podwórzem świergotały świecące anteny,
w oknach stały białe firanki,
a w pokoju na piecu zapach owocowego wina
drgał od turkotu jadącej furmanki.
Na łóżku lenistwo białych poduszek,
o które wspierały się zmęczone, krawieckie oczy.
Nad poduszkami obrazy: afrykańska susza
i młyn z młynarzem i słońcem.
Wśród ram czterech świat inny, kamieniejąc, spoczął —
i odbijał się w tremie wysokim dzwoniąco.

Szyby, napięte blaskiem, rzeźbiły na ścianach nowe szyby
i otwierały je płytko w pokój.
Wtedy z otwartej szafy zapach naftaliny
spływał po wiatru okiennego stokach.
Raz po raz wychylały się z kaktusów zamorskie krainy,
a z parapetu uśmiechy czerstwych pomidorów.
Potem znów przeszło po suficie mdłym zapachem wino,
znikając w utkanych z szelestów firankach.

I tak ciągle. W południe, wieczorem
cichy świat stoi u matowych szyb.
Gdzieś w zamyśleniu mebli mijają wątle dnie,

monotonnie rozwijane ze sprężyn zegara.
Czasem coś się przypomni w duszącej woni lip.
Gałęzie się wydłużą nagle w wieczność szarą —
Może to śmierć — kto wie?

(1935)

JASKÓŁKA

Na płocie
obłokami białymi wisiała bielizna,
obok w wiadrze ostre drzazgi z wiatru,
szum w topolach — potoczek.

Można było przez szyby bliskość dnia rozeznąć,
więc patrzała Basia na podwórze.

Wtedy w górze
ostry przelot jaskółki zaćwierkał,
cień jaskółki biegł za nim i zginął wśród sztachet,
świergot został przy oknie iskierką.

Basia zgubiła na chwilę myśli o pięknym Stachu.
Zamyślenie jest mrocznym zaułkiem.
Trwając na nim Basia zawołała:
Jak to dobrze być taką jaskółką...

(1936)

GENEZA POEZJI

Nuty to małe okienka.
Otwórz je cicho.
Inny świat przez nie się zsunie.
Wśród trosk życia trzeba szerzej oddychać.

Pnijmy się po dziwnej, pachnącej lunie
piosenką —

Kiedys moja matka,
gdy bolało skrzywienie komody,
pluskiem gorącym smywała statki.
Widzę: w parze kontur kuchni tamie się i gnije,
choć za oknami rośnie pogoda,
tak źle.

Matka stawiała przy oknie,
brała na ręce światło jak dziecko.
Potem jak szata spływała z niej pieśń:
fałdy były nutami.

Ach, jak wtedy świat świętecznie świecił —

brała mnie w ramiona obielona wieś,
wiodła do szczęścia miedzami,
a miedze wiodły do lasu.

W pieśni krakał kruk czarnopióry,
o szyby biły Ebro dalekie fale,
jakieś owce na melodii się pasły.

Nuty wyżej — to spiętrzone góry.
Zakryły je wieczorem nasze żółte rolety.
A pieśń snami moimi popłynęła dalej —
zostałem, mamó, poetą.

(1936)

ELEGIA NARODOWA

Nie chodźcie z pieśnią parną na srebrne polany,
gdy wiankami odpływa noc świętego Jana.

Już dziwożon nie dojrzą pochodnie i księżyc,
Swarożyc w trzcinach leży — martwy blask, rzeżucha.
Dawnym bogom pogańskim nie grajcie od ucha.
Zatopione kontyny, podeptane węże
i znicze w deszczu z sykiem pełznące pod cienie.
Nie chodźcie w noc pogańską w głąb świętej zieleni.

Jakże Twoją koronę upłatać ze złota —
Chrystusie z wiejskiej, zmurszałej kapliczki,
kiedy modlitwa chłopska pachnie skargą i potem,
a malwy to są polskie na ofiarę świeczki.

Polsko, kraju wymarłych wspomnień, kraju deszczu —
cienie zamków twych oczu chłodem wieków nie pieszczą,
wiatr się wcina co jesień w ruiny i gruzy —
tak przeszłość się sawala, każde dziś się dłuży.
Ku jutru jak się udać, gdy na ścieżkach chwasty,
zabłądzisz nawet w polu, nie ma chaty Piasta.

Nie ma w snach dumy świętej, lecącej po niebie,
bo cmentarz nie odradza, tylko kości grzebie.
Elegia, o — to strumień, który łódzie nasze
poniesie tam, gdzie w piachu rdzewieją palasze.

Morza szumią — mówicie, góry rosną — mówicie.
Ale echa pogłuchły — puste, tępe życie.
Między chudą chalupą a pijanym miastem
tragizm siejemy co dzień, niech na chleb wyrasta.

Potem karmić będziemy i siebie i dzieci,
aby bielmem żałości patrzyły w stulecia.

Kości bogów wśród krzewów świecą, deszcz się kruszy.
Łzy na twarzy Chrystusa wciąż nowe, wciąż nieme.
Wędrujemy po drogach, elegijne dusze —
i choć grozi chmurami krwawy Wschód i Zachód,
my patrzymy na buty własne — jak lgną w piachu.

(1937)

MIASTO : GŁÓD

Tramwaje — tramwaje —
w wylotach ulic popłatane dzwonki,
na szybach kamienic brzęczy gwar,
bramami wybucha dzień.

Znowu dzwonek się potłukł : tramwaj staje,
na placu wiatr rośnie, pękają wiatru paki.
Obok bar.

Melodia się wygina wśród szklanych, szklitych drzeń,
przy drzwiach i oknach gonitwa woni.
Jak bólą skronie.

Stach idzie wolno, patrzy —
nad nim rozpacz się pochyla jak brzoza —
coraz to niżej, coraz to niżej.
Sen tylko rozpacz zetrze i głód zetrze,
a rano snów na gardle te same powrozy,
wzrok wystawy sklepowe liże.

Koło baru rumienią się myśli,
marzenia o kształcie chleba,
w drzwiach szkło grube i lśniące — muzyka.
Choćby się uśmiech spod głodu wygrzebał,
zmrozą go cyfry z wiszących cenników —

dokąd więc iść?

Tramwaje — tramwaje.
Przywożę z przedmieść wieczór.
Zmierzch spada wolno jak liść,
księżyc wyszedł — podwórzowy grajek,
wiatr do wtóru na szyldach skrzeszy.

Nowy Świat — Marszałkowska — Aleje.
Kroki kaszłą przy ścianach,

echo od ścian odpada jak tynk.
 Każda latarnia ciemnością chwieje,
 a światło czerwone jak rany,
 w rynszłokach odbłask — jęk.

(Z poematu *Wyzwolone mity*, 1937)

PONIEDZIAŁEK : KRUSZWICKI I MIESZKOWY

Strzała — grot bólu, we krwi uwiązał krzyk,
 runęły echa twardego tętentu,
 galop się wspina na chmury.

Gdy bój w zgonach stygł,
 nie zgadniesz co silniej pachniało —
 pożoga czy mięta,
 morze czy góry.
 Słowo nim zaświtało, już w mogile ciało.

Zwyciężaj, w skórach mieszkający krzykiem,
 niedźwiedzia, tura i żubra i dzika.
 Niech krają co dzień rozłożyste stępy
 w krwi umazane i słońcu — oszczepu.

Kiedy głód cisnął i kiedy płacz broczył,
 brat z bratem dzielił się chlebem jak słońcem.
 Dwanaście szczepów zwoływali gońce
 hukaniem ech.

Na pniach stawali w modlitwach prorocy
 i ogień w ustach mieli płonący, nie dech.
 Stały się rzeki, doliny i wzgórze,
 nad rzekami zakwitły pieśni i rodziny —

przestrzeniom było raźniej, wygodniej i dłużej,
 a widnokręgom sino.

(Z poematu *7 dni stworzenia*, 1938)

GLORIA

Łąki unoszą barwy i woni — a motyle
 jak strzępy kwiecia,
 zasypują czas parny coraz to zawilej,
 a w tej parności — stulecia.

Kadzidel jeszcze nie trzeba,
 nie trzeba pieśni.

Rwie się poranek — złoty żrebak
 w zadymkę z kwiecia czereśni.

Barwy i wonie
 jak senne dłonie
 klaszczą cichutko.
 Hosanna Bogu uroków,
 co płynie słoneczną łódką
 po planetarnym potoku
 i budzi dotknięciem wiotkim
 gwiazdne i ludzkie ciała.

Sączy się zapach słodki:
 Gloria — Chwała.

(Z poematu *Msza święta*, 1939)

EPITAFIUM

I nie wiem
 czy to był Boży żart,
 że żył we śpiewie
 przed wystawami sytych snów.

Bard śmieszny trąbił zmiany wart
 kukłom paradnym i pomnikom,
 wypruwał wciąż z parcianych słów
 melodie głodne, barwy dzikie —
 po co?

Ze żywot marny toczył lek
 do bram niebieskich kluczy pęk
 podrabiał nocą.

Naiwny, śmieszny minie bard —
 niezmiennie wierząc w mgłę i świerszcze.

O Boże, jeśli mało wart,
 człowieka zbaw przez wiersze.

(1940)

LONDYN : 1941

Autobusy konające światłami
 pod arkadami mgły jadą — i mrą.
 Noc jest starcza, z brzdami deszczu i wichury,
 żebrze o światła i blackoutem kłamie,
 i rachitycznych starców spycha w sen, na dno.

Dyktatorzy, bankierzy i mówcy
 zdejmują kolorowe mundury,
 nakręcają serca jak budziki

i gubią się w sennej wędrówce,
nim ich jak kur upiornym krzykiem
nie zbudzi gazeta i radio.

Pięć światy wojenne, trzepocząc nowiną:
komunikaty, depesze i plotki.
Dnie, przekreślone jak czeki, ktoś podejmuje i liczy,
i wargi wędzną szesnastoletnim dziewczynom,
i ten sam uśmiech pieniądza mdło-słodki,
na ulicach monety świecą, nie księżycy!

Na złotej wadze polski ból —
i rozpacz niewystrzelonych kul —
i chłopska — w piersi pięścią wbita —
wiara.

A noc jest starcza o twarzy pomarszczonej wiatrem — Jutro
[w zabitych deskami światach.
Święci umierają bezimiennie. Banki zbierają ich kości. Banki
[wzniesione na moczarach.

(Poemat, 1941)

AKWARIUM

W akwariu jesteśmy na dnie,
bez skrzydeł i bez skrzel.
Serca jak bomby zegarowe
nastawione wskazówką czerwoną
na śmierć.

To nie historia wodzów ani królów,
lecz wodorosty pnące się po szkle
ku gwiazdom, które ciągle pływają na wierzchu,
i nigdy — jak my — nie toną.

Oprzyj o przezroczyste szkło zmęczoną głowę.
Akwarium jest kuliste. Gdzie stąpisz, próg bólu.
Nie idź — próg grząski — dalej bagno zmierzchu.
Poza szkłem wieczność kulista jak czas,
zatopiona aż po gwiazdy nowe
w nowym akwariu.

Z wodorostów umarłych jest las
i są duchy odbite na szkle.
Wskazówkę serca przestaw na wieczność.
Wodorost się pod gwiazdne wieko wiotko pnie.
Wybuchniesz i szkło prysnie. Czy znasz Drogę Mleczną?

Ja — nie.

(Z poematu Kula magiczna, 1942)

DROGA

Jest ospała, szeroka droga
z Dobrzynia do Kikoła —
gdzie piach przesypuje przez szprychy czas,
gdzie widnokreśli się ciągną od stoga do stoga,
a koleiny namołane na koła
mierzą przestrzeń, dopóki nie zawrze jej las.

Wzdłuż tej drogi w skrzypieniu osi,
w świergocie niestrudzonych kół
przesuwa się wciąż moje życie — z Dobrzynia do Kikoła.
Tu mi wiatr z całej ziemi wonie i barwy znosi
i przemijają pokolenia rojących się w słońcu pszczoł,
przeszłość z przyszłością na przemian na sennie owija się koła.

Wy co mówicie o świecie, o ludzkości, postępie i jutrze,
nie zrozumiecie nigdy, że ta właśnie zwyczajna droga
z Dobrzynia do Kikoła
najwięcej nowego czasu w piachu swoim utrze
i coraz szersze widnokreśli od stoga do stoga
otwierać będzie — przestrzeń motając na koła.

(1943)

PRZYSTANEK 1944

Idąc —
na zakręcie nocy
słyszałem księżyc jak kończył sam srebrne nieszpory
za naszą i waszą rozpacz.

Pod ziemią pierwszy pociąg wywiózł Hampstead na Leicester
[Square.

Evakuowano pośpiesznie świat
z zagrożonego przedpola
dziecięcej wiary w smoki i rusalki.

Gazeciarsz wyprzedawał poranne wydanie kłamstwa
przy St. John's Church —

i
ten sam łoskot
wrzucanego do piwnic węgla
jak zachrypły kur miejski
budził
zasłony na oknach.

Przeciągały się — w plusku wody — piętra.

*Wiatr wywiesił zachmurzone flagi
w tysiąc dziewięćset czterdziestą czwartą rocznicę
naszej i waszej rozpacz.*

(1944)

STRYCZEK JUDASZA

*Wierzę w Szatana,
który zstępuje w sny nasze
i zamazuje profil grzechu.*

*Wierzę w pokus obcowanie,
i w pytań epilepsje,
i w rachitycznych lęków taniec
na rytmie naszych oddechów.
Wierzę: jest w każdym śnie strycalek Judasza
samobójczo doczepiony do rana.*

(Z poematu Sennik szatański, 1946)

ZAZDROŚĆ

*Gdy kochankowie zmęczeni
wypukłym dotykiem nocy
ocierają się gniewnie o szorstką szerść światła,
popołudnie — przegięte w monotonny plusk
niedokręconych kranów godzin —
przeciągając się, ziewa, łasi i sepleni.*

*Potem się noc obnaża z gwiazd jak z łusk,
a Bóg aż po pas w ciszy mściwej brodzi —
zazdrosny
o zwierzęce natchnienie pół-anielskich dusz;
więc klóci nasze oczy z naszymi słowami,
a nasze ręce z naszymi wargami,
i knebluje nam serce mdłymi pytaniami:
Cóż? Cóż... Cóż!*

(1947)

PAMIĘĆ GOLGOTY

*Było to dawno temu,
tak dawno, że nawet powietrze
spróchniało, i chorą rdzą
złuszczyło pamięć studzien i bram.
I odtąd echem w studniach niemo,
w bramach liszaje po prętach się pną,
a czas wypada z popękanych ram.*

*Było to w umierające popołudnie,
za panowania gwoźdźcia i młota.
kiedym wbijał jęk w drzewo, zalepiał nieswoją krew,
pod rozkazem przycupnięty obłudnie.
Mnie nie po trzykroć koguty piał na płotach
lecz po tysiąckroć.
Mnie żaden wzrok niewieści nie przekupił łzą,
bom był posłuszny jak pokłon
prawom bicia i gwoźdźcia i młota.*

*A oto czas, wypadły z ram,
rozsypany się u moich stóp — i stoję sam.
Za plecami cień mściwy: Golgota.*

(Z poematu Błądny rycerz, 1947)

ANTY-WIERSZ

*Kto tak nakłamał w zasiedziałym pejzażu?
Kto nawiedził kolory w lustrzanym atelier,
(Czy wtedy, kiedyś wyszedł poza własne stalugi?)
że wiersze się stały ciężarne od przywilnych pięknośtek
i, rozpięszczone w bezkształcie byle jak odbitych nazw,
powidy liściaste potworki drzew, odęte bliźnięta chmur,
pyzate cyklopy okien na wzgórzach, kalekie pnie —*

*a wszystko pod rytmem pachnącym mdło, jak pod pokostem,
z miedzianymi ćwiekami rymów na połysk mędrkom i gapiom.*

*Kto tak nakłamał w romantycznych ruczajach i żab rozrzęził chór?
Kto mgły powywlekał na łąki, przebrane za strzygi, upiory.
że wciąż po grząskich balladach od zwrotki do zwrotki się czałapią
i budzą w betach mieszczańskich na snach wypasione zmory.*

*O pasiakowa, łapciowa,
liściasto-żabia, upiorna,
sielsko przez senne sasanki na skroś sepleniąca mowa,
na której wisi przyroda jak źle przykrojony ornat
ze złoceniami doszytymi na pokaz —
wytlumacz:*

*po co
ta kakofonia kwiatów, to krasne obżarstwo oka,
ta pycha pytań na palecie i ten pobożny rumor?*

Po co te gwiazdy na zwiadach, ów miesiąc znudzony nad nocą?

*Wiersz spina (na wszelki wypadek) ojczyzna niczym agrafka,
a w wąskim przetyku wieszczą: tęsknota, patos i czkawka!*

Kto tak nakłamał...

(1949)

ZAMIAST WPROWADZENIA

Sercem.

Czy tylko sercem?

W chliwy cudzystów uchwyciwszy werset,
 Polak od końca cytatu nie dożył,
 umarł na udar pobożności
 wśród zakurzonych biblii: po swojsku — nie można prościej.

O, odświętny, doraźny Boże,
 którego nawet chłopska poklepuje gadka —
 (jezuscickowe zapanbrat)
 patrz, od statui do statui
 prowadzi modlitwa tak gładka,
 że serce, czując za milion, nie czuje
 samego siebie.

Proces skraplania uczuć: zagasi mózg jak ogarek,
 ktoś potem razem z czaszką mózg pogrzebie
 zanim zdąży zapytać o wiarę.

(Modlitwy intelektu, 1950)

ROBIĄC RACHUNEK WSTYDU

Podszedł pies do mnie wczoraj — i patrzył:
 pytał jakby czy nienawidzę
 sierści mokrej, nawilgłego nosa —
 i odszedł niepoklaskany
 wzrokiem, co się zaplątał
 przy bucie w prętach ławki.

Dawniej (kilka sumień temu) pytały oczy ludzkie
 o to samo.

Nienawiścią opięci jak mundurem
 Nazarejczyka wypędzaliśmy razem z kramem,
 ale nas spotkał przy prętach łuf, pod murem
 tym samym.

(Modlitwy intelektu, 1950)

BAR MLECZNY

Jest bar mleczny na skrzyżowaniu
 kleistych woni
 z jadłodajni, browaru, apteki —
 gdzie krowy na ścianach żują radiową trawę
 dzień przedtem zżęta z gramofonowych płyt.

Czasem drzwi szklane wyciągają dłonie
 i co błysk doją światłem lakierowane wymiona.
 Po drugiej stronie cennik udojom wystawia kwit:
 po pięć pensów od szklanki
 poziomkowej mieszanki:

Phyllis zamiesza. Z niepokalanego łona
 lodówki zamrożona podnieta —
 gdy z boku automatyczna kasa potyka metal
 po sześciopensie, po pensie —
 cennikowi niememu do taktu:

tak to —

tak to —

(Z poematu Sielanka stołeczna, 1951)

SIEDMIORAMIENNE

Za siódmą plotką, za siódmym listem,
 za siódmym telefonem
 cierpi nietwoja cisza —

i smok podsmaża strachy w jamie Antychrysta.
 Siedmiu braciom bezsennym już wzrok wyziębiono
 na bajki, których nikt nie spisze
 w nasenny system.

(1954)

Jerzy PIETRKIEWICZ

Dolina Issy (3)

XXXIII

Ciemny posąg, ruchoma prostopadłość nad grzbietem konia — taki ukazał się Tomaszowi pan Romuald, w małej granatowej czapce z daszkiem, z harapem wiszącym przy siodle, kiedy wjeżdżał aleją przed ganek. Wkrótce wszedł z nim w najlepszą komitywę. Przy stole w jadalni ciotka Helena podsuwała konfitury, dziadek wypytywał o urodzaje. Jednakże Tomasz wiedział, choćby z niedostrzegalnych niemal oznak w zachowaniu się babek, że dystansu przestrzegano. Pan Romuald mógł sobie bywać, ale nie należał do tej samej sfery. To nie miało żadnego znaczenia, od tej postaci bił potężny urok. Wizyta i rozmowa o zwierzętach zapowiadała nowe dziwy.

Przed wszystkim już same Borkuny. Tomasz tam nigdy nie był, choć ledwo trzy i pół wiorsty. Teraz wybrał się tam z ciotką, której akurat wypadło pojechać do czarownika po lekarstwo dla owiec i przy tej okazji powstał pomysł, żeby odwiedzić Bukowskiego. Przy krzyżu za kumietynią skręcało się nie na prawo jak do Pogir, ani trochę w prawo trochę prosto jak do Baltazara, tylko na lewo, zbliżała się linia lasu i za pierwszymi jego drzewami otwierał się zupełnie inny świat: z pagóreczka w dolinę, tu borek, tu rojścik, kręcące się dróżki z jedną koleiną między buketami zieleni. Dom i podwórze pana Romualda odsłaniały się nagle w dole za jeleniakiem — mały dworek z drewnianymi kolumnkami ganku, obrośnięty dzikim bzem. Schowany za nim sad, olszyny, dalej wznoszące się warstwami młodniaki aż do rzędu wysokopiennych sosen. A wewnątrz zapach skóry, w kątach stosy rzemieni, siodła, chomąty, a w tych stosach i na ścianach wiele niezwykajnych przedmiotów — trąbki, gwizdki,

torby, ładownice. Tomasz wypytywał do czego każda rzecz służy i dostał do rąk strzelbę, którą Romuald załamał, zajrzał że nie nabita, ale na trzaśnięcie kurka podskoczył i powiedział, że nie trzeba tego robić — jeżeli spuszcza się kurek bez naboju to może się zepsuć. Ta strzelba to była szesnastka, średni kaliber, dwunastka z wielką dziurą w lufie czasem przydaje się lepiej, szczególnie na grubszego zwierza, a dwudziestki, najmniejszej, używa się tylko na małe ptactwo. Pan Romuald dostał ją po swoim ojcu, choć stara, biła dobrze. Całą lufę pokrywał srebrny, wężykowaty deseń — taka nazywa się dziwerówka.

Stół został nakryty serwetą i usługiwała młoda dziewczyna ze skromnie spuszczoną głową. Tomasz gapił się na nią czyli, jak się mówi, nie mógł od niej oderwać oczu, pewnie ze względu na kolory: biel, delikatnie, stopniowo, przepływająca w rumianość policzków, zwinięta kosa, ciemno-złotawa, a kiedy przez mgnienie spojrzała na niego, tajemnicze błysnięcie ciemnej niebieskości. Zdawało mu się, że w tym jej wzroku zawiera się sympatia i spochmurniał kiedy podsłuchał później, kiedy wychodzili, jak szepnęła do pana Romualda w przelocie: „szutas” — o niego chodziło — zawstydził się okropnie, po litewsku to tyle samo co pokazać palcem na czoło. To zamąciło całą przyjemność wizyty, ale równocześnie odtąd ciągnęło go do Borkun, jakby na przekór, albo żeby coś naprawić.

Pan Romuald siadł z nimi na bryczkę. Nalegał że to tuż-tuż i że jego matka będzie bardzo rada. Borkuny składają się z trzech folwarków, które nie mają osobnej nazwy; grunta tak są rozdzielone, że pomiędzy gospodarstwo pana Romualda i starej Bukowskiej wciskają się granice Masiulisa. Ten dom z kolei na górze, z ganku widok na nieduże jezioro na dnie miski rojstu. Pani Katarzyna Bukowska rzeczywiście rozpywała się w uprzejmościach i zapraszaniach. Ale jej twarz! Pokryta brodawkami na której sterczały kępki włosów, brwi płowe i naczupierzone, puchacz Tomasza górował nad nią urodą. I głos: męski bas. Jej powierzchowność zresztą pasowała do sposobu jej rządów, jak to szybko zauważył. Gospodarkę prowadził syn Dyonizy, nieżonaty, ale nie tak znowu młody. W niczym się jej nie sprzeciwiał, kładł uszy po sobie ile razy na niego krzyknęła. Nie odznaczał się dla Tomasza niczym szczególnym, z wyjątkiem butów jakie nosił: nie do kolan, ale za kolana, z miękką cholewą ściągana na rzemyki i rozszerzającą się na uda kielichowato. Trzeci syn, Wiktor, podrastający młodzieniec, miał wylupiałe oczy, rysy źle wyciosane i jękał się, a jeżeli już swoje wykrztusił, to połykał część słów i wymawiał właściwie tylko samogłoski, przeplatane gardłowym dźwiękiem, który mógł oznaczać każdą

literę, na przykład: „Siano my już zebraliśmy”, brzmiało u niego: „gago gygu gegagim”.

Naturalnie znów stół i przymuszanie, butla z krupnikiem: „waspan to już może pić, już nie dziecko” i „w pańskie ręce perswaduję” i podnoszenie kieliszków, dźwięk szkła. Tomasz umoczył usta i zażawiał się, trunek palił jak ogień, ale Bukowska wychyliła jednym gulgnięciem (do gąsiorka, jak przekonał się później, zaglądała często — niby szuka czegoś w szafie i chlup, zaraz szafkę zamyka z rozgrzaną miną). Dyonizy dolewał kolejkę za kolejką, ciotka Helena też nie odstawała — piła co prawda nie tak jak inni, przymrużała się i wycedzała zawartość kieliszka jakby to była woda. Zaraz także podniesione głosy, żarty których nie rozumiał, cała głupota dorosłych, nudził się. Zaczęli podśpiewywać, Bukowska zerwała się, podbiegła do ściany i z dywanika z wyszytym na nim kotkiem zdjęła gitarę. Na środku pokoju, przytupując, zahuczała swoim basem:

*Aniu moja, Aniu miła
Za co ciebie mama biła
Ci za cukier, ci za kawa
Ci za insza jaka sprawa?*

*Ni za cukier, ni za kawa
Ni za insza jaka sprawa
Ale za to mama biła
Żeb' ja chłopców nie lubiła.*

Rozochociona powodem, już siedząc, przebierała po strunach i rzewnie przewracała oczami śpiewając o Wurcelu. Tę piosenkę Tomasz znał — słyszał ją od Antoniny i dziwił się. Czy kto może być młody jak jagoda, jeżeli kochał się przez czterdzieści lat? Bo słowa są następujące:

*Wurcelu, Wurcelu, ty życia tyranie,
Ty zimny i nieczuły na moje wzdychanie.
Kochałam cię przecie lat czterdzieści z górą
Świadkiem czego, świadkiem czego
Listów pełne biuro.*

*Żeń się, żeń Wurcelu, diabeł ciebie zwiąże
A mnie młoda jak jagoda
Weźmie jaki księżę.*

Co prawda u Bukowskiej wychodziło to bardzo śmiesznie z tą romansowością a jeszcze śmieszniej kiedy przeszła do „Za-

przegajcia czwórka koni bo ja musza jechać do niej” z retnem „Musza-musza-musza-musza”. W każdym razie wolał żeby już tak siebie zabawiali, zamiast tylko nakładać i dolewać. Godził się na znoszenie tego wszystkiego, bo rozumiał, że potrzeba cierpliwości, nie umięją nigdy skupić uwagi na jednym. Już rozpalila się jego ciekawość, Dyonizy opowiadał o gnieździe wilków tu niedaleko, że widział starego wieczorem na skraju bagna, więc prawie na pewno chowają tu młode, ale kiedy zaczął go rozpytywać, zaraz rozplynęło się w gwarze, śmiechach i brzękaniu talerzy. Jednak w Borkunach masę rzeczy pozostawało do dowiedzenia się. Zresztą nie czuł się tutaj tak skrępowany, jak kiedy jeździli z wizytą do jakiegoś dworu. Zachowanie się przy stole nie wymagało tej ciągłej baczności, ośmielały go ich paznokcie z czarną obwódka i dłonie zrogowaciałe od pracy w polu, a także ich względy dla ciotki i dla niego.

Borkuny pana Romualda były z tych dwóch ciekawsze: u jego matki głównie zajmowali się tym jak obrodziło, a co posiać, a po czemu teraz len, a u niego konie, psy, strzelby. Chciałby tam znów znaleźć się jak najprędzej, a równocześnie kłuło go tamto wspomnienie, bo naprawdę wyrażał tylko wzrokiem jak bardzo mu się podoba — czy zawsze jeżeli ktoś się podoba należy udawać, że nie?

Wracali wieczorem, ciotka popędzała konia lejcami, wesoła, choć nie pokazywała po sobie, że dużo wypila. Zmierzch tutaj, w tej rozmaitości co wylaniała się z obu stron drogi, inny niż w Giniu, odzywał się mnóstwem głosów z haszczy i podmokłych łąk. Buczenie, kwaknięcia, żaby czy dzikie kaczkę, albo inne ptaki. Lelki trzepały się skośnym lotem przed nimi. Tomasz przenikał nabożny podziw dla tego wrzenia w ciemności, dla tylu istot, których zwyczaj i sprawy, zakryte, wzywały żeby poznawać i śledzić. Głupio że ludzie wszędzie pourządzali pola. Kiedy wjeżdża się między pola, kończy się natychmiast cała piękność. Gdyby od niego to zależało, zabroniłby orać, niech by wszędzie rosły lasy a w nich biegały zwierzęta. Tak rozmyślał i postanawiał że jak dorośnie założy takie państwo, które całe będzie lasem, ludzi się tam nie będzie wpuszczać, chyba tylko niektórych. Na przykład jak kto? Na przykład takich jak pan Romuald.

XXXIV

Zajęcie, któremu Tomasz oddawał się z upodobaniem w Borkunach, kiedy dostał pozwolenie żeby tam zostawać na kilka dni, może budzić wątpliwości. Niektóre stworenia chroni

lęk, jaki ogarnia ludzi na ich widok, lęk czy wstręt, i nie koniecznie z powodu wyraźnego niebezpieczeństwa, przetrwały dotychczas ślady dawnych milczących umów czy dawnych obrzędów. Występować otwarcie przeciwko tej sferze, w której nie poddaje się słowom, może jest wskazane, a może niezupełnie, jeżeli tak, to pod warunkiem, że nie ściąganie się na siebie nieznaney zemsty. Tomasz jednak przezwytyczał w sobie obawy, bo uważał, że działa jak rycerz tępiący Zło.

Mówimy o gadzinach. Była ich w Borkunach niebawoma ilość, wpelzały przez ganek a nawet wślizgiwały się do domu, jedną pan Romuald znalazł raz pod swoim łóżkiem. Główne siedziby miały dwie. W małym brzozowym gaiku przy drodze do strumienia drzewa rosły gęsto i ziemię zaścielała warstwa suchych liści — tam w tę warstwę szmyrgały i wtedy już nie można było ich znaleźć. Dróżka służyła im za balkon do wygrzewania się na słońcu, tamtey też szły chyba polować na myszy w pole. Drugie swoje miasto założyły w klinie rojstu, w kępach mchu pod karłowatymi sosenkami. Żeby je tam dosięgnąć wypadało wkładać długie buty Romualda i zapuszczać się we wrogi kraj, z odrobiną ściśnięcia serca, kiedy się mijało te kępy prawie na wysokości twarzy.

Gadzina, według książek *Vipera Berus*, zapuszcza gryząc jad, od którego się ciężko choruje a czasem umiera. Jako środek na ukąszenie zna się zamawianie, albo wypalanie rany rozpalonym do czerwoności żelazem, albo upicie się aż do delirium, stosować te trzy środki razem zresztą najlepiej. Te w Borkunach były szare z czarną zygzakowatą pręgą na grzbiecie, ale w lesie spotykało się prócz nich również inne, mniejsze, brązowej barwy z zygzakowatą pręgą nie czarną ale ciemno-brunatną. Pan Romuald mówił mu, że gadzina nie składa jajek tak jak inne węże, tylko rodzi z brzucha przewieszona na gałęzi i że kiedy tak z niej wychodzą, jej głowa czatuje na to żeby swoje dzieci zjeść, ale są od razu zwinne i zaszywają się w trawę. Nie wchodzi raczej na drzewa, ale jednak to się zdarza, bo ugryzła raz w twarz dziewczynę, która zbierała orzechy. W Borkunach stanowiły prawdziwą plagę i nic dziwnego, że Tomasz zapalił się do roli tępiciele.

Romuald opowiadał mu również o innych węzach. Jakies dwadzieścia wiorst stamtąd, w lasach, rozpościerały się wielkie oparzeliska nigdy nie zamarzające, do których człowiek nie miał dostępu. Zresztą nikt by się nie odważył ze względu na węże mieszkające tylko tam. Są czarne z czerwoną głową, atakują pierwsze, skaczą i gryzą w twarz albo w rękę. Nie ma wtedy żadnego ratunku, umiera się zanim zdąży się powiedzieć „Jezus Maria” — jak od pioruna. Dostać się tam byłoby ciekawe —

zobaczyć jaka zwierzyna tam się trzyma. Podobno łosie potrafią tam uciekać, jeżeli ścigane.

W upały pan Romuald przenosił się na spanie do odryny, nie wiadomo zresztą czy z gorąca, bo w domu osłoniętym przez krzaki, nigdy nie było duszno, ale wołał, więcej powietrza. Tomasz z początku nie mógł się oswoić z mnóstwem drobnych meszek czy żuczków, które laziły po nim i łechtały. Zapach świeżego siana usypiał go jednak szybko. A rano, te przebudzenia! Wrzawa ptaków napelniała najpierw sen, potem coraz mocniejsza, otwierał oczy a nad nim rozjarzone słońcem szpary w gontach dachu, po tych gontach szurają pazurki, łopoczą skrzydła i zgaduje się kto tam chodzi — czy tylko wróble, czy jakies większe, może nawet leśne gołębie. Zrywał się i szli z Romualdem myć się pod studnię. Przed nim radość, długi dzień letni. Jedli razowiec, zapijając mlekiem, Tomasz wkładał buty (nosiło się je tutaj dla bezpieczeństwa) brał swój leszczynowy kij — i na polowanie.

Sztuka polegała na tym, żeby zbliżyć się cicho i żeby, splezione, nie skoczyły za prędko w brzezinkę. Widział zwykle z daleka kilka tych rozciągniętych biczów, biorących słoneczną kąpiel. Dopadał i walił kijem, celując w głowę. Wtedy podskoki, wicia się, czołgania do zbawionego gąszczu, ale już odcinał jej odwrót. Miał i drugi kij, rozszczepiony na końcu, z gałązką w tym rozszczepieniu, przyciskał szyję gadziny i gałązkę wyjmował. Tak niósł ją do domu a ona drgała i skręcała się — życie w nich jest nadzwyczaj twarde. Zawieszało się ją razem z tym kijem do suszenia — gadziny suszone są lekarstwem na choroby krów i dopominali się o to lekarstwo ludzie znad rzeki, gdzie ich nie było.

Polowanie w rojście różniło się ostrożnością — a nuż która siedzi na krzaku bahunu czy między jagodami pijanic — i tym, że miękki mech nie pozwalał jej porządnie ogłuszyć, więc gonienie rozszczepionym kijem za miotającą się szyją wymagało wprawy. Kiedy już chodził ze strzelbą (nie tego, dopiero następnego lata) napotkał przed sobą, o jakies osiem kroków, gadzinę zwinętą na kępie. Wygarnął do niej i tu nastąpiło coś dziwnego, bo znikła jakby rozplynęła się w powietrzu, a przecie śrut na taką odległość idzie gęsto.

W ogóle walka z nimi nie dowodzi, że Tomasz uwolnił się od przesądów co do nich, czy raczej od przykrego dreszczu wobec energii, która objawia się nigdy nie da się przewidzieć jak. Siła która przebiega tym kawałkiem sznura, obrzydliwe ślizgi pierścieni na brzuchu, pionowy wykrój żrenicy — cóż za wyjątek pośród wszystkich żywych istot. Jeśli to prawda, że ptaki ze strachu coś paraliżuje kiedy się zbliża, łatwo to pojąć,

bo siła żmii mieści się niejako poza nią, jakby sama służyła tylko za dodatek czy instrument.

Na wiosnę dane było Tomaszowi oglądać w lesie koło Borkun rzadkie chyba widowisko: zaloty żmij. Działo się to pośrodku duktu. Zatrzymał się, nie żeby coś przed sobą zauważył. Nie, tylko wibrowanie, wyładowanie jakiegoś elektrycznego ładunku. Taniec błyskawic na ziemi. Ledwo zdążył rozpoznać, że to dwa węże, już znikły.

Nie tylko takim rodzajem polowania zajmował się owego pierwszego lata przyjaźni z panem Romualdem. Dostał się zaszczytu strzelania z dubeltówki pod jego kierownictwem. Najpierw w ścianę odryny, żeby oswoić się z kopnięciem przw strzale. Następnie do żywego celu. Usłyszeli skrzeczenie sójki, palec na ustach, podkradli się blisko. Młoda i głupia, zamiast odzywać się z ukrycia, siedziała na wystającej gałęzi. Strzał i Tomasz krzyknął, pędząc, żeby ją podnieść. Choć kiedy trzymał ją za nogi, rozwinęły się skrzydła i z dziobka wyciekła kropla krwi, zawód, do którego nie chciał się przyznać. Ale trzeba być mężnym i stłumić w sobie mazgajstwo, jeżeli ma się zyskać tytuł badacza i myśliwego.

Dopuszczony do czynności zawodowych, odmierzał metalową miarką śrut, kiedy Romuald robił naboje, pakułami umoczo-nymi w oliwie czyścił lufy strzelby tak, żeby błyszczały jak lustro, kiedy patrzył się przez te długie lunety pod światło. Nau-czył się też zdejmować skórę z ptaków. Jastrzębie napadały często na kurw, wtedy rozlegał się wrzask Barbarki: „Ptak! Ptak” (na wszystkie latające drapieżniki tak się wołało) i jeden został zabity, bo nie odleciał ale odegnany od kur obserwował podwórze ze szczytu olchy. Na nim Tomasz się wprawiał. Rozcinał się skórę na piersi i brzuchu, rozgarnia ją na boki, podcinając nożykiem to co ją łączy z mięsem, schodzi łatwo, trudność dopiero przy ogonie — żeby nie przeciąć piór, i przy nogach — same szpony powinny odejść ze skórą, po minięciu tego miejsca ściąga się już jak pończochę, a z czaszki wydłubuje się mózg i oczy — też trudna operacja, wtedy nieumiejętny ruch nożykiem, a rozedrze się cienkie powieki. Natarta popiołem i wypchna pakułami skóra schnie. Można ją uformować na siedzącego ptaka, ale do tego potrzebny drut i szklane guziki zamiast oczu.

Pierwszy raz Tomasz asystował podstępom, jakich człowiek używa wobec zwierzyny, kiedy przyjechał do Borkun na kilka dni pomagać zbierać grzyby. Ranki pogodne, niebo blade-niebieskie, na trawach ni to zimna rosa ni to już szron. W jelnia-ku tuż koło domu znajdowało się we mchach tyle rydzów, że starczało na całe kosze. Pan Romuald łęł kosza przewiesił przez ramię, przytrzymywał ręką rzemień fuzji, na sznurku

w kieszonce frencza miał kościany wabik który, jak powiedział, może się przydać. Wabiki wyrabia się ze skrzydła sowy, czasem z kości zajęcej, ale wtedy ton ich nie jest tak czysty. Na tym wabiku naśladuje się trel jarząbka a to dlatego, że inaczej nie dadzą się wypatrzeć, przy każdym niebezpieczeństwie przytulają się do pnia tak, że nie odróżni się ich od kory. Na dany znak Tomasz znieruchomiał z nożykiem przyłożonym do grzyba, w ciszy śpiącego się igliwa odezwało się drżące gwizdanie. Po-wolutku wsunęli się w gęstwinę, w półmrok. Pan Romuald przy-łożył do ust wabik, dmuchał delikatnie i przebierał palcem po dziurkach. Cisz. Serce Tomaszowi waliło tak głośno, że bał się żeby nie było tego słychać. Nagle odpowiedział jarząbek, i znów, bliżej. Furkot i przed nimi, na gałęzi świerku, zobaczył w rudej ciemności cień, który kręcił głową na wszystkie strony, szukając towarzysza. Podrzut ramienia tak szybki, że echo strzelby rozległo się z nim równocześnie, a kiedy rozwił się dym (Romuald używał dymnego, nie bezdymnego prochu) jarzą-bek leżał nieruchomo pod drzewem, ledwo do odróżnienia od ściółki zeschniętych igieł.

Romuald zasługiwałby na to, żeby wpuścić go do Królestwa, do którego wstęp zwyczajnym ludziom byłby wzbroniony. Bo przejmował się obecnością zwierzyny, muskuł latał mu w policzku, zmieniał się cały w czujność i na pewno nie poza tym na świecie wtedy go nie obchodziło. Co innego jego gospo-dyni Barbarka — ta należała do dorosłych, szkoda, taka ładna i wyglądająca prawie dziecinnie. Że ludzie żyją odnosząc się obojętnie do tego co najważniejsze, powinno nas zasmucać — nie wiadomo czym właściwie wypełniają swoje życie. Pewnie się nudzą. Barbarka co prawda dużo czasu zużywała na pielę-gnowanie ogródka — wyhodowała prześliczne kwiaty, całe grządki pachnącej rzedy, wysokie malwy i rutę, którą umiała przechowywać zieloną przez zimę — do kościoła upinała ją we włosach, jak wszystkie panny. Ale te jej błyski spojrzeń, w nich cieka-wość i jakby taksowanie z jakąś ukrytą myślą — to było obce i dorosłe. Tomasz przebaczył jej tamto pierwsze przezwisko i od-tąd już udawał, że nie zwraca na nią większej uwagi, jednak drażniła go jej pobłażliwość, jakby na przykład czyszczenie strzelby uważała za taką sobie zabawę. Gdyby mógł wyrwać z jej ust słowa podziwu, szacunku — ale to się nie udawało. Do łupów, jakie przynosił ze swoich wypraw na żmije, odnosiła się ze wstrętem, mówiła „fuj” i wykrzykiwała kąciki warg z ro-dzajem śmieszku, jakby w tym zajęciu zawierała się jakaś nie-przyzwoitość.

XXXV

Romuald miał cztery psy: trzy gończe i jednego wyżła. Czarno-podpalany Zagraj z żółtawymi brwiami odzywał się basem. W wieku statecznym, ceniony za upór i wytrwałość, tym uporem nadrabiał wdech nie więcej niż średni. Jeżeli gubił trop, nie miotał się bezładnie to tu to tam, ale zataczał koła według rozsądnego planu. Tenor Dunaj, wyglądający podobnie, tylko szczuplejszy, nie zdobył sobie szacunku bo był fantastą. Raz zasługujący na najwyższe pochwały, kiedy indziej do niczego, uzależniał swoją gorliwość od humoru i nieraz tylko markował jakby mówiąc: „śpiewać mogę, ale niech one znajdą, mnie dziś głowa boli”. Wdech niezawodny i zapal, same cnoty, reprezentowała żółta suka Lutnia z rasy kostromskich ogarów. Zar w jej oczach zupełnie złotych mienił się fioletowo i niebiesko, jej piękne łapy opierały się miłośnie o pierś pana Romualda, kiedy próbowała lizać go po twarzy. Ta trójka spędzała lato w nudzie, na łańcuchach, bo puszczone wolno umiała urządzać swoje własne polowania, zapędzając sobie nawzajem zwierzynę. Jesienne pajęczyny na ścieżkach zapowiadały wyzwolenie, natomiast dla pointera Karo nastawała wtedy pora rozmyślań pod piecem, kiedy z pyskiem pod ogonem wciąga się własny zapach.

Cały tydzień przed ową niedzielą Tomasz liczył dnie, w sobotę pojechał z ciotką, która wróciła, a on został w Borkunach na noc. Wiercił się z podniecenia, skopał prześcieradło i słoma go kłuła, ale rozgrzany ciężarem kożucha, którym był przykryty, zasnął wreszcie twardo. Obudziło go w ciemności, ledwo szara-wej, stukanie w szybę. Przykładali do niej twarze Dyonizy i Wiktor. Weszli, ziewali, Barbarka, zaspana, z włosami spadającymi luźno na plecy wniosła lampkę z okopconym szkiełkiem, rozpalala ogień w kuchni i smażyła kartoflane bliny. Na dworku mgła, w niej tylko grube krople kapiące z gałęzi pod gankiem.

Przy śniadaniu bracia wypili po jednym, Wiktor domagał się: „Bagagga, pogag gogano”, co oznaczało: „Barbarka pokaż kolano”, taki zwyczaj, przynosi szczęście, ale pokazała mu łige. Psy szalały z radości, wzięli je na smycze, Tomasz dostał Dunaja i z całej siły odginał się w tył, żeby nie biec, tak mocno go ciągnął. Schodzili dróżką do rzeczki i przez kładkę, na rządowy las. Z leśniczym Romuald utrzymywał dobre stosunki i ten pozwalał mu polować, tak półoficjalnie.

Wielka cichość, mgła trochę opadła, z niej wynurzały się obsite mokre trawy i rudość liści na ścieżkach. Echo trąbki przyłożonej do ust pana Romualda niesło się szeroko, grając wydymał policzki aż oczy mu nabiegały krwią. U Tomasza, jeżeli próbo-

wał, trąbka wydawała dźwięki, ale nigdy nie zdołał połączyć ich w melodię.

Zapachy jesieni: skąd pochodzą, jakie tworzą mieszaniny, nie da się tego określić, butwiejące liście i igliwie, wilgoć białych nitek grzybni, w czerni, pod oślizgłymi szakalikami z których obłazi kora. Dobre miejsca rozpościerały się na wszystkie strony stąd gdzie stanęli. Polanki poprzedzielane szczotką sośniaków, dukt na granicy wysokiego boru, od niego ukosem drugi, co wiedzie w głąb, gładki jak gościniec, zarosły mchem, ze ścieżką pośrodku. Zwierzyna pilnuje się swoich przyzwyczajęń. Spłoszona, zakreśla krąg próbując się pozbyć prześladowców i wbiega na jedną ze swoich dróg, których używa co dzień. Z głosu psów poznaje się kierunek, trzeba odgadnąć przesmyk jaki wybiera i znaleźć się tam w czas. Uwaga jej jest tak skupiona na psach za nią, że nie oczekuje niebezpieczeństwa przed sobą, wpada wprost na człowieka.

Tomasz nie niósł strzelby, uczestniczył jako praktykant niskiego stopnia. Miał trzymać się Romualda. Spuścili skomlące psy, które natychmiast dały nurka w gąszcz. Zagraj wyskoczył, węsząc, minął ich, spoglądając pytająco. „Ty Dyonizy, poszedłbyś na dukt” powiedział Romuald. „A ty, Wiktor, na Czerwoną Łąkę. My z Tomaszem tu”. Tamci oddalali się, ich plecy z metałem lufy przesłoniły drzewa. „Zobaczysz, że Lutnia ruszy”, zapowiadał Romuald.

Dzieciół gdzieś stukał, coś szeleściło drapiąc korę. Nagle, daleko, usłyszeli cienki psi głos: „Aj, aj”. „A nie mówiłem! Lutnia”. Znów nic. I znów: „Aj, aj”. „Doławia się, trop niewyraźny, musi popracować”. Wtedy Tomasz usłyszał po raz pierwszy w życiu granie gończych. „Ach, ach, ach, ach” szło teraz równo, zaraz dołączył się drugi głos. „Dunaj!” krzyknął Romuald, zdarł strzelbę z pleców, potężny, w rzadkich odstępach odezwał się bas Zagraja. Tomasz zdumiał się, że z gardeł psów może wydobywać się taka muzyka, rozlegająca się gdzieś we wnętrzu lasu, prawdziwy chór przytłumiony przez odległość. „Ruszyły zająca. Ale on tu nie wyjdzie. No Tomasz, biegiem” i Tomasz pędził za Romualdem, z początku lekko, później zadyszał się, ledwo nadązał. Z duktu skręcili w bok, między leszczyny, w parów, później dnem parowu i pod górę na wał. „Tu” — pokazał mu Romuald na niski świerczek gdzie ma stanąć, sam z wyciągniętą w napięciu szyją, z dubeltówką gotową do strzału na dłoni, nie-ruchomy, czekał pośrodku. Wał tutaj brunatny od opadłych igieł zniżał się łagodnie w zieloną kotlinkę, widać było ją dokładnie i za nią znów płowy pas między ścianami lasu. Granie psów buchnęło na lewo od nich, pragnienie, upór, dzikość i umilkło. „Aj, aj” zawodziła, znów doławiając się, Lutnia.

Nie będzie... Jest! Wydał się Tomaszowi ogromny, prawie czerwony na tle murawy, kiedy wychynał zniemacka w kotlinie na wprost nich. Otwierając usta, przez to mgnienie rad był że to nie on musi strzelać, gorączka kiedy tak zbliżał się i rósł przekraczała jego siły, i tak w tym otwarciu ust zaskoczył go strzał. Zająca podrzuciło, zakreślił się w powietrzu i już miganie podrygujących łapek. Tomasz dopadł go pierwszy. Romuald przewiesił strzelbę przez ramię i zbliżał się powoli, uśmiechnięty. Nie, pierwsze dopadły go psy. Dunaj już szarpał, podnosił ku Tomaszowi pysk pełen sierści. Romuald wyjął nożyk, odciął skoki i rzucił je psom, gładząc Lutnię za dobrą robotę. Zapalił papierośa. „Ten Dunaj, to potrafi pół zająca zjeść, jeżeli znajdzie ranego, a nie przyjść w porę”, powiedział.

Tomasz próbował dostać wyjaśnienie, jak się to dzieje, że Romuald wiedział gdzie trzeba stanąć. Ten śmiał się. „Trzeba znać. Jeżeli jego ruszyły tam — pokazał na parowy leszczyn — i on obracał tamtędy — pokazał na lewo — to dla niego musowo wyjść tu. On wraca tam gdzie mieszka”.

Zagrał na trąbce, żeby przywołać Dyonizego i Wiktora. Przysiedli na pieńkach. Blade słońce przebijało się zza mgieł. Tomasz zapytał jakie zwierzęta mogą teraz spotkać? Koziołka. Czasem lisa, ale to rzadko, za chyytry.

Kiedy tamci wreszcie wwnurzyli się z gąszczu, rozsuwając na bok mokre łapy jedlin, odbyli naradę i skierowali się wałem, między suche terasy drózek umocnionych kamieniami, które tworzyły jakby szerokie stopnie. I tam — szli sobie spokojnie, rozmawiając — psy zaniósł się gwałtowną skargą, jękiem obrazy: „Aj, aj”, chwytały za strzelby. „Gonią na oko!” wrzasnął Dyonizy i Tomaszowi błysnął na zboczku kosmyk zająca, za nim wydłużone kształty Lutni, Dunaja i Zagraja. „Poooszede!! — stwierdził Romuald — teraz nie ma co śpieszyć się”. I opowiedział historyjkę o myśliwych, którzy, kiedy psy obracały tak daleko że ledwo było je słyszeć, zasiedli do kart pod drzewem, a zając im przez te rozłożone karty przeskoczył. Ta historyjka oburzyła Tomasza jako przykład świętokradczego stosunku ludzi do zadań istotnych. Podejrzenia, niezupełnie ugruntowane, podszeptowały mu, że polowanie dla niektórych nie przedstawia większego znaczenia niż wódka czy karty, stanowi ot taką sobie rozrywkę.

Zaciekła skarga zamieniła się w regularny gon i ten od dałał się. Nie spiesząc się, rozstawili się na stanowiskach. Sójki zaniepokojone ich obecnością skrzeczały, Tomasz wpatrywał się z napięciem w linię drózek przed sobą, ale odezwały się dwa strzały, echo je niosło w szumie drzew. „Dyonizy”, odgadł To-

masz, bo Wiktor nie mógłby strzelić dwa razy ze swojej jednolufej berdanki.

Wygląda się na zakręcie zza pni i całe widowisko jakby pomniejszone w szkiełku: Dyonizy, zając pod jego nogami, psy. Na przycinki Romualda przyznał się, że spudłował za pierwszym razem i poprawił. Romuald pociągał z płaskiej flaszki obszytej wołokiem; Tomasz odmówił kiedy mu ją podał żartobliwie i zastanawiał się czy ten płyn licuje z godnością Romualda Wspaniałego.

„Ej Tomasz, twoje buty całkiem na nic”. Rzeczywiście, trzewiki, które wkładał do kościoła, nie nadawały się do włóczęgi po rosach. On, teraz już wtajemniczony prawie, powinien nosić buty z długą cholewą, jeżeli to możliwe z rzemykiem który zapina się pod kolanem, jeżeli już nie wolno marzyć o butach takich jak Dyonizego, ponad kolana. Osobą, którą by dało się wzruszyć taką prośbą, był dziadek, bo babka i ciotka na pewno odniosłyby się do niej wrogo z podobnych oszczędnościowych powodów.

XXXVI

Tomy „Dziejów starożytnej Litwy” Narbuta przeglądał dziadek, który, zanim Tomasz nie zaczął grzebać się w szafach ze starymi książkami, nie sprawdzał zawartości biblioteki. Za radą dziadka Tomasz zaniósł te tomy Józefowi Czarnemu, a od niego trafiły do księdza Monkiewicza. Z pewnością każdy z nich znalazł w tych książkach co innego, stosownie do swoich zainteresowań. Proboszcz chrząkał gniewnie, poprawiając się na krześle kiedy czytał o niesłychanej obfitości bogiń i bogów czczonych kiedyś w kraju i rozpoznawał znajome zabobony, dziwnie trwałe, nad wypłenieniem których pracował. Nie wiadomo, czy takie lektury są zdrowe dla duszy. Na przykład zamyka się książkę, zdejmując się okulary i przystępuje się do innych zajęć, a wtedy, zupełnie niespodziewanie, wyskakuje obraz Ragutisa, takiego jak go odkopano gdzieś z leśnych piasków. Gruby bożek pijaństwa i rozpusty, wycięty w dębowym kłocu, uśmiecha się figlarnie, stopy w chodakach ma olbrzymie, na nich stoi nie potrzebując podpory, w całej nieprzyzwoitości starannie przedstawionej, in naturalibus. I nie można o nim nie myśleć.

Co do Józefa, to niektóre rozdziały były jakby specjalnie napisane dla niego, te choćby w których mówi się o bogini Liethui, podobnej według autora do Frei Skandynawów i opiekującej się wolnością. Ojczyzna odzyskała po wiekach niepodległość, ale żadna, najmniejsza nawet okruszyna prochu nie przetrwała po Lejczisie, bitym na pal czy powieszonym przez

panów. Do końca świata nie odkryje się po nim nic, prócz imienia na skrawku pergaminu, na przywileju królewskim z Anno Domini 1483. Tym przywilejem szlachcic Rynwid otrzymywał ziemię „w nagrodę uśmierzenia rozruchów kmieci dobijających się swobody, wzwyż nad tę którą im prawo zabezpieczyło, tudzież za pojmanie dowódcy buntowników zwanego Lejczis, który nie bacząc na godność i powagę majestatu królewskiego, śmiał kota podnosić królowi, mieniąc to być znakiem pogańskiej swobody Liethui”.

Historyk Narbut, szlachcic tak jak tamten Rynwid czy jak Surkont, dał w 1805 roku swój zegarek człowiekowi, który na jarmarku powtórzył mu słowa starodawnej pieśni-skargi do bogini, tak podnieciła ona jego ciekawość zbieracza. „Maleńka Liethua — brzmi pieśń — droga swobodo! Skryłaś się w niebie, gdzie cię szukać? Czy śmierć nas tylko przygarnie? Niech patrzy gdzie chce nieszczęśliwy — spojrz na wschód, spojrz na zachód, bieda, przymus, ucisk. Pot pracy, krew od razów zalały wielką ziemię. Maleńka Liethua, droga swobodo, zejź z nieba, użal się”. Oczywiście, że to dla Józefa. I tak, każdy ciągnąc w swoją stronę, rozmawiali o tej książce na plebani, w pokoju gdzie tykał zegar i dokąd zaglądały przez okna twarze georginii. Cały piękny ogródek założyła Magdalena i wystarczyło już tylko dbać żeby go nie zapuścić.

Któregoś jesiennego popołudnia Józef, mniej skłonny do powrotu w przeszłość, bo w miasteczku wpadła mu w uszy nieprzyjemna wiadomość, powoli rozsnuwał swoje żale, a proboszcz, z rękami na brzuchu, przymykał powieki. W istocie te żale miesciły się w ich zwykłych pogawędkach ale powstawała teraz wyraźna wątpliwość jak postąpić, a dotyczyła ona tak samo panów.

Józef wyliczał grunta orne, łąki i pastwiska Surkonta i wtajemniczał księdza w to, czego się dowiedział. Że ten, zdawałoby się najlepszy ze wszystkich, też używa podstępnych sztuczek, godne było co najmniej wzruszenia ramion.

— I po co to jemu? — pytał Józef. — Czy zabierze ze sobą dobro do grobu? Jeżeli wszędzie będą umieli tak sobie samym pomagać, to kto dostanie ziemię? Dlaczego nie chcą zrozumieć, że ich czas minął?

Na Łotwie zostawiano im tylko czterdzieści hektarów i tak lepiej. Proboszcz mruknął, że rzecz nie w ilości hektarów, ale w tym, że naród zepsuty i że urzędnicy kłaniają się każdemu kto bogaty. Według Józefa decyzja o tym co komu zabrać, powinna należeć do okolicznych wiosek, proboszcz na to, że to byłaby anarchia. Może i tak, ale jakie wynaleźć sposób.

Przed wszystkim jednak coś należało przedsięwziąć. Józef

nie pochwalał bynajmniej składania donosów, czy innych starań, które nawet inaczej ochrzczone nie przestają być tym samym. Bywa jednak, że innego wyjścia zabraknie. Waży się wtedy: czy ponosić winę przez obojętność, czy spełnić obowiązek, choćby nieprzyjemny. Trzeba przewidzieć jakie skutki to może pociągnąć dla bliźniego. Przecie Surkonta nie zabijają, ani wsadzą do więzienia, ani skonfiskują mu majątku, tyle tylko że będzie miał mniej gruntu. To mniej więcej tłumaczył księdzu, prosząc o wypowiedzenie opinii.

Proboszcz rozmyślał, gładził się po łysinie i trafił wreszcie w samo sedno.

— Czy Surkont obiecał dać budulec na szkołę? — zapytał.

— Obiecał, jak tylko zamarnie.

— A jak on da i gospodarze dadzą, ile tobie będzie jeszcze brakować?

— Tak, trzydzieści sążni.

— Hm.

W tym „hm” kryło się wiele. Józefowi dotychczas takie rozwiązanie nie przyszło do głowy, ale teraz widział jasno. Wystarczy, że siądzie z Surkontem i krążąc, niby nie zmierzając do niczego, pokaże że on wie i że jest zdecydowany nie pozwolić na wykręcanie się od parcelacji. Wtedy tamten gotów będzie na wszystko żeby załagodzić i trzydzieści sążni załatwione zostanie za jednym zamachem.

Nie pytał już dalej i zabrali się do dyskusji o polityce, to jest do rozważań, czy Wielki Książę mógł ocalić kraj, jeżeli do wyboru miał tylko albo iść z Polakami przeciw Krzyżakom, albo z Krzyżakami przeciw Polakom. Spór ważny jeżeli się zastanowić co wynikło z pierwszego wyboru. Choćby Michalina Surkontowa, która wołałaby umrzeć niż uznać że jest Litwiną. I sam Surkont i tysiacy takich jak on. Tak to po wydarzeniu sprzed kilku setek lat rozchodziły się kręgi jak po kamieniu wrzuconym w wodę.

— A co ojciec Tomasza? — zapytał proboszcz.

Uśmiech Józefa, raczej gorzki.

— Nie ma co i mówić. Nie wróci. Teraz za to, że służył w ich wojsku trafiłby u nas do więzienia. I syna pewnie sprowadzi do ich Polski.

Proboszcz westchnął.

— Nie przyznają się do małego kraju. Dla nich kultura, wielkie miasta. Ale Narbut przyznawał się. Choć wtedy narodowość to było co innego.

— Ja myślę, że na ludzi spada jakiś dur.

Ksiądz Monkiewicz kręcił głową przecząco.

— Nie, to tak pomieszało się. Stara Dilbinowa, ta babka

Tomasza, z Niemców. A w Prusach litewskie czy polskie nazwiska i wszystko Niemcy. Żeby z tego pomieszania tylko co złego nie wyszło.

„Dzieje” Józef zwrócił Tomaszowi po kilku miesiącach i rozmowy do jakich dostarczyły okazji niewątpliwie nie zarejestrowały się ani na skórze grzbietu, ani na sztywnych stronich. Wrzucone w szafę dzieło znów nasiąkało stęchlizną i wędrowały po nim małe owadki, które upodobały sobie życie w wilgoci i w półmroku.

Józef nigdy nie nawiedził Surkonta, proponując mu swoje milczenie wzamian za drzewo dla szkoły, choć stwierdzone jest, że długo nosił się z takim zamiarem. Wcale nie łatwo rozstrzygnąć: na jednej szali kładzie się swój cel najbliższy, szkołę, na drugiej zasadę i dobro biedaków z kumietyni, którzy powinni dostać ziemię z parcelacji. Zasada przeważyła. To jeszcze w niczym nie przesądzało środków jakie wypadało zastosować. Środek pierwszy — wyraźnie oświadczyć Surkontowi, że wie się i że w mieście powie się komu trzeba, że co jest nieprawda jest nieprawda. Więc otwarta wojna. Środek drugi — nic nie zdradzać, działać w ukryciu, w ukryciu złożyć skargę do władz. Środek trzeci — czekać i uważać co wyjdzie z tych kombinacji, zanim przystąpi się do działania. Najwięcej przemawiało za tą ostatnią drogą, ponieważ wrogiem rozsądku jest pośpiech i niejedno prostuje się przez cierpliwość.

XXXVII

Tomasz miał swoje państwo. Co prawda na razie tylko na papierze, ale sam w nim mógł wszystko urządzać i co dzień zmieniać według upodobania. Pomysł dały długie rulony woskowego papieru, które dziadek i ciotka Helena (która przyjeżdżała teraz często) rozwijali na stole. Na nich wodnymi farbami wymalowane były różne wieloboki i linie granic — plan gruntów należących do Ginia. Jasne, równo pociągnięte płaszczyzny przeświecały przez papier.

Państwo Tomasza było absolutnie niedostępne, zewsząd otoczone bagnami, takimi jak te gdzie mieszka wąż z czerwoną głową. Całą jego przestrzeń miały pokrywać lasy, ale namyślił się i umieścić trochę jasnej zieleni łąk. Drogi są niepotrzebne, bo to żaden las dziewiczy przecięty drogą, więc do komunikacji służyły rzeki połączone niebieskimi paskami kanałów i jeziora. Ludzie specjalnie przez niego zaproszeni będą mogli się tam dostać, owszem, bo w bagnach zaznaczył sekretne przejścia. Wszyscy mieszkańcy — nie wielu, kraj miał służyć przede

wszystkim do wygody zwierzętom, takim jak żubry, łosie, niedźwiedzie — będą żyć wyłącznie z polowania.

Przyszły już jesienne chłody i nie miał stołu, ten z zamkniętej na zimę części domu wzięto do przybudówki, ale ponieważ przy nim odbywały się te różne oglądania planów i rozmowy, w których powtarzało się słowo „reforma”, więc obawiał się nagabywać wścibskiej Heleny. I ze swoją mapą i z innymi pracami przenosił się w razie zagrożenia na stoliczek w pokoju babki Dilbinowej. Ta go nie niepokoiła także i dlatego, że najczęściej leżała w łóżku, chora. Za to musiał wysłuchiwać jej żalów i gderania, że wszyscy o niej zapomnieli, że siedzi tutaj u obcych, że zginie w tej dziurze i nie zobaczy synów nigdy, nigdy. Pomstowała też na Litwinów za ich czarną niewdzięczność. Gdyby Konstanty i Teodor i całe polskie wojsko nie biło się z bolszewikami, zobaczyliby co by zostało z ich Litwy. I za to ojca Tomasza i stryjka spotykała nagroda: nie mogą nawet przyjechać w rodzinne strony choć na kilka dni, zupełnie kryminaliści. Listy od nich dochodziły okólną drogą, przez Łotwę, ze znacznym opóźnieniem, między Polską i Litwą nawet i to zostało wzbronione. I z listami działały się całe komedie. Tomasz obserwował podstępny jakich babka używała, żeby zmusić do wysłania koni na pocztę, kiedy długo nie było okazji do miasteczka. Udawała że umiera byle ktoś pojechał po doktora Kohna, nawet w najgorsze pluchy. I później jej palce trzęsły się rozdzierając koperty, oczy mrugały, na policzkach pojawiały się ceglaste wypieki.

Tomasz nie mógł jej traktować poważnie, puszczał jej szemrzące skargi mimo uszu, a zarazem czuł jakąś złość, bo ciągle mówiła o tym swoim Konstantym. O nim babcia Misia i ciotka wyrażały się, że to „nic dobrego”. Teraz został zawodowym oficerem, porucznikiem ułanów, więc na pewno nie przyznał się, że skończył tylko trzy klasy gimnazjum, bo na to żeby być oficerem trzeba mieć skończoną szkołę. W tym jej obnoszeniu się z nim była śmieszność. Także te jej urągania na Ginie, że zdana na łaskę Surkontów, w tym domu gdzie nikt nawet nie je przyzwoitych obiadów, na to że nie ma do kogo ust otworzyć, na Antoninę która tutaj jest panią, nawet na domową tabakę, którą dla niej ciął w drobne paski i potem robił papierosy — te wyglądały ładnie dopiero kiedy obcięło się nożyczkami kłak sterczący z gilzy; równe, już w pudełku, przekładał z przyjemnością. Babki słuchał uważnie tylko kiedy przedstawiała jak to będzie wspaniale kiedy nareszcie przyjedzie jego mama i zabierze i ją i jego.

Parę razy na tydzień Tomasz wędrował do wioski na lekcję do Józefa. Kiedy wypisywał cyfry bardzo się starał bo zależało mu na pochwalę nauczyciela, to nic że obie babki i ciotka wcale

dla Józefa nie chowały respektu. Józef podnosił ramiona kiedy jego łokcie leżały na stole, grdyka w żyłastej szyi jeździła mu w górę i w dół i jego ociężałość była poważna, taka że można na niej polegać. Może właśnie Tomaszowi brakowało kogoś kto jak powie to dobrze a to źle, to wiadomo że tak jest.

Od czasu do czasu zjawiali się litewscy urzędnicy, wtedy babcia Misia i ciotka chowały się, bo przyjmować ich za grzeczność nie wypadało, nie chciały się skalać niewłaściwym towarzystwem „świnopasów” jak ich nazywały — niby to urzędnicy, a właściwie chłopci. Tomasz zaglądając przez uchylone drzwi widział ich siedzących z dziadkiem, który udawał nawet z dyplomacji że pije, żeby ich do wódki zachęcać. Potem dziadek podjeżdżał z nimi do świrna i tam Pakienas ładował im na bryczkę jeden, drugi worek owsa dla ich koni.

Te wizyty zwiększały porcję rozmów o „interesach” w których brała udział nawet babcia Misia, która kiwała się na boki stojąc przy piecu. W interesach także dziadek wyprawiał się w podróż do miasta. Umieszczał pieniądze i dokumenty w płóciennym torebce, zawieszał ją na szyi a dla pewności przypinał jeszcze do ciepłej podkoszulki agrawkami. Na to dopiero kładł koszulę, wełniany kaftanik i kamizelkę. Między rogi sztywnego kołnierzyka wciskał węzeł krawata trzymającego się na gumce. Z jednej kieszeni kamizelki do drugiej wisiała mu dewizka od zegarka.

Skutkiem wizyt w Borkunach Tomasz albo w pokoju babki Dilbinowej, albo, jeżeli tam już nie mógł wytrzymać, to przy lampie w jadalni, pracował nad specjalnym zeszytem, który wyglądał jak książka. Przycinał równo ćwiartki papieru i brzegi sklejał, dodał także okładkę z tektury a na niej wypisał: „Ptaki”. Zajrzawszy do środka (co nikomu się nie zdarzało, wartość dzieła polegała na jego sekretności i zniechęcałby każdego kto by się ośmielił) znalazłoby się tam tytuły, większe i podkreślone a pod nimi, mniejszymi literami, opis. Przewyciężyć skłonność do brzydkich kulfonów przychodziło mu z trudnością, prowadził piórem powoli i pomagał sobie wystawiając język. Postawił na swoim bo całość przedstawiała się jednak czysto.

Weźmy na przykład dzięcioły. Oczywiście ten, który go najbardziej zachwycił i który zjawiał się w parku zimą — duży, pstry. Tylko jeden gatunek, duży, ma czerwoną głowę, więc:

Dzięcioł nakrapiany — *Picus leucotos* L. A pod spodem: zamieszkuje liściaste lasy jeżeli znajdzie w nich obfitość starych, próchniejących drzew, jak również obszary iglastego starodrzewia. Zbliża się zimą do siedzib ludzkich.

Albo:

Zołna — *Picus martius* L. — największy z rodziny dzięcio-

łów. Jest czarny a na głowie ma czerwoną plamę. Gnieździ się w iglastych albo brzoźowych lasach.

Zołnę Tomasz widział w Borkunach — nie z bliska, bo blisko podejść nie da, miga tylko, właśnie jak powiedziane, między pniami brzoź i echo niesie jej przenikliwe kri-kri-kri.

Co prawda nie wiedział, że pisze się po łacińskiej nazwie L. albo „Linni” na cześć szwedzkiego naturalisty Linneusza, który pierwszy poklasyfikował gatunki, skrupulatnie jednak to stawiał, żeby jego książka o ptakach nie różniła się od innych systematycznych spisów. Nazwy łacińskie podobały mu się ze względu na ich dźwięczność — np. trznadel — *Emberisa Citrinella*, albo kwiczoł — *Turdus Pilaris*, albo sójka — *Garrulus Glandarius*. Niektóre takie nazwy odznaczały się niebywałą ilością liter i przeskakiwał ciągle oczami ze swego zeszytu na stronicę starej ornitologii, żeby którejś nie opuścić. Jednak jeżeli się powtórzyło kilka razy, też brzmiały dobrze — a orzechówka zupełnie już magicznie: *Nucifraga Caryocatactes*.

Ów zeszyt dowodził zdolności Tomasza do skupienia uwagi na tym co go pasjonowało. Trud się opłacał, bo nazwać i zamknąć ptaka w piśmie to prawie to samo co mieć go na zawsze. Nieskończona ilość barw, odcieni, świstów, gwizdów, trzepotów — przewracając karty miał je tutaj przed sobą, działał i porządkował jakoś nadmiar tego co jest. W ptakach wszystko właściwie skłania do niepokoju: dobrze, one są, ale czy można tylko to stwierdzić i dalej nic? Światło mieni się na ich piórach kiedy lecą, od żółtego, ciepłego wnętrza dziobów, które młode otwierają w gnieździe utajonym w gąszczu, przenika nas prad miłosnej wspólnoty. I ludzie uważają ptaki za drobny szczegół, taką sobie ruchomą ozdobę, ledwo raczą ją zauważyć — kiedy powinni być całe życie poświęcić temu jednemu celowi, jeżeli znaleźli się razem z podobnymi dziwami na ziemi: rozpamiętywaniu szczęścia.

Tak (mniej więcej) myślał Tomasz i ani „Reforma” ani „interesy” nie dotykały go bliżej, choć przejęcie z jakim o tym rozprawiano przecież zmuszało do zastanowienia. Bez ustanku: „Pogiry”, „Baltazar”, „Jaka” i dostatecznie rozgarnięty pojmywał trochę o co chodziło ale bez sympatii. Życzył z pewnością dziadkowi, żeby mu się udało, jednak wołałby gdyby ten nie odbywał swoich narad z ciotką Heleną.

XXXVIII

Baltazarowi przybywało tłuszczu, niektóre duszne cierpienia temu sprzyjają, bardziej chyba dotkliwe niż te od których się chudnie. Kiedy dowiedział się o sławnym rabinie w Szylelach, z początku śmiał się, ale ten śmiech skrzepl w obawę, czy należy odrzucać pomoc, może akurat zesłaną. Poczekał więc tylko do ustalenia się sanny. Z pierwszym śniegiem chwyciły mrozy, zmarł na sankach i wstąpił do karczmy żeby się ogrzać, upił się i spędził tam na ławie noc. Rano zgaga, droga i słupy, w których podwywa wiatr obracający wiry śnieżnego pyłu, sztywne, ich widok aż ranił i tak dojechał do Szylel. Dom rabina duży, z wpadniętym ze starości drewnianym dachem, stał w dół od ulicy, schodziło się do drzwi pochyłym podwórzem. Od razu w sieni obskoczyło go trzech czy czterech i w ogóle kręciło się ich tam wielu, młodszych i starszych, wypytawali a skąd, a w jakiej sprawie. Postawił w kacie bat, rozpiął kożuch, wygrzebał pieniądze i odliczył na ofiarę taką sumę jak słyszał że trzeba. Wprowadzili go wreszcie do izby, w której za stołem siedział brodaty w czapce wciśniętej na czoło i pisał w wielkiej książce. Powiedział Baltazarowi, że nie on jest rabin, ale ma mu wszstko wyłożyć co go sprowadza, bo taki przepis, a on wytłumaczy rabinowi. Tutaj ociąganie się Baltazara i drapanie się w rozczochrany czub i bezradność. Wierzył pomimo wszystko w jakiś promień który przebiję go na wylot i odsłoni całą prawdę, także jemu samemu. Mówić? Ledwo z ust wydobydą się dźwięki, już wie się, że fałsz i brak sposobu żeby coś wyrazić. Trzeba by było wyluskiwać wyznania zupełnie ze sobą sprzeczne i to gdzie — tutaj, przed obcym Żydem, który nie przestawał wodzić piórem i nawet nie poprosił go od razu siadać, dopiero po chwili wskazał mu krzesło. Z tego co Baltazar wymamrotał wynikało, że nie może sobie znaleźć miejsca, że żyje a nie żyje i że zginie bez rady świątobliwego człowieka. Żyd odłożył pióro i ręką grzebał pod brodą. — Gospodarkę ma? — zapytał. Żona, dzieci? I dalej: — Grzechy żyć nie pozwalają? Wielkie grzechy? Baltazar potwierdził, choć niepewny czy to grzechy, czy strach, czy co innego odbierało mu spokój. Czy modli się do Pana Boga? — indagował Żyd. Tego pytania nie rozumiał. Pewnie, że jeśli komuś jest źle, to chce żeby było lepiej i do Boga należy to poprawić, ale jeżeli On do tego nieskłonny? Przecie nie ma się do Niego dostępu. Chodził jak należy do kościoła, więc kiwnął głową że modli się.

Potem długo czekał, znów w tej sieni, stojąc pod ścianą, gdzie wchodzili, wychodzili, otrząsali śnieg z butów. Rósł har-

mider, gęsto robiło się od nich, szwargoczących i wymachujących sobie przed nosem palcami. Aż z głębi wzniósł się krzyk i cały tłum razem z Baltazarem wwałił się do tej izby gdzie przyjmował go pisarz, otworzyły się dalsze drzwi i ze ścisku w nich wynurzył się w czarną, długą izbę cały prawie koniec której zajmował czarny stół. We wrzawę, w szuranie, w podniecenie wpadł czyjś rozkaz: „Szal” i „Szal szal” powtórzyły głosy wszystkich.

Z drzwi z boku wyszedł rabin, za nim ten brodaty sekretarz. Rabin: malutki, z twarzą panienki — świętej Katarzyny tak jak na obrazie w kościele w Giniu. Koło policzków zwiły mu się puszyste blond włoski. Ubrany był ciemno, pod podbródkiem w białej koszuli sterczał błyszczący guzik spinki, głowę miał zakrytą jedwabną czapeczką. Mina jakby zawstydzona, oczy spuszczone, ale kiedy jego pomocnik dał znak Baltazarowi, żeby się przybliżył i uniosły się powieki, wzrok świdrujący, wpatrywał się długo, zadzierając trochę głowę i gładził dłonią kłapę surduta. Przed nim Baltazar czuł swój bezwładny ogrom.

Powiedział, tak patrząc, kilka słów w ich mowie. Zerwały się szepty, zebrani za Baltazarem zakłóysali się i znów: „Szal szal”. Sekretarz przetłumaczył po litewsku:

— On mówi: Żaden-człowiek-nie-jest-dobry.

I znów zza stołu cicho odezwał się rabin, a brodacze obwieścił:

— On mówi: Co-zrobiłeś-złego-człowieku-tylko to-jest-twój własny-los.

Baltazara z tyłu napierali, w ciszy pełnej syknicy i oczekiwania słyszał brodacza:

— On mówi: Nie-przeklinaj-człowieku-własnego-losu-bo-któ-mysli-że ma cudzy-a nie-własny-los-zginie-i będzie-potępiiony-nie myśl-człowieku-jakie-mogłoby być-twoje-życie-bo inne-byłoby-nie twoje. On skończył mówić.

Baltazar zrozumiał że to już wszystko, jeden z nich teraz znalazł się na wprost rabina i ten do niego się zwracał. Przecisnąwszy się przez ich masę, wypadł z domu, wściekły. To po to jechał w mróz dwadzieścia wiorst? Przeklęte Żydy. I przeklęta jego własna głupota. Jednak za miasteczkiem, kiedy jego but zwieszony za żerdkę niskich rozwalni złoślił brudę w bieli, gniew minął. Co innego się pojawiło: żal. Czego właściwie się spodziewał? Czy kazanie na całą godzinę, czy kilka słów, żadnej różnicy, najgorsze nie w tym ale w braku ogólnym od którego tylko wyć: ani anielskich trąb, ani ognistych języków, ani mieczów co rozdławiają się na końcu jak żądło węża. Dobrze, jedzie drogą, za nim domy, przed nim sine chrusty i las, nad nim chmury i co można powiedzieć? Że urodził się, że umrze, że powinien znosić co jemu wypadło? To samo, zawsze to samo, ksiądz

czy rabin i nigdy do samego środka, żeby teraz na skraju nieba wylazła głowa olbrzyma, żeby zaczął wciągać oddech i wszystko by w jego gębę leciało i on razem, Baltazar, to byłoby szczęście. Ale gdzież by tam. Dlaczego złościć się na Żyda? Człowiek taki sam jak inni, słomę młóci, a czy jakikolwiek człowiek na świecie potrafi coś innego? Choćby ktoś sam siebie rozdzierał z bólu, przyjdą, pocieszą swoją słomą, maszyny wynaleźli, ale prócz tego „urodził się i umarł” nic a nic.

Powoli a gotów był zgodzić się, że coś mądrego zyskał w Szytelach. Pierwsze odezwanie się rabina nappełniło go, to prawda, nadzieją. A może każdy męczy się i żałuje, tylko nie przyznaje się? A gdyby zebrali się i jeden drugiemu wyznał swoje grzechy, czy nie lżej? Tylko kto by się odważył? Jakto: nikt nie jest dobry? Na pewno tacy tam by się też przywlekli, których grzechy lekkie. Choć czy na pewno jeżeli kto bez grzechu, to wystarcza? Uu, tutaj spostrzegaliśmy że Żyd sprytny, na długo wystarczy do obracania w głowie.

Zdjął rękawice i skrzył papierosa. Koń biegł rażno, brzękadła na chomacie chrzęściły w pustce, zza witek łoży wyskoczył zając i pyrgał wzdłuż zamarniętego ruczaju. Zmierzchało, w lesie dopadł go zmrok, ale nie tak jeszcze nagły, żeby nie zauważył klejmów na sosnach. Będą ciąć. Baltazar czytał w gazecie, że rząd sprzedał dużo roczników drewna do Anglii. Na przykład ta sosna nie zaklejmowana. Dlaczego? Bo krzywa. Pień najpierw prosty zginał się poziomo i dopiero z tego ramienia strzelała w górę masztowa świeca. Może taki los miał na myśli rabin. Sośnie nie wolno zaczynać od początku. Musi na nowo zaczynać od tego co już jest — choćby od krzywizny. Ale reszta prosta. A człowiekowi wolno? Też nie.

Zaciął konia, niezadowolony. Człowiek to nie drzewo — ono wie czego potrzeba: światła. A człowiekowi wydaje się, że rośnie prosto, a rośnie krzywo. I tutaj cała trudność. Moje życie takie i takie. Z niego w tę i w tę stronę, żeby to życie zmienić. I tak prosto jak strzelił, a po niewczasie widzi że wcale nie szedł w górę, tylko w dół. I tu kończy się ich żydowska mądrość.

Z mocnym postanowieniem, żeby nie zatrzymywać się po drodze, ściągnął lejce kiedy w świetle z okien karczmy iskryły się grudki śniegu. Przywiązane przy rogu budynku konie rzucały workami z owsem u pysków i odzywały się za każdym podrzutem brzękadła upręży. Nie cudzy, jego własny los. Niech będzie. Położył rękę na klamce. Wszedł? Wszedł.

XXXIX

Jeżeli przyjąć teorię, że fraczki i pończochy diabłów świadczą o ich sympatii do osiemnastego wieku, Reforma rolna, polegająca na odbieraniu ziemi jednym i dawaniu drugim, powinna wykraczać poza zakres ich wiedzy. Diabeł który pilnował Baltazara (tak wrona spaceruje naokoło ranionego zająca), z ciężkiego obowiązku musiał pewnie studiować tę kwestię. Wypada więc zająć się nią, również z obowiązku dokładności, na chwilę.

Podział gruntów Surkonta według rodzajów przedstawia się następująco:

ziemi ornej	108.5 ha
pastwisk nad Issą, nieużytków itd.	7.9 ha
pastwisk spornych koło wioski Pogiry	30.0 ha
lasu, łąk i gruntu który wykarczował sobie Baltazar	42.0 ha

Razem: 188.4 ha

Natomiast według świeżo ogłoszonej Reformy cokolwiek wykracza poza osiemdziesiąt hektarów zostaje rozparcelowane pomiędzy bezrolnych za wynagrodzeniem dla właściciela tak niskim, że bez znaczenia w praktyce. Następujący środek obrony wybrał Surkont czy też dbająca o swoje jego córka. Jeżeli własność rolna uległa podziałowi między członków rodziny, którzy pobudowali się i gospodarzą samodzielnie, każdy z nich może mieć do osiemdziesięciu hektarów. Surkont zdecydował oddać na zapchanie gardła rządowi 30 ha spornych pastwisk, a resztę to jest 158,4 ha podzielić między siebie i Helenę. Tak, ale datał Ustawa wyraźnie określa że podziały przeprowadzone po tej i tej dacie są nieważne. Żeby przymknąć oczy na drobną nieformalność i wpisano do ksiąg niby przez pomyłkę wcześniejszą datę działy, trzeba uprzejmości urzędników, którzy nie pozostają niewrażliwi na grzeczności jakie im się świadczy. O to właśnie zabiegał.

I dalszy szkopał: las. Wszystkie lasy przechodzą według ustawy w ręce państwa. Więc podał las jako łąki. Tu już zależy gdzie zechcą patrzeć taksatorzy — czy w dół, czy podnieść oczy na dziwną trawę, której żdźbła nie może objąć rękami mężczyzna. Zresztą naprawdę starej dębiny nie zachowało się wiele — przeważnie cieniste gaje młodych grabów, trochę jednaków i dużo podmokłych pasiek. Jednak cały ten skrawek graniczył z lasem rządowym, który ciągnął się dziesiątki kilometrów, to zwiększało niebezpieczeństwo.

Dwa gospodarstwa — jego i Heleny. Trzeba znaleźć gdzie

mieści się to drugie. Zupełnie niespodziewanie Baltazar przychodził z pomocą. Żadne wyrachowanie nie kierowało Surkontem kiedy pozwalał Baltazarowi robić co ten tylko sobie zamarzył. Nie wyrachowanie ale słabość do tego chłopca (bo spójrzcie na niego, a przekonacie się że czy trzydziestoletni czy czterdziestoletni nie przestaje być chłopcem). I teraz leśniczówka i jej zabudowania przydawały się doskonale: w dokumentach stwierdzi się, że Helena gospodarzy samodzielnie.

Taki więc jest ogólny zarys sytuacji i starań. Najlepszy gatunek piwa i aromatyczna nalewka z samogonu na dziewięciu gatunkach leśnych traw wyjeżdżały na stół kiedy do jego chaty wpadała na krótko Helena Juchniewicz, ale Baltazar śledził ją uważnie, szczerząc jak zawsze zęby w dobrodusznym uśmiechu. Czyż jej nie znał? Słodziutko, niby przypadkiem zapuszczała żurawia to do obory, to do świrna. Z taką mieć do czynienia przykro.

Według niektórych diabeł jest niczym więcej niż rodzajem halucynacji, tworem wewnętrznych cierpień. Jeżeli tak wolą, tym bardziej świat musi wydawać się im trudny do pojęcia, bo żadnej innej żywej istocie poza człowiekiem nie zdarzają się takie halucynacje. Powiedzmy, że malutkie stworzonko które niekiedy spacerowało, podskakując, koło linii rozlanego trunku, rozprowadzanych palcem Baltazara po stole, zawdzięczało swój byt pijaństwu. Nic z tego jednak nie wynika. Bywały dnie kiedy Baltazarowi wracała radość, pogwizdywał sobie za pługiem — i nagle wewnątrz drgnięcie, które zapowiadało zbliżanie się grozy. Zaledwie kilka kroków poza krąg jemu wyznaczony, a już obca siła zapędzała go z powrotem. Właśnie: obca. Bo swoje cierpienie odczuwał wcale nie jako część samego siebie, sam na pewno, tam w głębi, ciągle pozostawał czystą radością, co go napadało, osaczało go z zewnątrz. Groza dlatego że takiej subtelności i przenikliwości rozumowań, jakie rozwijał w stanach rozpaczy, nie czerpał przecie z tego co sam mógł, porażała go nadludzka jasność widzenia. Własna śmieszność — ta też wchodziła w skład tych rozrachunków, na niej grał prześladowca.

— Więc tak, Baltazarze — mówił. — Jedno życie. Miliony ludzi zajmują się milionem przeróżnych spraw, a ty: Surkont, Helena Juchniewicz, grunt, tamten hm, przypadek z karabinem, malutkie to wszystko. I dlaczego właśnie tobie to dane? Jak gwiazda, mógłbyś spać tu albo tam. Musiałeś tu. I nie narodzisz się nigdy już drugi raz.

— Rabin mówił prawdę.

— Prawdę? Ty jednak i gryziesz sobie pięści, że Juchniewiczowa ciebie wyrzuci i gryziesz pięści ze złości na siebie za to, że gryziesz pięści. Niby godzisz się na swój los, ale nie godzisz

się. Rabin, nie przeczę, odgadł, bo doświadczony. Ale to nie tak trudno odgadnąć. Baltazar brudny żałuje, że to wszystko spadło na Baltazara czystego, którego nie ma. Wspaniały ten czysty Baltazar. Ale nie ma.

Palce wpijały się w stół. Żeby uderzyć, rozbić, żeby zmienić się w ogień czy w kamień.

— No nie, przewrócisz stół i co? Ja wiem, że właściwie nie tego chcesz tylko o coś zapytać. Pytaj, będzie lepiej. Wlewasz to w gardło, ale przestajesz myśleć tylko na chwilkę dopóki w gardle pali. Chcesz wiedzieć?

Baltazar opadał z łokciami szeroko rozłożonymi na deskach stołu, we władzy łasicy, słabej i drapieżnej.

— Czy kto coś robi, to dlatego że nie mógł inaczej? To ciebie gnębi, nieprawdaż? Jeżeli jestem tym czym teraz jestem, to dlatego, że postąpiłem wtedy i wtedy tak i tak. Ale dlaczego wtedy tak postąpiłem? Czy nie dlatego że jestem jaki jestem od początku? Tak?

Pod wzrokiem skierowanym na niego z przestrzeni, przybierającym naokoło siebie różne twarze, ale niezmiennym, potwierdzał.

— Żal, że ziarno niedobre? Że z ziarna pokrzywy nie wyrośnie pszenica?

— Pewnie że tak.

— Pokażę tobie na przykładzie. Stoi dąb. Patrzysz i co myślisz? Że powinien stać gdzie stoi?

— Powinien.

— Ale dzika świnia mogła wyrwać i zjeść żołądz. Patrzałbyś na to miejsce i czy myślałbyś, że tam powinien być dąb?

Baltazar nawijał na palec zwisające strąki włosów.

— Nie. A dlaczego nie? Bo cokolwiek już stało się, wygląda jakby musiało się stać i jakby nie mogło być inaczej. Tak człowiek jest urządzony. Ty później też będziesz pewny, że nie mogłeś pojechać do miasta, opowiedzieć komu trzeba, że las Surkont podał za łaki i że próbuje oszukaństwa.

— Ja nie będę na niego skarżyć.

— Dobry Baltazar, kocha Surkonta. Nie, ty boisz się, że twoja skarga nic nie pomoże, on płaci urzędnikom i dowie się, a wtedy już przed córką nie obroni. I boisz się jakbyś wygrał, też. Przyłączą do rządowego lasu, może wezmą ciebie na leśnika, ale zapytają po co tobie tyle gruntu. Nie łżyj. I nie wykręcisz się przeklinając że przeznaczone.

— Kiedy ja nigdy nie wiem czemu. Swatów posłałem, czemu, już nie pamiętam. I wtedy ten — Rosjanin — mógłbym tylko przestraszyć. Nie pamiętam.

— Al

Aaaa! Nigdy nie wie się co poradzić z tym krzykiem co odzywa się w nas samych. Najwyższa niesprawiedliwość na tym właśnie polega, że zdziera się kartkę z kalendarza, wciąga się buty, dotyka się muskułów ramienia i żyje się dziś. A razem z tym szarpie nas od środka pamięć własnych czynów bez pamięci przyczyn. Albo te czyny z nas, z naszej istotności, tej samej co dziś i wtedy obrzydliwie ją nosić, własna skóra nią śmierdzi. Albo kto inny, z zakrytą twarzą, popełnił te czyny i wtedy jeszcze gorzej, bo dlaczego, za jakim przekleństwem, nie można się od nich odczepić?

Baltazar przewidywał, że Surkontowi się uda. Wybierał nieruchomość ze zmęczenia i z nieufności do siebie, do własnej natury, czy do tych wszystkich którzy pod nas się podszywają. Jeżeli bez ruchu to najmniej potem powodów do żalowania. Zresztą jak już zaplątał się, niech się wszystko płacze do końca. Przez pewien czas zdarzało mu się bić żonę, ale przestał, zamykał się w sobie, ciężki i milczący. Decyzja, żeby rzucić dom i postarać się w porę o kolonię gdzie indziej, z Reformy, byłaby może rozsądna, ale znów zaczynać wszystko, mieszkać w chacie z chrustu i stawiać budynki? I po co? Niech przynajmniej tak trwa. Te działy nie dowodziły, że Juchniewiczowie zechcą w lesie mieszkać, a że od niej wszystko zależałoby jakby co na Surkonta, i tak wiedział.

Urodziło mu się trzecie dziecko, córka. Kiedy babka z Pogir przyniosła ją jemu pokazać, pomyślał, że nie pamięta jak i której nocy i czy miał z tego przyjemność. Była podobna do małego kotka i do Baltazara. Wyprawił huczne chrzciny i to, że rzucił się na kogoś wtedy z nożem obrócono w śmiech a dowiedział się o tym dopiero obudziwszy się następnego dnia.

XL

Dzwonią dzwonki, koń prycha, płozy suną bez szelestu, a na bieli z obu stron drogi, ślady. Skrzywiony kwadrat to zając. Jeżeli kwadrat wydłuża się to dowód, że zając biegł szybko. Równym sznurkiem, łapa za łapą — ciągnie się trop lisa, przez pagórek, tam gdzie śnieg iskrzy się w słońcu, do sinawo-fioletowego brzeźniaku. Ptaki odciskają trzy zbiegające się kreski, czasem smugę ogona, albo niewyraźny znak piór w końcach skrzydeł.

Ciotce Helenie od chłodu na nosie pojawiały się drobne żyłki, sterczał ciemniejszy od zaróżowionej twarzy nad kołnierzem kożuska. Jej kożuszek stracił swoją dawną barwę i zrobił się brązowy, ale Tomasza, zupełnie nowy, przypominał jaskrawo-

ścią letnie futerko wiewiórki, i dlatego a także ze względu na jego miękkość lubił czochrać policzkiem o rękaw. Spadała mu na oczy za duża czapka dziadka z uszami, odsuwał ją cierpliwie. Helena nosiła okrągłą czapkę z szarego baranka.

W Borkunach ścieżki koło domu żółte od wydeptanego śniegu, chropawe rozpryski wody chwyczone nagle, kiedy się rozplýwały, przez mróz, kupki końskiego nawozu między którymi skaczą wróble. Barbarka przemykała się w długich wełnianych pończochach i drewnianych klumpiach. Poczęstunek, we trójkę siedzieli za stołem i wtedy szybko Tomaszowi się nudziło, wstawał i oglądał na ścianie myśliwskie przybory. Jakiś rodzaj porozumienia między Romualdem i Heleną go drażnił, ukazywał się wtedy inny, gorszy Romuald, współnik dorosłych, sypiący żarciki, które wywoływały urywane chichoty u ciotki. Co jeszcze skłaniało go do ucieczek od stołu jak tylko się dało, to snucie się Barbarki, naładowanej czemuś złością, zagryzającej swoje pełne usta. Ale jeżeli już przy stole, zamyslał się tak, że „jedź!” Heleny wyrывało go jak ze snu. Nie mogła jednak zgadnąć jego myśli, nieprzyzwyczajonych. Uśmiechy i zapraszania do jedzenia czy do kieliszka wydawały mu się nienaturalne. Dlaczego właściwie wszyscy grają komedię, wykrzywiają się, małpują jedni drugich, jeżeli naprawdę są zupełnie inni? I nic jeden drugiemu nie pokazują co w nich prawdziwe. Zmieniają się kiedy zbiorą się razem. Na przykład taki Romuald, taki jak naprawdę, mówi „trzeba posrać”, kuca sobie pod drzewem i później podciera się liściem, bez żadnego chowania się, a tutaj te uprzejmości i całowanie rączek. Helena też rozkracza się i z między nóg jej ciurka, tymczasem teraz zachowuje się jakby nic tam nie miała i zostawiła tamtą swoją część w domu: taka szlachetna. Nawet Barbarka. Czemu: nawet? Bo Barbarka, piękna że aż straszno, jak z tym rumieńcem przysiada i jak to jej tam wychodzi z między włochatości? Drżał patrząc na nią kiedy to sobie wyobrażał, bo od jej gładkiego czoła i tych granatowych błyskawic w spojrzeniu do tamtego, chyba nie pięć wiorst? Przecie oni wiedzą jedno o drugim że to robią, dlaczego zachowują się jakby nie wiedzieli? Właściwie każdy przymus wizyty, kiedy przestrzegać musiał ich nudnej grzeczności naprowadzał go na podobną przekorę, ale nigdy w tym stopniu jak w czasie odwiedzin w Borkunach tej zimy. Jakby to było dobrze gdyby rozebrali się do gołego i siedli w kucki naprzeciwko siebie, każde zafatwiając swoją potrzebę. Czy wtedy też tak samo paplaliiby głupstwa za głupie dla nich, wziętych pojedynczo? Nie, dopiero by ich zgniotła ich własna śmieszność. Nieskromna rozkosz jaką czerpał z przedstawiania sobie takiego towarzystwa zabarwiała się chęcią triumfu nad ich każdym przebraniem, zdarcia z nich ich pretensji.

Przysięgał sobie, że nigdy nie będzie taki jak oni. Jednak obracał swój protest głównie przeciwko Helenie, która zarażała pana Romualda czy też zmuszała go do małpiarstwa. Więc po prostu był o męskość Romualda zazdrosny.

Pod wieczór, kiedy niebo podpływa z dołu surową czerwienią i cienkie gałęzie wydają się sieć chłodem, na brzozy koło rzeczki przylatywały cietrzewie. Tomasz widział liry ich ogonów w locie i białe podbicia skrzydeł, czarny metal ich piór mienił się jeżeli udało się podejść dostatecznie blisko, z daleka tylko sylwetki między koroną szczytów. Romuald wydobył raz z szafy „bałwana” z drzewa wyglądającego zupełnie jak cietrzew. Przywiązuje się go do długiej żerdzi, tak żeby naśladował żywego ptaka i tę żerdź stawia się przy brzozie; myślą że to ich towarzyszy i nadlatują a wtedy się strzela. Obiecał go kiedyś zabrać ze sobą ale jakoś się rozpełzło, brały silne mrozy i raz tylko chodzili do lasu na spacer, niestety z Heleną. Romuald pokazał im ślad, który długo badał, wreszcie orzekł że wilczy. Jak odróżnia się ten ślad od śladów dużego psa? Hm, trzeba żeby to był wyjątkowo duży pies — objaśniał — a poza tym poduszki palców u wilka odciskają się lepiej, szerzej rozstawione.

Romuald nie często przyjeżdżał do kościoła, wtedy po mszy zachodził do dworu, natomiast Barbarę Tomasz spotykał każdej niedzieli. Modliła się z grubej książki do nabożeństwa, na jej plecy spadał trójkątny rąbek chustki i wtedy nie oneśmielała go tak jak w Borkunach. Kościół ma to do siebie, że wszystko w nim przestaje być groźne, nawet Domcio którego zmierzwił włosy zauważał czasem w tłumie mężczyzn. Kościół nie skłaniał go do przekory, przyczyniał jednak niektórych zmartwień. Tomasz uważał, że uczucia w człowieku powinny wzbijać się podczas nabożeństwa ku Bogu, a jeżeli nie, to oszukuje się kogoś przez swoje uczestnictwo. Nie chciał oszukiwać, przemyślał oczy i starał się ulatywać myślą wysoko, przez dach w samo niebo, ale nie udawało mu się. Bóg był jak powietrze i każdy jego obraz rozwiewał się natychmiast. Z uporem powracały natomiast przyziemne obserwacje ludzi koło niego, jak kto ubrany, z jaką miną. Albo, jeżeli odrywał się i mknął w przestwór, to po to, żeby podstawić sobie samego na miejsce Boga i samemu patrzeć z góry na kościół i wszystkich w nim zebranych. Dach wtedy przezroczysty i ubrania przezroczyste, klęczą z ich wstydliwymi częściami na widoku choć te ukrywają jeden przed drugim. Co w ich głowach, także się odsłania, dużymi palcami można wtedy sięgnąć z góry i schwycić tego albo innego, położyłby sobie na dłoni i przyglądałby się jak się rusza. Przeciwno takim marzeniom bronił się, ale pojawiały się ile razy ruszał w lot ku niebieskim sferom.

Przeczytana książka o pierwszych chrześcijanach i o Nero-nie — tym, który urządził z nich żywe pochodnie z rysunku w pokoju dziadka — przejęła go bardzo. Jej trzeba przypisać sen o czystości. Tomasz stał na arenie rzymskiego cyrku w grupie chrześcijan. Śpiewali pieśń i lży leciały mu po twarzy, ale lży rozkoszy, ponieważ był tak dobry godząc się dobrowolnie na męczeństwo, tak wewnątrz siebie wybielony, że cały zmieniał się w tę rzekę bez tam. Kiedyś dawno (raz tylko to się zdarzyło) z polecenia babki za jakieś większe wykroczenie dostał w skórę. Antonina go trzymała, a jeden z parobków bił różgą, na goło. Operacja, mimo ryków wtedy, została mu jak najlepsze wspomnienie. Lekkość w duszy, radość, zmazanie win i takie same lży szczęścia, pełni, jak w tym śnie o śmierci.

Lwy zbliżały się do nich. Zębate pyski tuż, tuż przed nim i kły zagłębiały się w jego ciało, wycieka z niego krew, ale w nim nic ze strachu tylko promiennosc i właśnie zjednoczenie z Dobrem na wieki.

To jednak we śnie. A na jawie zrobił w tym samym tygodniu straszną awanturę Helenie. Zginał mu tom w czarnej oprawie z którego pożółkłych kartek przepisywał łacińskie nazwy ptaków. Szukał wszędzie, nudził starszych czy go nie wzięli, ale nikt nic nie wiedział. Co się z nim stało? Odkrył go wreszcie przypadkiem, w pokoju gdzie wśród nasion rozspanych na płachtach i stosów wełny sypiała Helena. Ale gdzie odkrył? Jednego krążka toczzonej nogi u łóżka brakowało, na to miejsce wsunęła książkę. Krzycząc groził Helenie pięściami, a ona dziwiła się co na niego napadło i o co mu chodzi. Idiotka! Dla niej naturalnie czy to czy cegła nie miało znaczenia, żadne zwierzęta ni ptaki jej nie interesowały i nie odróżniała wróbla od trznadla. Puchaczem zajęła się, tak, bo wzięła za niego pieniądze. A jeżeli niby uważnie słuchała tego co opowiadał o polowaniu Romuald, to kłamała obrzydliwie, udawała tylko żeby romansować. Zimna pogarda — nie po chrześcijaństwu ją żywić. Ale Tomasz o to siebie nie pytał, pogarda dla Heleny nasuwała mu różne pomysły jak ją ukarać, nie tylko za to jedno przestępstwo, ale w ogóle, za to że głupia. Na przykład nabierać wilczych jagód i wsypać jej do zupy. Naokoło jednak śniegi, zima, nie ma skąd wziąć trucizn i napięcie nienawiści po paru dniach zelżało. A zresztą jeżeli jest jaka jest, ślepa na wszystko co powinno się kochać, to szkoda nawet fatygi żeby ją truć, nie warto się nią zajmować.

Na białym teraz gazonie przed domem turlał kulki ze śniegu aż obrastały owijając się w pas wyrwany przez siebie z puchu. Następnie ustawiał te walce jeden na drugim, w najmniejszy — głowę, wsadzał węgle oczu i fajkę z gałązki. Ale dłonie mu

marzły, a poza tym kiedy już stoi taka postać, nie wiadomo co z nią dalej robić. Rano pomagał Antoninie palić w piecach. W czysty domu, jakby włożonego w pudełko z watą, rzeźko rozlegały się stukania jej butów w sieni, wносиła na siebie chłód, i polana które wysypywała z hałasem na podłogę szklily się od lodu. Wtedy układał płatki brzozy kory na palenisku, nad nimi ustawiał namiocik ze szczepki które na to schły w szczelinie między piecem i ścianą. Płomyk lizał korę, zwiłala się w trąbki. Schwyci czy nie schwyci? Do pokoju babki Dilbinowej wkrazała z drzewem i Tomasz za nią, kiedy nic w nim jeszcze się nie rozróżniało, i szła zaraz otworzyć z zewnątrz okiennice, a wtedy mrugał porażony nagłym blaskiem i mrugała babka garbiąca się przed poduszką opartą prostopadle o wezgłowie. Na nocnym stoliku, obok grubego modlitewnika, stały butelki z lekarami i w pokoju unosiły się z nich mdlące zapachy. Nie przesiadywał tutaj tak jak w jesieni, używał pierwszej lepszej wymówki żeby uciekać, bo za dużo tych jęków. Na krześle koło łóżka kiwał się, wiedząc, że z obowiązku powinien tu zostać, ale nie mógł tak długo i wymykał się z poczuciem winy. To nie zwiększało się przez ucieczkę: ponieważ chora była płaczliwa, spadała pomiędzy rzeczy, które bada się obojętnie, a nawet z irytacją, i badając doznaje się satysfakcji a równocześnie wstydu.

Ważne wydarzenie: Tomasz dostał buty, dokładnie takie jakich pragnął. Uszyte przez szewca z Pogir, co prawda za duże (na wyrost), przecie wygodne. Miękką cholewa, jeżeli potrzeba, ściągała się rzemykiem w podbiciu, żeby stopa nie jeździła. Drugi rzemyk przewleczony przez uszka ściągał ją pod kolanem.

Czesław MIŁOSZ

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sprawy Krajowe

Polska krajem niedoboru ludnościowego

(ARTYKUŁ DYSKUSYJNY)

Z Polski nadchodzą sygnały, wskazujące na brak rąk do pracy: już nie tylko wykwalifikowanych, ale i niewykwalifikowanych: nie tylko w przemyśle ale i — w rolnictwie.

Kwestia rezerw ludzkich Polski to, rzecz jasna, w dużej mierze (choć nie jedynie, o czym się bardzo często zapomina) kwestia ich stanu w rolnictwie, naturalnym niejako ich rezerwuarze. Wiemy, że na Ziemiach Odzyskanych mieszka około 2.200.000 ludzi na wsi, nie wiemy dokładnie — ile z tego przywędrowało ze wsi Ziemi Dawnych, ile przyszło wskutek ewakuacji zza kordonu. Jeszcze mniej jasny jest obraz późniejszego procesu urbanizacji ludności kraju.

Świadom w pełni ułomności tej metody, sądzę, że najcelowiej może będzie przjąć w rozważaniach jako punkt wyjścia początek bieżącego dziesięciolecia (zarazem początek okresu wieloletniego planu rozbudowy), uwzględnić zaszle odtąd zmiany i starać się wyprowadzić wnioski — w jakim stopniu załoga wystarcza na potrzeby warsztatu rolnego.

Oficjalną tezę rządu warszawskiego było u progu tego okresu, iż jego reforma rolna oraz kierowane przezeń zaludnienie Ziemi Odzyskanych *śladziły* wielomilionowe bezrobocie wiejskie. Dopiero w rok-dwa później dość raptownie, a dla zrozumiałych celów propagandowych, przyjęto tezę o już dokonanej likwidacji przeludnienia wiejskiego, by następnie podjąć kam-

Pisząc artykuł niniejszy miałem możność wymiany poglądów z min. Poniatowski. Okazało się, że różnimy się istotnie w ocenie zagadnienia. Nie potrzebuję dodawać, że jednak sama wymiana zdań z autorytetem tej miary co Juliusz Poniatowski zwróciła uwagę moją na aspekty których inaczej być może nie doirzałbym. Pragnę Mu za to i za trud jaki zadał sobie w pisemnym formułowaniu swych poglądów w toku naszej dyskusji — najserdeczniej podziękować.

panię przeciwko opuszczaniu wsi przez młodzież chłopską i w roku 1954 pójść o krok dalej, organizując tzw. pionierską rekrutację młodzieży miejskiej do pracy w P.G.R.-ach.

W roku 1951 periodyk teoretyczny ministerstwa pracy i opieki społecznej ogłosił interesującą pracę T. Gołębiowskiego o wsi jako źródle sił roboczych. Autor dochodzi do wniosku, że istnieje nadwyżka ponad potrzeby w wysokości 2.225.175 osób, że wieś i rolnictwo nadal posiadają pewien odsetek ludności, którego w żaden sposób nie wykorzysta się należycie w gospodarstwie rolnym. (Nadwyżkę tę obliczono dla ludności chłopskiej w wieku od lat 15 do 60).

Jakim przemianom ulegała masa zatrudnionych poza rolnictwem w pierwszych dwóch trzecich obecnego okresu planowego — w latach 1950-1953? Wiemy, że w dwuleciu 1950-1951 poza rolnictwem zatrudnienie w Polsce rosło o bez mała pół miliona co roku: w roku 1952 wzrost spadł do niewiele ponad 300.000; w następnym opadł dalej — do około 200.000. Razem — tu możemy oprzeć się na sprawozdaniu Minca złożonym II zjazdowi PZPR — w owym czterolecu liczba robotników i pracowników umysłowych poza rolnictwem zwiększyła się z grubsza o półtora miliona osób, podczas gdy przyrost ludności roczników zdolnych do pracy w owych latach wyniósł 650.000 osób. Według oświadczeń urzędowych — od zeszłego roku poczynszy przyrost zatrudnienia poza rolnictwem kształtuje się tylko w granicach narybku roczników zdolnych do pracy.

Z informacji udzielonej przez Minca kongresowi partyjnemu wynika więc, iż we wstępnym okresie burzliwego uprzemysłowienia zatrudnienie poza rolnictwem wchłonęło jakieś 850.000 ponad przyrost roczników zdolnych do pracy (1.5 minus 0.65 mil.). W tej cyfrze mieści się jawnie także znaczna, niestety statystycznie nie ujawniona, cyfra „zdeklasowanych”, dawniej samodzielnie pracujących drobnych rzemieślników, kupców itd., którzy po roku 1949 zostali wchłonięci przez uspołecznione warsztaty pracy. Cyfra ta mieści oczywiście w sobie wzrost zatrudnienia kobiet w fabrykach i w ogóle pracy miejskiej, przede wszystkim kobiet miejskich. Ogółem (łącznie z „bieżącym” narybkiem) zatrudnienie kobiet wzrosło o jakieś 700-800 tysięcy. Wątpliwe jest przeto, by od roku 1950 ściągnięto dużo więcej niż jakieś 300.000 chłopów do pracy poza-rolnej (poza narybkiem).

Wracając teraz do szacowań Gołębiowskiego, trzeba by przyjąć, że ciągle jeszcze na wsi są jakieś dwa miliony dojrzałych do pracy, którzy bez uszczerbku dla rolnictwa mogliby z niego być przeniesieni do innych zawodów — mimo że, wedle oficjalnie uznanej teraz tezy, tragiczne zagadnienie ludzi zbędnych zostało raz na zawsze w Polsce powojennej rozwiązane. Dwa miliony zdolnych do pracy odpowiada szacunkowo jakimś trzem milionom chłopstwa. Jest to oczywiście rezerwa ogromna w kraju, którego przemysł zatrudnia niespełna tyleż, bo jakieś 2 i 3/4 mil. Warto dodać, że Europejska Komisja Gospodarcza ONZ

doszła do wniosku, iż w roku 1950 w Polsce nadwyżka wiejskiej siły roboczej, i to licząc samych tylko mężczyzn, odpowiadała od 40-75 % załogi przemysłu (jak sądzi, zależnie od kryteriów zastosowanych).

Kiedyśmy doszli prowizorycznie do tej ogromnej cyfry przebudowania wiejskiego, muszę opatrzyć ją szeregiem zastrzeżeń i postawić nad nią szereg znaków zapytania.

Zacznę od przyjętej przez Gołębiowskiego cyfry pożądaných 30 osób zdolnych do pracy, jako załogi na 100 hektarów użytków rolnych.

Odpowiedź na pytanie — ile „należałoby” osób zatrudnić w rolnictwie zależy od szeregu, po części warunkujących się wzajemem, założeń. Formułując te założenia trzeba sobie najpierw powiedzieć: czego się od krajowego rolnictwa oczekuje, a więc np. czy chce się pogodzić z takim stanem rzeczy, jaki istnieje od szeregu lat w Polsce, iż importuje się co roku 1 milion ton ziarna. Można sobie powiedzieć, że opłaca się upośledzać w przydziale zasobów wytwórczych rolnictwo a natomiast kupować żywność zagranicą, bo praca umysłów i rąk ludzkich w przemyśle jest owocniejsza aniżeli w rolnictwie gdy porównać sumę wytworzonych wartości. W grę wchodzi reszta tylko częściowo względy gospodarcze: można np. rozumować, że potrzeby obronności kraju wymagają silnego przemysłu chociażby z uszczerbkiem dla rolnictwa: albo odwrotnie, że np. względ na stabilizację socjalną przemawia za utrzymaniem silniejszej warstwy rolniczej itd., itd.

Tylko wypadkowa tych wszystkich względów gospodarczych, wojskowych, socjalnych itd. może decydować o kierunku świadomej polityki w „ustawianiu”, jak to się teraz modnie określa, zasobów wytwórczych narodu zarówno materialnych jak i ludzkich.

A do tego trudno upierać się przy jakichś z góry ustalonych proporcjach między kapitałem i pracą zaangażowanymi w rolnictwie. Doświadczenie uczy, że pragnąc osiągnąć najlepsze wyniki w warsztacie rolnym trzeba wypośrodkować jakieś, odpowiadające warunkom danej gospodarki, optimum proporcji

Normie 30 osób dojrzałych na 100 ha można zarzucić dowolność. Jest ona w każdym razie „teoretyczna” o tyle, iż także w dzisiejszej Polsce rzeczywiste zaludnienie powierzchni rolniczej jest nad wyraz zróżniczkowane. Na 100 ha gruntów chłopskich Ziemi Dawnych przypadają w roku 1951 — w rejonie środkowo-zachodnim — 54 osoby, w południowo-wschodnim — 87, a już 181 w śląsko-krakowskim. W spółdzielniach produkcyjnych, w których — jak wiemy — powierzchnia przeciętna liczbowa na gospodarstwo włączone jest znacznie wyższa niż w gospodarstwach indywidualnych, wypada w całej Polsce 29 zdolnych do pracy na 100 hektarów użytków; i znów rozpiętości są ogromne, bo mieszczą się w granicach od 25 dla poznańskiego do 82 — dla krakowskiego. Zaludnienie rolnicze

Ziem Odzyskanych na pewno jest niskie, niższe od przedwojennego i niższe chyba od pożądanego, to jest uwzględniającego „usprzętowanie”, stan techniki rolniczej itd. Notabene w PGR-ach stopa zatrudnienia wynosi średnio około 9 na 100 ha, opadając w niektórych nawet do około 1-2 na 100 ha — stan rzeczy, który właśnie przede wszystkim zaalarmował administrację skłaniając ją do rzucenia hasła powrotu na wieś!

Jasne jest, że pociągnięciem pióra nie podobna przeprowadzić zrównania poziomów.

Nawet rząd dyktatury komunistycznej nie mógłby zdobyć się na forsowne „rozsadzenie” chłopstwa wedle pewnej formułki przeciętnej. Proces musi być z natury rzeczy powolny: na jego bieg wpływa organizacja własnościowa rolnictwa, wyposażenie w inwentarz, siła przyciągająca pracy miejskiej (ta zależy znowu po części od poziomu zarobków realnych robotnika fabrycznego, a także od odczuwanej przyjemności życia miejskiego). Norma zatrudnienia 30 osób na 100 ha ma wartość jedynie orientacyjną, ale każda cyfra będzie miała wartość nie lepszą. Z tymi wszystkimi, tak licznymi zastrzeżeniami, można — jak mniemam — przyjąć ją jako prowizoryczną i orientacyjną. Jest ona zaś na pewno bardzo hojna jeżeli do zagadnienia potencjału ludnościowego Polski podejść dynamicznie, a chcę z całym naciskiem podkreślić, iż takie jedynie podejście jest usprawiedliwione, o czym niestety często się zapomina.

Przy podejściu dynamicznym — nie tylko do kwestii zatrudnienia w gospodarstwie rolnym, ale w gospodarstwie narodowym w ogóle — nie podobna zapoznawać istotnych momentów, z których tylko o kilku wspomnę. Przy postępującym uprzemysłowieniu Polski formy organizacyjne warsztatu rolnego będą się chyba rozwijały w sposób, zmierzający do wyzwolenia sił ludzkich, zwłaszcza z obecnych gospodarstw karłowatych i małorolnych, a stanowią one ciągle jeszcze przecież około 1/3 gospodarki chłopskiej. Rolnictwo polskie jest daleko w tyle za postępowymi rolnictwami świata w wyposażeniu kapitałowym — w kapitał stały i obrotowy. Dość wspomnieć, że w Polsce wypada na z górą 70 mężczyzn zatrudnionych w rolnictwie jeden tylko traktor, w W. Brytanii — jeden traktor na trzech, we Francji na 20, w Niemczech wschodnich — 24, w Czechosłowacji — 33 mężczyzn. A do tego niemal całość trakcji mechanicznej — zarówno dla uprawy jak i transportu — skoncentrowana jest w Polsce na ledwie jednej piątej części, to jest na uspołecznionej części rolnictwa. Odrywając się od rozumowania „statycznego”, trzeba przyjąć, iż Polska zbliży się relacją siły mechanicznej do ludzkiej — do krajów bardziej zaawansowanych, co oczywiście wyzwoli ręce ludzkie z rolnictwa. Nie chcę bynajmniej prorokować, że rząd komunistyczny zechce albo i może zdobyć się na radykalną zmianę strategii, o ile chodzi o podział zasobów wytwórczych i większe uwzględnienie w nim rolnictwa. Przeciwnie, mam co do tego poważne wątpliwości mimo hasła „nowego kursu”: ale

to nie jest przecież istotne przy dynamicznej ocenie polskiego potencjału siły roboczej.

Chłonność przemysłu polskiego na siłę roboczą jest stosunkowo ograniczona wskutek przyjętego w Polsce typu uprzemysłowienia. Wiadomo że ciężkie przemysły, na które kładzie się akcent, chłoną stosunkowo mniej rąk ludzkich, a zaś więcej kapitału aniżeli zaniedbywane lekkie.

Przemysł polski posiada zresztą, tak jak i rolnictwo, wielkie rezerwy w postaci niskiej wydajności pracy. Była ona i przed wojną na ogół w Polsce względnie niska, niższa niż na Zachodzie (ostatecznie i tu chodzi tylko o pewne wielkości względne). Od czasu wojny rozpiętość powiększyła się. Na Zachodzie wydajność, wzrosła. Trudno mi tu wchodzić w szczegóły i podawać wyniki nader złożonych szacowań, które doprowadziły mnie do wniosku, iż robotnik polski nie tylko nie jest obecnie o jakieś 60 procent wydajniejszy niż był przed wojną, jak twierdzą oficjalne statystyki, ale przeciwnie: jest chyba o kilkanaście procent mniej wydajny (1). Nie ulega wątpliwości, że podnoszenie się stopnia mechanizacji i poziomu technologii oraz poprawa organizacji pracy — wyzwoli ręce także i w przemyśle.

Wreszcie nie wolno zapominać, że już we wczesnych latach 60-tych tego stulecia zjawia się na rynku pracy w Polsce powojennej wielkie roczniki. Co prawda od roku 1951 współczynnik rodności w Polsce z lekka opada, ale przy obecnej stopie przyrostu naturalnego — czterokrotnie wyższej od brytyjskiej i niemieckiej a trzykrotnie od francuskiej — rynek ten może w Polsce liczyć na wielki narybek młodzieży w najbliższych dziesięcioleciach.

Mam wrażenie, że w sumie wszystko to razem każe myśleć o Polsce jako o kraju raczej pokątnego nadmiaru niż niedoboru ludzkiego.

Alfred ZAUBERMAN

(1) Przed wojną ważnym wyjątkiem — dzięki pomyślnym warunkom geologicznym — był górnik polski, który stał na czele europejskiej tablicy wydajności. Dzisiaj i on znalazł się poniżej górnika brytyjskiego, niemieckiego i innych. Dobywa około 1.200 kg. na zmianę wobec z górą 1.700 kg. przed wojną.

Archiwum polityczne

Czy „Wielki Brat” zastąpi Clausewitza

Autor trzy-tomowego studium pt. „Vom Kriege” (O wojnie) — Generał Karl von Clausewitz — sam nigdy nie był ani wodzem naczelnym, ani szefem sztabu generalnego, ani nie wygrał żadnej kampanii. Mimo to, od niego datuje się nowoczesna filozofia wojny a jego studia wywarły większy wpływ na europejską myśl strategiczną niż genialne improwizacje Napoleona.

Teoria Clausewitza sprowadza się do prostego stwierdzenia, że wojna jest instrumentem polityki i niczym więcej. Wojny nie można wygrać bez dobrej polityki zagranicznej, nawet wówczas gdy się dysponuje przewagą materialową.

Najmniej pojętymi uczniami Clausewitza okazali się własni rodacy. Niemcy przegrali dwie wojny światowe bo ich armie — częstokroć świetne — nie były instrumentem mądrej polityki zagranicznej. Za lotnictwem i bronią pancerną Trzeciej Rzeszy nie krył się żaden polityczny plan tylko emocjonalne, szaleńcze majaczenia Hitlera.

W 125 lat od śmierci Clausewitza jego doktryna stała się (dla wielu) anachronizmem. Bomba wodorowa w opinii licznych strategów i rzeczoznawców tak radykalnie zmieniła zasięg i charakter wojny, że dziś nie można uważać jej za instrument polityki.

Doskonałą ilustracją ewolucji poglądów w tym kierunku było nadane przez BBC przemówienie Bertranda Russella, który zaprezentował słuchaczom serię wypowiedzi najbardziej miarodajnych osobistości na temat bomby wodorowej. Najbardziej charakterystyczna była opinia marszałka brytyjskiego lotnictwa Sir Philip Jouberta. Jego wypowiedzi można by zamknąć epokę Clausewitza: „Z pojawieniem się bomby wodorowej rasa ludzka doszła do punktu w którym porzucić musi wojnę jako instrument polityki, lub stanąć oko w oko z możliwością całkowitej zagłady”.

Wojna jest najstarszą instytucją ludzkości. Jest starsza od wszystkich znanych nam cywilizacji. Obalenie tego archaicznego obrzędu rasy ludzkiej byłoby epokowym krokiem naprzód, którego wymiar można by jedynie przyrównać do narodzin wielkich religii. Ale zlikwidowanie wojen wymaga całkowitej przebudowy tradycyjnego systemu politycznego, który od tysięcy opiera się o suwerenne państwa wiodące z sobą wojny w odstępach 20 czy 30 lat. Tak jest od Babilonu i Sumerii po Poczdam i Jaltę.

Ci, którzy jak Russell chcieliby wojnę przedwcześnie wyznaczyć z programu ludzkości nie interesują się praktyczną polityką a fascynują ich tylko momenty moralne. W rzeczywistości jednak wszelki postęp a więc i postęp moralny można realizować jedynie na drodze czynu zbiorowego to jest polityki. Pytanie brzmi: czy w ogóle będziemy mogli uprawiać jakąkolwiek politykę jeżeli wszyscy staniemy się „conscientious objectors” w stosunku do bomby wodorowej?

Jeżeli istotnie Karl von Clausewitz padł ofiarą bomby wodorowej to w moim przekonaniu jego następcą może być albo rząd światowy, albo orwellowski „Wielki Brat”.

Są pewne proste fakty, które publicyści dbający o dochody i popularność tają i przemilczają, ponieważ cena za optymizm jest wysoka i z każdym rokiem będzie wyższa. Gdy przywódca republikański, senator William Knowland, wygłosił swe znane przemówienie o terrorze atomowym — publicyści amerykańscy z Walterem Lippmannem na czele oskarżyli go o histerię. W następnej mi prasie amerykańskiej znalazłem tylko jedną obiektywną ocenę jego przemówienia, która wyszła spod pióra braci Alsop. Stwierdzili oni, że choć wszyscy bezlitośnie skrytykowali Knowlanda nikt nie odpowiedział na postawione przez niego pytania.

Nie potrzeba być zawodowym psychologiem by zdawać sobie sprawę z faktu, że nie można bezkarnie żyć w strachu, na który nie ma środka ani odpowiedzi. Przeciętny obywatel Stanów Zjednoczonych zdaje sobie sprawę, że tak w Sowietach jak i w Ameryce rośnie z każdym kwartałem zapas bomb atomowych i wodorowych. Każdy rok przynosi nowy, bardziej doskonały typ samolotów i pocisków kierowanych, a praca w laboratoriach atomowych prowadzona jest gorączkowo 24 godzin na dobę.

Nie ma ucieczki przed logicznym łańcuchem konsekwencji wpływających z faktów dokonanych. Koegzystencja bez rzetelnej międzynarodowej kontroli atomowej prowadzić musi nieuchronnie do podziału świata na dwie obłożone twierdze, do stanu wyjątkowego w permanencji, do zduszenia wolności demokratycznych, do rozrostu kontr-wywiadów, tajnych policji i cenzur wszelkiego typu i autoramentu. Jeżeli na tym globie mają obok siebie istnieć dwa super-państwa, które każdej chwili mogą się nawzajem zniszczyć — to mogą istnieć tylko za cenę całkowitego upodobnienia.

Dziś Sowiety nie dysponują jeszcze potencjałem atomowo-

lotniczym takiego kalibru by pierwsze uderzenie zapewniło im 60 % zwycięstwa. Ale jeżeli mamy przed sobą 10 czy 15 lat koegzystencji bez rzeczywistej, międzynarodowej kontroli atomowej — Rosja w spokoju i bezpieczeństwie wypracuje potrzebny jej potencjał atomowy.

Należy pamiętać o tym, że wyścig atomowy posiada pewną górną granicę. Jeżeli potencjał atomowo-lotniczy (bomby plus samoloty plus pociski kierowane), wystarczający by agresorowi zapewnić 60 % zwycięstwa przy pierwszym uderzeniu, określmy cyfrą N — to będzie bez znaczenia jeżeli Stany Zjednoczone dysponować będą potencjałem N plus 1.000 a Rosja potencjałem N plus 250. W takiej sytuacji w razie agresji przewaga Ameryki nie doszłaby do głosu — bo potencjał sowiecki, choć słabszy, będzie jednak wystarczający by sparaliżować ewentualny odwet.

Apokalipsa atomowa nie jest dziś jeszcze w pełni realna, bo Rosja nie osiągnęła potencjału N i Stany Zjednoczone na 10 nowych bomb wodorowych sowieckich mogą wyprodukować 100 własnych bomb. Owa dysproporcja na korzyść Ameryki w jeszcze większej mierze dotyczy lotnictwa. Ale taki stan rzeczy nie będzie trwał długo. Z chwilą gdy Rosja osiągnie potencjał N — nie będzie na to żadnej odpowiedzi. Tysiąc nowych bomb czy tysiąc nowych samolotów nie zwiększy wówczas potencjalnie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Czy można żyć w poczuciu stałego, śmiertelnego zagrożenia? Można — ale nie w normalnym demokratycznym państwie.

Politycy, strategowie, filozofowie — którzy pospiesznie grzebią doktrynę Clausewitza — w większości wypadków są ludźmi, którzy dojrżeli w blaskach dziewiętnastowiecznej wiary w postęp. Bertrand Russell sądzi, że jeżeli unikniemy wojny atomowej czeka nas świetlana przyszłość — zdrowie, zamożność i długowieczność dla wszystkich. Lippmann zapewnia, że atomowy „stalemate” stwarza dla wolnego świata znakomitą koniunkturę pod warunkiem, że wytrzymamy na drodze koegzystencji. Panowie ci nie wyjawiają jednak przesłanek na których opierają swój optymizm.

Polityka koegzystencji w jej militarnym znaczeniu opiera się na rozumowaniu, że przewaga potencjału atomowo-lotniczego Zachodu spełniać będzie dwie funkcje. Po pierwsze będzie odstraszać Sowiety, a po drugie — gdyby pomimo owego odstraszania Rosja zaatakowała — przewaga Ameryki pozwoli na podjęcie natychmiastowej akcji odwetowej i przywołanie Sowietów do porządku. Ponieważ Politbiuro nie jest klubem samobójców — należy sądzić, że w tych warunkach Sowiety zrezygnują z wojny. A ponieważ Zachód nie podejmie w żadnym wypadku wojny prewencyjnej — wieczystemu pokojowi de facto znikąd nie zagraża niebezpieczeństwo.

Gdyby pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Rosją istniała umowa (odpowiednio zabezpieczona) na mocy której Sowiety zobowiązałyby się do końca świata nie przekraczać parytetu zbrojeniowego 1:3 — na korzyść Ameryki — doktryna koeg-

zystencji, koncepcja polityki odwetu i związane z tym nadzieje byłyby w pełni usprawiedliwione i uzasadnione.

Niestety takiej umowy nie ma i nigdy nie będzie. Najsłabszym punktem teorii koegzystencji jest fakt (który się uporczywie przemilcza), że owe możliwości odwetowe stale maleją. Za 10 lat Sowiety mogą dysponować takim potencjałem atomowo-lotniczym, że choć może nie będą w stanie złamać potęgi amerykańskiej pierwszym uderzeniem — to jednak siła tego uderzenia będzie tak straszliwa, że ewentualny odwet amerykański nie stanowiłby już śmiertelnego zagrożenia dla Rosji.

Bomba wodorowa posiada aspekt moralny ale tylko po tej stronie „żelaznej kurtyny”. W Sowietach broń atomowa i całość zagadnień z nią związanych podlegają oficjalnej wykładni podobnie jak biologia, filozofia czy teoria krytyki literackiej.

Jeszcze rok temu pogląd rządu sowieckiego na tę sprawę pokrywał się w pewnym stopniu z opiniami Bertranda Russella. 12 marca ubiegłego roku Malenkov powiedział co następuje:

„Rząd Z.S.R.R. jest przeciwnikiem „zimnej wojny” ponieważ jest to polityka zmierzająca do nowej wojny światowej. Przy obecnym rozwoju środków niszczycielskich nowa wojna oznaczałaby zagładę cywilizacji światowej”.

W dniu 11 stycznia br. ukazał się w „Prawdzie” artykuł wstępny, w którym nadano specjalny wydźwięk słowom Mołotowa wypowiedzianym w tym samym dniu i na tym samym posiedzeniu na którym odczytano rezygnacyjny list Malenkowa. Mołotow wówczas powiedział między innymi:

„Jeżeli podżegacze wojenni odważą się wprowadzić w czyn swoje zbrodnicze plany, wówczas upadnie nie cywilizacja świata lecz system kapitalistyczny, który przeżył swą epokę”.

Oto są dwie zupełnie różne interpretacje „zagłady wodorowej”. Według obecnie obowiązującej wykładni — w razie wybuchu wojny — bomby które spadną na Westminster czy Katedrę Św. Pawła nie będą równały z ziemią cywilizacji a jedynie pomniki przeżytego systemu kapitalistycznego.

Z punktu widzenia dialektyki wykładni Mołotowa (a nie Malenkowa) jest poprawna. Dla komunisty istnieje bowiem tylko jedna cywilizacja to jest komunistyczna. Wszystko inne to są formacje systemu kapitalistycznego oczekujące na przemian w atomowych młynach Historii.

Osobiście nie jestem pewien czy 1.000 bomb wodorowych zrzuconych w różnych punktach globu położyłoby kres istnieniu cywilizacji — jestem natomiast niemal pewien, że cywilizacja za-

chodnia, jak ją pojmujemy w drugiej połowie XX wieku — nie może istnieć *obok* magazynów bomb wodorowych.

Istotą cywilizacji zachodniej jest demokracja. Wolność słowa, religii, badań naukowych, jawność wymiaru sprawiedliwości, tolerancja, poszanowanie praw mniejszości — to są fundamenty cywilizacyjnej struktury Zachodu.

Jestem przekonany, że stała groźba kataklizmu wodorowego w konsekwencji doprowadzi system demokratyczny do ruiny. Klimat stałego zagrożenia jest wylęgarnią dwóch orientacji politycznych: kapitulantów i reakcjonistów typu totalitarnego. Do pogrzebania demokracji zmierzają zarówno neutraliści, kapitulanci i semi-kapitulanci jak i politycy typu McCarthy'ego. Pierwsi w swej ugodowości w stosunku do Rosji kroczą po linii, która prowadzi nieuchronnie do rządów „friendly to the Soviet Union” — drudzy, z antykomunizmu pragną uczynić doktrynę totalitarną. I w tym sensie między lewym skrzydłem Labour Party a Komitetem „Ten Million Americans Mobilizing for Justice”, który uważa McCarthy'ego za swego Führera — jest znacznie mniejsza różnica niżby na pozór można sądzić. Tak bowiem skrajna lewica jak i skrajna prawica w obliczu zagrożenia komunistyczno-wodorowego dążą — choć równymi drogami i metodami — do pogrzebania demokracji.

Rozwój techniczny zbliża nas z każdym dniem do epoki, którą były przewodniczący senackiego Komitetu Energii Atomowej — Sterling Cole nazwał epoką „broni absolutnej”. Jego zdaniem w najbliższych 10-ciu latach Rosja i Stany Zjednoczone posiadać będą trans-kontynentalne pociski kierowane o zasięgu światowym. Pociski tego typu poruszające się w stratosferze z szybkością wielokrotnie większą niż głos — zaopatrzone w głowicę atomową — stanowią będą „bronią absolutną” na którą nie ma odpowiedzi.

Bez względu na to czy... optymizm senatora Cole jest naukowo usprawiedliwiony — nie ulega wątpliwości, że zbliżamy się do chwili kiedy obie strony posiadać będą techniczne możliwości zlikwidowania się nawzajem. Im bliżsi będziemy epoki „broni absolutnych” tym większe będzie napięcie międzynarodowe, tym liczniejsi będą zwolennicy obu skrajnych orientacji politycznych, tym bardziej bezradni będą umiarkowani.

Jeżeli politycy umiarkowani w najbliższych latach nie wypracują konkretnej odpowiedzi na zagrożenie wodorowe — w większości państw Zachodu, a więc na kontynencie i w Anglii — do steru dojdą lewo-skrzydłowi neutraliści i ugodowcy. Problem zagrożenia świata nie należy do zmartwień, które czas ulechy. Na to zagadnienie musi być znaleziona odpowiedź. Lewo-skrzydłowo-neutralistyczne rozwiązanie jest błędne, lecz by je zwalczyć trzeba tym koncepcjom przeciwstawić konkretny program. Jeżeli innego rozwiązania nie będzie — społeczeństwa zachodnie w koncepcjach neutralistyczno-ugodowych dojrzą jedyną deskę ocalenia i jedyne wyjście z absurdu sytuacji.

Demokracja może istnieć i przetrwać tylko w pewnych okre-

ślonych warunkach. Kardynalnym warunkiem jej istnienia jest bezpieczeństwo. Choć o demokracji w nowoczesnym tego słowa znaczeniu można mówić od 60 czy 70 lat — niemniej jest ona wynikiem rozwoju, który obejmuje stulecia europejskiej historii. I dlatego sądzę, że upadek demokracji przyniosłby w konsekwencji upadek cywilizacji zachodniej w jej obecnej formie i treści.

Może nie być ani bomb ani nalotów — może jednej cegiełki nie braknąć w katedrze Notre Dame i pomnik Nelsona może nadal królować na Trafalgar Square a mimo to Paryż może przestać być Paryżem, Londyn — Londynem, Bruksela — Brukselą.

Ci, którzy sądzą, że by uratować cywilizację wystarczy nie dopuścić do wojny atomowej — są w błędzie. Jeżeli Sowietom powiedzie się opanować świat bez wojny — cywilizacja upadnie bez atomowej apokalipsy. Jeżeli narody zachodnie na przestrzeni kilku czy kilkunastu lat, które dzielą nas od epoki „broni absolutnych” — nie zdołają zorganizować systemu międzynarodowego bezpieczeństwa świat rozpadnie się na dwa obozy, w których demokracja wygaśnie nawet wówczas jeżeli do wojny nie dojdzie. W Europie dojdą do głosu ugodowcy neutraliści, których ideałem będzie super-Vichy — w Stanach Zjednoczonych, odciętych od reszty świata, rząd dusz obejmą skrajni prawicowcy.

Czytelnik może zauważyć, że perspektywy nakreślone powyżej są w większym stopniu próbą prorokowania niż logicznym wnioskowaniem politycznym. W tym obrazie nie chodzi o szczegóły. Jestem przekonany, że bez względu na to, czy w Europie dojdą do steru neutraliści i ugodowcy czy nie — bez względu na to czy w Ameryce rząd dusz znajdzie się w rękach radykalnej prawicy czy nie — w chwili wyrównania się potencjałów „broni absolutnych” obu obozów demokracja wygaśnie.

Jeżeli ktoś ma na ten temat wątpliwości doradzam lekturę książki Jamesa Burnhama o infiltracji komunistycznej w Stanach Zjednoczonych. Książka ta odsłania z przerażającym patetyzmem całkowitą bezradność systemu demokratycznego w walce z totalistycznym wrogiem.

Zwiększyć obronność oznacza przede wszystkim zwiększyć kontrolę. Każde zwiększenie kontroli odbywa się kosztem wolności i swobód demokratycznych. Można przyjąć za pewnik, że pełnia swobód demokratycznych możliwa jest tylko przy pełni bezpieczeństwa. Jeżeli rośnie zagrożenie — wzmożenie bezpieczeństwa wymaga wzmożenia kontroli. Maksymalne zagrożenie wymaga maksymalnej kontroli. Jeżeli stan maksymalnego zagrożenia i maksymalnej kontroli trwać będzie latami — demokracja przejdzie do historii.

Jeżeli w okresie kiedy Sowiety dysponować będą bronią absolutną Stany Zjednoczone zachowałyby ustrój demokratyczny z epoki Jalt i Algier Hissa — przypłaciłyby to swym istnieniem.

Wolności, którymi dziś jeszcze cieszą się obywatele amerykańscy są możliwe do utrzymania dopóki Stany Zjednoczone

górują potencjałem lotniczo-atomowym dzięki czemu polityka odwetu wydaje się dostateczną asekuracją. Ale ponieważ zagrożenie stale rośnie — proporcjonalnie z każdym rokiem przybywa w Ameryce nie wolności lecz kontroli. Z chwilą gdy Sowiety będą posiadały dostateczną ilość bombowców o dalekim zasięgu i kierowanych pocisków między-kontynentalnych, jednym słowem, gdy oba obozy wyrównają swoje możliwości a polityka odwetu straci wszelki sens — ustroj demokratyczny będzie nie do utrzymania. Wówczas całość strategicznych możliwości zwęzi się do pewnika, że zwycięży ten, kto pierwszy uderzy. W takiej sytuacji stan wyjątkowy staje się zjawiskiem normalnym. W obliczu zagrożenia tych wymiarów podtrzymywanie form ustroju demokratycznego równałoby się otwarciu na oścież drzwi piątym kolumnom, dywersantom, szpiegom i sabotażystom.

Albo my narzucimy statut bombie wodorowej albo bomba wodorowa narzuci „statut” nam. Demokracja nie może koegzystować z potencjalną zagładą, nie może rozwijać się w poczekalni końca świata. Jeżeli demokracje nie zdołają rozwiązać tego zagadnienia — upadną. Wszystkie uprzednie cywilizacje znane nam z historii upadały ponieważ nie umiały rozwiązać centralnego problemu. Pojawiały się nowe ustroje, które podejmowały wyzwanie.

Russell i jego zwolennicy mają rację twierdząc, że warunkiem przetrwania jest zachowanie pokoju. Jednak w mojej opinii jest rzeczą konieczną poddać rewizji słowo „pokój”.

W epoce bomby wodorowej i w przede dniu pojawienia się broni absolutnych przez pokój i bezpieczeństwo należy rozumieć poddanie energii atomowej rzeczywistej międzynarodowej kontroli. Wszystko inne nie jest ani pokojem ani bezpieczeństwem.

Sowieccy politycy zdają sobie w pełni sprawę z tych zagadnień. Fundamentem polityki pokojowej Kremla jest również problem kontroli energii atomowej w skali światowej. Z chwilą gdy hegemonia bloku komunistycznego zostanie zrealizowana — energia atomowa znajdzie się pod jednolitą kontrolą i wówczas pokój utrwalony będzie na stulecia. Któż bowiem obali dyktaturę komunistów, którzy będą jedynymi na świecie dysponentami broni atomowej. Logika tej koncepcji jest nieodparta i przeciwstawić jej można jedynie równie logiczną i realistyczną politykę pokojową Zachodu.

Krokiem wstępnym na tej drodze winna być akcja zmierzająca do uświadomienia społeczeństwom zachodnim, że międzynarodowa kontrola atomowa nie jest jednym z wielu możliwych rozwiązań lecz jest jedynym rozwiązaniem. Nie ma przed nami innego rozwiązania jeżeli chcemy uratować nie tylko dachy Paryża, Nowego Jorku i Londynu lecz również demokrację i cywilizowaną mądrość życia.

Tak pojętą politykę pokojową Stany Zjednoczone winny podjąć w własnym imieniu. Zapleczem tej polityki powinna być koalicja wolnych narodów organizowana z wyraźnie określonym celem budowy pokoju i bezpieczeństwa poprzez ustanowienie mię-

dzynarodowego systemu kontroli atomowej. Ameryka dysponuje tak potężnymi środkami militarnymi, gospodarczymi i finansowymi, że jej dyplomacji nie brakłoby argumentów o wielkiej sile przekonywującej. Państwa poza ramami koalicji winny być pozabawione wszelkich korzyści, które byłyby przywilejem państw sprzymierzonych. W okresie kiedy przewaga Stanów Zjednoczonych w potencjale atomowo-lotniczym jest jeszcze wyraźna — Waszyngton powinien podjąć rozmowy z Moskwą stawiając sprawę jasno, że celem negocjacji jest zorganizowanie międzynarodowej kontroli atomowej i że cel ten musi być zrealizowany. Zależać będzie od Moskwy czy cel ten zrealizowany zostanie w drodze układów czy na drodze siły.

Byłoby nonsensem dyskutować czy Rosja w takiej sytuacji podjęłaby rozmowy czy ...wojnę. Dziś nikt tego nie wie ani w Moskwie, ani w Waszyngtonie. Jeżeli swą polityką na przestrzeni najbliższych lat 5 czy 10 Stany Zjednoczone zdołałyby przekonać Rosję, że zdecydowane są bez względu na trudności i opór zorganizować międzynarodową kontrolę atomową — skłonny jestem przypuszczać, że Moskwa nie podjęłaby wojny.

Jest oczywiste, że autentyczna międzynarodowa instytucja kontrolująca energię atomową byłaby w praktyce rządem światowym choć mogłaby nigdy nie przyjąć tej nazwy. Jest również oczywiste, że rewolucyjne i przełomowe konsekwencje powołania takiej instytucji objęłyby m. in. kapitulację imperialistycznego komunizmu.

Plan jest gigantyczny. Ale plan „jednego świata” i wieczystego pokoju w wydaniu sowieckim nie jest nic mniej gigantyczny! Różnica pomiędzy obu planami jest raczej prosta choć dość istotna. Plan sowiecki jest konsekwentnie realizowany — plan zachodni jest na papierze.

Zacząłem powyższe rozważania od Clausewitza. W moim przekonaniu Karl von Clausewitz może mieć tylko albo pogrzeb światowy albo żaden. To znaczy, że skreślić wojnę ze spisu instrumentów polityki może tylko instytucja o charakterze rządu światowego. Dopóki takiej instytucji nie ma, odwrót od doktryny Clausewicza byłby równoznaczny z kapitulacją. Bez Clausewitza nie pogrzebiemy jego doktryny — bez zagrożenia wojną nie zdołamy wojny wymazać z dziejów ludzkiej ras.

Ani przed Ameryką ani przed Rosją nie ma łatwych rozwiązań. Ktoś musi zwyciężyć — ktoś musi upaść. Koegzystencja jest naiwną filozofią tych, którzy się łudzą, że mecz zostanie uznany za nierozegrany bez walki.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

ŚWIATŁO

Rozrzucenie w Polsce przy pomocy balonów broszury Józefa Światły spowodowało falę protestów. To wieczne protestowanie jest bronią bardzo obosieczną. Jeżeli kiedyś zajdzie istotna potrzeba założenia protestu — Amerykanie wzruszą ramionami i powiedzą sobie: nie ma się co przejmować, bo przecież Polacy zawsze protestują.

Nie było żadnych obiektywnych powodów do protestowania z powodu akcji związanej z rewelacjami Światły. Ci co protestowali (z p. St. Mackiewiczem włącznie) traktowali całą sprawę wyłącznie z punktu widzenia prestiżu. Amerykanie podjęli pewną inicjatywę nie zasięgnąwszy opinii ani rządu, ani egzekutywy, ani innych czynników działających z „mandatu Kraju”.

Jak długo mamy wszędzie same rozłamy i kryzysy — trudno wymagać od Amerykanów by szukali u nas rady i opinii. Dla jednej grupy emigracyjnej p. Zaleski jest prezydentem — dla innej nie, dla jednych p. St. Mikolajczyk jest prezesem PSL — dla innych nie. W jednym pocziwym Londynie mamy premiera, prezydenta, rząd, Radę Rzeczypospolitej, Tymczasową Radę Jedności Narodowej, Radę Trzech, Egzekutywę, dwóch generalnych inspektorów Sił Zbrojnych itd. Jest niewiele Polaków, którzy się w tym wszystkim wyznają a coś dopiero mówić o Amerykanach. Gdyby istniało nie dziesięć, lecz jedno, na demokratycznych zasadach oparte przedstawicielstwo polityczne emigracji — zarzut pod adresem władz amerykańskich, że mówią do Kraju ponad naszymi głowami miałby zupełnie inny ciężar.

Sprawa Światły ma jeszcze aspekt specjalny, osobisty. Jak wiadomo był on wyższym oficerem Bezpieki i komunistą od dwudziestu lat. Jednak, w odróżnieniu od innych, Światło nie podał do wiadomości publicznej motywów swojej ucieczki. Nie pokajał się, nie ogłosił rachunku sumienia w rodzaju „I believed” czy „The God that failed”. Nikomu się nie zameldował nie zgłosił akcesu, nie przystał do emigracji. Nie wiemy czy się „nawrócił”, czy się załamał, czy kierowało nim uczucie zemsty, czy strach. Jego akt oskarżenia reżymu, a w szczególności władz bezpieczeństwa jest pozbawiony wszelkiej frazeologii i ideologicznego rozdzierania szat. Jest fachową robotą inteligentnego i doświadczanego agenta Bezpieki. Światło nigdzie nie atakuje ideologii. Przedmiotem aktu oskarżenia są wyłącznie ludzie.

Z punktu widzenia politycznego, osobisty dramat Światły jest szczegółem bez znaczenia. Jest rzeczą również całkowicie obojętną czy jego stosunek — powiedzmy — do gen. Andersa jest pozytywny czy negatywny i czy Akt Zjednoczenia uważa za wydarzenie epokowe czy też nie. Jakikolwiek są jego poglądy i jakiegokolwiek były jego wewnętrzne pobudki, które skłoniły go do opuszczenia Polski — zrobił dobrą i pożyteczną robotę i tylko to jest ważne. W stosunku do jego osoby powinniśmy zachować maksimum umiaru i dyskrekcji, ponieważ pozycja Światły na Zachodzie winna stanowić zachęcający przykład dla innych oficerów Bezpieki.

Jedno z pism emigracyjnych, omawiając broszurę Światły, roztrząsało

każde niemal zdanie pod kątem widzenia „iskry na prochy”. Głowiono się również czy przypadkiem takie lub inne sformułowanie komentarza „nie wzbudzi fałszywych nadziei”.

Skądinąd niewątpliwie szczerą i gorącą troską o dobro Kraju u wielu naszych polityków i publicystów wyraża się w kompleksie „starszego brata”. To traktowanie Kraju jako wiecznie „małoletniego” w porównaniu z dojrzałą Emigracją — przybiera niekiedy formy żenujące. Nie wiadomo co więcej podziwiać — czy ignorancję w odniesieniu do nastrojów panujących w Polsce — czy zarozumiałą pewność siebie tych, którym się wydaje, że Polacy w Kraju niczego nie rozumieją i bez zbawiennych komentarzy pana X mogliby zamordować Rokossowskiego.

Nasi mężowie stanu cywilni i wojskowi — nie zdają sobie widać sprawy do jakiego stopnia kryzysy i rozłamy skompromitowały w oczach Kraju kolejne kierownictwo emigracyjne.

Na podstawie posiadanych informacji możemy stwierdzić, że Polacy w Kraju są na ogół dobrze zorientowani i byłoby naiwnością przypuszczać, że broszury, baloniki czy jakiegokolwiek propaganda może wpłynąć na zmianę ich „generalnej linii”. Ta linia jest wyrazem trzeźwej oceny sytuacji i realizmu, który wyrósł na cmentarzysku „fałszywych nadziei”.

EPIZOD W BERNIE

Napad na reżymowe poselstwo rumuńskie w Bernie dokonany przez emigrantów rumuńskich — wywołał entuzjastyczne echo w polskiej prasie na Zachodzie. Londyński „Dziennik Polski” wysunął nawet sugestię, by z funduszu zebranego ze składek na obronę siedmiu z „Puszczyka” — pewną kwotę przeznaczyć na pomoc prawną dla aresztowanych sprawców zamachu w Bernie.

Równocześnie w prasie brytyjskiej pojawiły się wiadomości które wskazują na bliską łączność zamachowców z faszystowską „żelazną gwardią” a w szczególności z jej „Führerem” Horia Simu.

Może nie od rzeczy będzie przypomnieć, że Horia Simu w czasie swego krótkiego premiershipu (w roku 1940) już po wyjeździe polskiej ambasady przyjął ukradkiem i po długich staraniach p. Wolskiego, który wraz z kilku innymi politykami pozostał w Bukareszcie celem chronienia polskich interesów. P. Wolski, który utrzymywał kontakt z „żelazną gwardią” jeszcze przed wojną — usłyszał wówczas z ust „żelaznego” premiera brutalne oświadczenie, „że Polska nie istnieje”. Czy więc nie posuwamy naszej ryćkości zbyt daleko oferując pomoc pieniężną rumuńskim „żelazno-gwardziom”?

W chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada marca) styczność zamachowców z „żelazną gwardią” nie została jeszcze ustalona. Liczne poszlaki wskazują natomiast na to, że zamach był dziełem tejże organizacji. Osobiście uważam, że zamach berneński należy jak najkategoryczniej potępić bez względu na to czy organizowała go „żelazna gwardia” czy ktokolwiek inny. Emigracje polityczne na Zachodzie na drodze terrorystycznych zamachów nie mają nic do wygrania — natomiast tego typu taktyka może im przynieść wprost nieobliczalne szkody. Akcji terrorystycznej można bronić politycznie i moralnie tylko wówczas jeżeli zamachowcy działają na własnym terytorium. Zamach dokonany w Bernie czy w Londynie jest wymierzony nie tylko w reżymowców lecz również i w państwo, które udziela nam gościny. Ta gościna jest podstawą naszej działalności politycznej, społecznej i kulturalnej i nie wolno nam jej nadużywać choćby z uwagi na nasz własny interes.

PODSTAWY „NOWOCZESNEJ SKARBOWOŚCI”

W „Wiadomościach Skarbu Narodowego” (21)1, w artykule pt. „Jedność polityki” czytamy co następuje:

„Radosny fakt opanowania kryzysu w zakresie Skarbu umożliwił też Komisji Głównej odwołanie zarządzeń tymczasowych. Były one przejściowo konieczne dla osiągnięcia tego celu ale ich stałe utrzymanie byłoby szkodliwe, sprzeczne z założeniami Skarbu i godzące w podstawy wszelkiej zdrowej skarbowości. Chodzi tu w szczególności o uchwałę z 1 sierpnia 1954 roku która dopuszczała, że Komisje terytorialne mogą przekazywać zebrane fundusze na zaspokojenie określonych potrzeb. Ten sposób dysponowania funduszami, przejściowo celowy, w istocie swej pozostawał w sprzeczności z centralizacją gospodarki, która należy do podstaw nowoczesnej skarbowości. Słusznie więc Komisja Główna, stwierdziwszy, że „kryzys w Skarbie Narodowym został opanowany” oświadcza następnie, że „nadszedł czas, by powrócić do normalnej gospodarki, jaką prowadził Skarb Narodowy przed powstaniem kryzysu”.

Co to oznacza w praktyce?

Oznacza to, że płatnicy na Skarb Narodowy — np. w Kanadzie — tracą prawo przekazywania swoich własnych pieniędzy na cele, które uznali za bezsporne. Innymi słowy, płatnicy w Kanadzie czy gdziekolwiek indziej — nie będą mieli prawa ani decydować o przeznaczeniu sum zebranych w kraju ich osiedlenia — ani nawet zgłaszać propozycji w tych sprawach.

Jedynym prawem i obowiązkiem płatników będzie płacić — a jedynym prawem i obowiązkiem Komisji terytorialnych będzie zebrane sumy przekazać i postawić do wyłącznej dyspozycji Londynu. Co należy zrobić z pieniędzmi zebranymi w Kanadzie czy w Australii — decydować będzie wyłącznie i suwerennie 90 panów, których wydelegowały do T.R.J.N. londyńskie komitety partyjne.

Jeżeli polski farmer w Kanadzie, czy polski lekarz w Melbourne miałby jakieś wątpliwości w związku z powyżej wyłożonymi zasadami „nowoczesnej skarbowości” — to trzeba im wyjaśnić, że jak już zauważył znakomity Orwell — wszyscy jesteśmy równi ale przecież niektórzy z nas są równiejsi. I tak np. świeżo przyjęte w poczet T.R.J.N. Polskie Stronnictwo Demokratyczne, które wraz z prezesem nie liczy chyba mniej niż 20 członków — będzie miało więcej do powiedzenia w sprawie funduszy zebranych w Kanadzie niż setki czy tysiące płatników kanadyjskich. Bo tych 20 członków Stronnictwa Demokratycznego (których udział w ofiarności na Skarb Narodowy nie wiem czy przekracza £ 5 miesięcznie) — delegować będą dwóch radnych do T.R.J.N. a tym samym będą współdecydować w sprawach budżetowych. Do pełni obrazu dodać należy jeszcze, że wspomniane stronnictwo do stycznia br. wchodziło w skład Komitetu Demokratycznego p. Mikołajczyka i do tegoż terminu na Skarb Narodowy nie płaciło ani grosika.

W ramach notatki kronikarskiej trudno omawiać szerzej tę całą sprawę do której jeszcze powrócimy. Na tym miejscu pragniemy tylko jeszcze raz podkreślić z naciskiem, że domaganie się pieniędzy bez zapewnienia płatnikom prawa kontroli w stosunku do gospodarki finansowanej z ich kieszeni — nie jest sprawą takiej czy innej wykładni zasad demokratycznych, lecz jest sprawą najprymitywniej pojętej uczciwości politycznej.

Wiemy co działo się na emigracji z funduszami państwowymi i partyjnymi. Do dziś dnia nie są wyjaśnione w pełni ani sprawa Bergu, ani sprawa tzw. powierników. Dlatego, dopóki nie mamy na emigracji reprezentacji politycznej w całości pochodzącej z wyborów, dopóki o funduszach Skarbu Narodowego nie decydują wyłącznie przedstawiciele wybrani przez płatników i przed płatnikami odpowiedzialni — płatnicy w krajach osiedlenia powinni bronić swej terytorialnej autonomii. Komisje terytorialne Skarbu Narodowego winny działać w ramach uchwał powziętych przez płatników. Ogół płatników w krajach osiedlenia powinien odmówić uznania i poparcia tym komisjom terytorialnym, które przyjmą punkt widzenia, że obowiązują je nie prawomocne uchwały płatników lecz dyrektywy Londynu.

W roku Pańskim 1955 nie ma najmniejszego powodu by Skarby Narodowe w krajach osiedlenia były zarządzane komisarzycznie przez Londyn z całkowitym wyłączeniem czynnika miejscowego. Nie ma również najmniejszego powodu by w naszym życiu organizacyjnym stosować do własnych obywateli przebrzmiałe wzory administracji kolonialnej. Bo w istocie ku temu wszystko zmierza. Polacy w krajach zamorskich mają tylko płacić, Komisje terytorialne zbierać i przekazywać. Od budżetowania, decydowania, kontrolowania jest tylko Londyn i nikt poza tym. Anglicy w Londynie już zarzucili te metody, ale cóż są Anglicy w porównaniu z nami...

Omaiwane zagadnienie jest wielkiej wagi. Kto wie czy nie na tym odcinku zadecydują się losy udemokratycznienia naszego życia politycznego. Jeżeli płatnicy Skarbu Narodowego w imię szczytnych ideałów „nowoczesnej skarbowości” zrezygnują z wszystkich swych praw na rzecz delegatów partyjnych urzędujących w Londynie — jest oczywiste, że nigdy nie będzie żadnych wyborów i nigdy nie doczekamy się reprezentacji politycznej opartej o zasady demokratyczne.

ZAMIESZANIE

Miesięcznik „Pokój i Wolność” (Biuletyn Sekcji Polskiej — Organizacji „Pokój i Wolność”) Nr 5(76) w artykule pt. „Nieporozumienie” zaatakował ankietę „Kultury” dotyczącą przemian społecznych i gospodarczych w Polsce.

O co chodzi panom z cytowanego biuletynu? Otóż ich zdaniem... „Ankieta „Kultury” może spowodować zamieszanie w bezwzględny podjęciu do komunizmu”.

Istotnie, nasza ankieta wywołała zamieszanie ale jak dotąd jedynie w redakcji „Pokoju i Wolności”. Za szczególnie niebezpieczne nasi krytycy uważają pytanie ankiety które brzmi: „Czy przemiany gospodarcze i społeczne, które w okresie 1944-1954 nastąpiły na terytorium przedwojennego Państwa Polskiego oraz na Ziemiach Odzyskanych są odwracalne?”

Czyżby redaktorzy „Pokoju i Wolności” sądzili, że takich przemian nie ma?

Nie — nasi krytycy bowiem przyznają, że „nawet najbardziej niszczyielska okupacja wojenna, kierująca się wyłącznie interesami okupanta i nastawiona na całkowite zniszczenie narodu okupowanego, może pozostawić po sobie takie czy inne inwestycje, takie czy inne ślady, które naród po wyzwoleniu z pod okupacji może wykorzystać dla własnych celów”.

Więc gdzież jest pointa?

Oto tu: „Oczywiście jest rzeczą zrozumiałą, że zagadnienia tego typu mogą i muszą być przedmiotem badań ze strony specjalistów — wywlekanie ich jednak na forum publiczne wydaje się być w obecnej chwili mocno przedwczesne i z naszego punktu widzenia jest zjawiskiem niepożądanym”.

Dla tłumy — slogany i propaganda. Informacja i fakty — dla wtajemniczonych góry. Pewni nasi politycy i publicyści po 15 latach pobytu na Zachodzie niczego się nie nauczyli. Mentalność tych panów to są autentyczne „fakty nieodwracalne”.

NADMIERNY ZASZCZYT

W oficjalnym, rzeczowym, urzędowym, śmiertelnie serio sprawozdaniu pt. „Skarb Narodowy w Wielkiej Brytanii”, „Orzeł Biały” Nr 11(662) — czytamy m. in. co następuje:

„Członkowie Delegatury, jako gospodarze, podali do wiadomości, że zaproszenie otrzymał również p. Juliusz Mieroszewski, londyński przedstawiciel paryskiej „Kultury”...

Pięknie. Cóż się jednak stało?

Oto czytamy: „P. Mieroszewski, mimo kilkakrotnie ponawianych zaproszeń, uchylił się wszakże od przybycia na zebranie”.

Autor niniejszej Kroniki pozostaje w bliskich koleżeńskich stosunkach z p. Mieroszewskim i z tego tytułu jest upoważniony do stwierdzenia, że po pierwsze — p. J. Mieroszewski został zaproszony tylko raz i nikt zaproszenia nie ponawiał — po drugie p. Mieroszewski nie wymaga by na jedno posiedzenie zapraszano go kilkakrotnie — po trzecie p. Mieroszewski napisał list z zawiadomieniem, iż przybyć nie może (z ważnych przyczyn a nie dlatego, że zaproszeń nie ponawiano).

Nikt chyba nie posądzi Londyńczyka o wrogie nastawienie w stosunku do p. J. Mieroszewskiego — mimo to jednak sądzę, że „Orzeł Biały” przesadził w uwypuklaniu ważności jego osoby. Cóż w końcu może obchodzić ogół czytelników „Orla” w Anglii i za morzami czy p. Mieroszewski był na konferencji prasowej czy nie — czy zapraszano go raz czy dziesięć razy. Nie dla wszystkich jest to tak wstrząsającą rewelacją jak dla redakcji „Orla Białego”.

LONDYŃCZYK

Mamy zaszczyt podać do wiadomości
Polaków w świecie

że z dniem 21 stycznia 1955 roku przejęliśmy
istniejącą od 82 lat i zasłużoną firmę
wydawniczo-księgarską

POLISH AMERICAN BOOK CO

1136 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. USA

W związku z tym do firmy tej zostało włączone
przedstawicielstwo

„Kultury”, „Wiadomości” i „Orla Białego”.

POLISH AMERICAN BOOK CO.

Józef F. BIAŁASIEWICZ

Marian GAWUĆ

Najnowsza historia Polski

1905

Co nam zostało po roku 1905-ym. Legenda walki z prze-mocą — z najazdem i niewolą? Walki, która nie była powsta-niem — była może szeregiem demonstracji. Walki, która w ska-zanych, powieszonych — kosztowała więcej niż powstanie roku 1863-go. Z tej krwi przelanej urosła bohaterska mitologia — legenda bojów robotnika polskiego, który w tym właśnie okresie wystąpił na scenę naszych dziejów. Okrzeja, Baron, Kopeć-Mirecki. Nazwisko sztandarowe, rozślawione, powtarzane na każdej uroczystości, przy każdej sposobności i — ani jednej monografii poważnej. Społeczeństwo i inteligencja przyjęły tę legendę na wiarę i nie zdobyły się na jej pogłębienie czy poważ-niejszą ocenę. I tak nazwiska te pozostały symbolami, imionami własnymi na mogile nieznanego żołnierza. Bo coż można było napisać o dwudziestoletnich chłopakach, którzy dopiero w życie wchodzili, którzy byli w rozkwicie swojej młodości górnej i chmurnej? A atmosfera ich życia? Czy też o niej nic powie-dzieć nie można? Czy też jej przemysleć nie wypada?

Pozostały inne nazwiska: Walery Sławek, Aleksander Pry-stor, Kazimierz Sosnkowski, Tomasz Arciszewski. Ale tu już rozpoczyna się spór, las nieudomówień. I spór jest najostrejszy o największe nazwisko — Józefa Piłsudskiego, którego postać osłoniła swym czadem apologetyczna literatura. Kto jest ten Wielki Człowiek w Polsce? — jak to powiedział Ignacy Da-szyński. Czy nas podźwignął — czy też doprowadził do upad-ku? Gdy nie ma woli spojrzenia w oczy rzeczywistości — szerzy się plotka pokątna.



Ale nie tylko postaci strach dotknąć. Lęk zdejmuję odsłonić właściwą treść wydarzeń. Są one jeszcze zbyt bliskie. A nuż,

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na od-powiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

gdy spróbujemy to i owo ukazywać w świetle właściwym, walić się poczną jakoweś pómniki — a spoza wielkich, niezaprzeczalnych zasług okaże się mierność, albo jeszcze gorzej — pokraczny splot nieporozumień?

Więc jakżeż mało się mówi np. o przebiegu wielkich napływów strajkowych, które przechodziły przez Polskę raz po raz jeden za drugim? Wzniosła się pierwsza fala w końcu roku 1904-go; ogarnęła cały kraj w roku 1905-ym następna. Odmieniło się życie robotnicze. Podniosła się stopa życiowa człowieka pracy zwłaszcza w wielkich ośrodkach przemysłowych. Robotnik zyskał świadomość swych sił; otworzyła się przed nim możność zdobywania lepszej przyszłości, zdobywania coraz większego udziału w dochodzie narodowym własną solidarnością. Ale nikt nie uświadomił robotnika co do granic jego możliwości. Związków zawodowych nie było, a partie polityczne traktowały nieraz te strajki tylko jako narzędzie rewolucjonizowania tłumów. Wydzierały sobie rolę kierowniczą, dla zyskania popularności licytowały się nieraz w windowaniu żądań. Już w końcu roku 1905-go ruch ten przybiera charakter chorobliwy, staje się epidemią anarchizującą życie gospodarcze. Aż nie kto inny jak Ignacy Daszyński, socjalistyczny poseł Ziemi Krakowskiej, występuje z listem otwartym do Centralnego Komitetu Robotniczego Polskiej Partii Socjalistycznej z ostrzeżeniem, że droga to niebezpieczna dla klasy robotniczej, że należy powstrzymać wyuzdanie strajkowe.

A przecie faktem jest, że były czynniki, które właśnie do zanaraczowania życia naszego zdążyły zupełnie świadomie. Przede wszystkim wymienić tu należy SDKPiL, która widziała w całej walce proletariatu polskiego tylko dodatek do rewolucji rosyjskiej. Sekundował jej bardzo często „Proletariat” Kulczyckiego. Sekundowały jej nie pomału i tzw. lewica PPS, która w pewnym momencie uchwyciła władzę w partii. Za chwilę prym demagogii jednak przejdzie najniespodzianie w ręce organizacji „narodowych” i „chrześcijańskich”, które staną do licytacji...

A po strajkach okresu dobrej koniunktury, nadejdą dni chude przesilenia gospodarczego. O zdobyczach już nie ma mowy. I oto wynurzać się poczną objawy terroru ekonomicznego. PPS z nim walczy, ale zamyka na nie oczy SDKPiL, a wręcz popierają je żydowskie organizacje rywalizujące z Bundem i grupy anarchistyczne. Dochodzi do potwornej sceny mordstwa popełnionego na fabrykancie łódzkim Sielbersteinie. Aż wreszcie lock-out w przemyśle przedziałniczym łódzkim rozpocznie głodzenie olbrzymich rzesz proletariatu. Śmiertelne głodzenie. Łódź zamarała z przerażenia i zgrozy. Najłatwiej zrzucić za to wszystko odpowiedzialność na „wroga klasowego” i na „burżuazję”. Ale trzeba sobie uświadomić, że w owym czasie na terenie robotniczym pracowały: PPS (frakcja rewolucyjna), PPS

(lewica), PPS (Proletariat), SDKPiL, Narodowy Związek Robotniczy i Chrześcijańskie Zrzeszenia. Wśród proletariatu żydowskiego poza Bundem mieliśmy dwie organizacje sjonistyczne. Niemcy łódzcy występowali osobno. A z zamętu powszechnego to tu, to tam wynurzały się grupy anarchistyczne lub machajowszczyzna. Nie było jednolitego kierownictwa, które by tym strajkom nadały odpowiednie ramy. A próby tworzenia nielegalnych związków zawodowych, jakkolwiek pociągnęły znaczne rzesze, przecież prowadziły tylko do wysyp i zaprzepaszczenia nagromadzonych składek. Tak więc znaczna część odpowiedzialności za niepowodzenie obciąża same organizacje robotnicze, ich rozdrobnienie.

Apologetyka jest zapewne o wiele łatwiejsza i przyjemniejsza. Ale, po pierwsze, zamazując fakty — unicestwia wartość poczynionych doświadczeń. Po drugie — opromieniając wszystko nimbem zasługi, nie pozwala rozróżnić istotnych zasług i zdobywczy od zwykłej błagi. Pomniejsza własną samowiedzę.

A jak wyglądał dzień powszedni samej akcji bojowej? Porwało całą opinię publiczną uderzenie na Wysokie Mazowieckie (23. XII. 1904). Rozentuzjzmowało wszystkich uprowadzenie dziesięciu z Pawiaka. Częstochowa żyła po prostu chwałą ataku pod Herbami, gdzie zginęło więcej generałów niż na wojnie rosyjsko-japońskiej. Zelektryzowała wszystkich akcja bezdańska, wynosząc działalność bojówki poza obręb Królestwa Kongresowego. Tak. Ale z drugiej strony może najdoskonalej technicznie przeprowadzony atak na pocztę przy ulicy Wspólnej w Warszawie (22. II. 1907) wskutek strat poniesionych, a nade wszystko ofiar mniej więcej niewinnych należał do tych, które mocno zdepopularyzowały bojówkę.

Napady na kasy, pociągi pocztowe, monopole, zamachy na carskich urzędników od generał-gubernatora poczynawszy aż do żandarmów i policjantów, nie mówiąc już o zdrajcach, szpiegach, stały się zjawiskiem powszechnym. Trudno po prostu podać nawet przybliżoną ich liczbę, bo wydarzały się one w pewnych okresach codziennie. Prawda, na ogół organy partyjne „kwitowały” te akcje, o ile dokonywane były na zarządzenie władz centralnych. Ale znaczną ich część dokonywały bojówki techniczne, okręgowe. A te niejednokrotnie prowadziły rejestr dość niesystematycznie. Co więcej, wyroki na bandytach ogłaszano z dużym opóźnieniem, a zamachy nieudane po prostu pomijano.

W pierwszym okresie walk robotnicy chwyтали wieści o nich z zachwytem. Oto ich, ich własna organizacja osiąga sukcesy w walce podjazdowej, ale ileż charakteru, ile woli wymagającej?! Robotnik przygląda się tym bojowcom. Raduje się, gdy znajduje w nich „oficerski sznyt”. Z upodobaniem spogląda na smukłą postać młodego Kwapińskiego, jak w wysokich wojsko-

wych butach z ostrogami jedzie konno na ślicznym kasztanie. Z przejęciem opowiada jak „Michał” Małachowski na czele swej piątki maszeruje ulicami miasta! To wszystko ludzie, którzy za jego godność krew przelewają. To ci, co iszczą sen o rycerskiej szpadzie, co robotnika wysuwają na czoło walk całego narodu.

Oświadczenia partyjne, odezwy, artykuły Sokolnickiego, Filipowicza i innych, ogłoszone notatki i listy Piłsudskiego niejednokrotnie mówią o roli bojówki. Akcja jej ma wykazać, że walka z wszechpotężnym caratem jest możliwa. Ma ona przyzwyczaić ludzi do tej walki. Robotnika jednak przede wszystkim porywało piękno tej walki... Piękno odwagi — sprawności — mocy!

Ale im walka była powszechniejsza — tym bardziej się wykruszały, pospoliciały typy ludzkie. Charaktery słabsze używały otrzymaną broń do — porachunków prywatnych, do zdobywania pieniędzy dla siebie: pieniędzy zrazu rządowych, w monopolach czy kasach gminnych — potem i w sklepach prywatnych. Była to droga do bandytyzmu. Partia wydawała wyrok. Zbandyciały bojowic padali od kuli. Ale nieraz uzyskał już popularność i to szeroką. Nieraz taki wyrok spotykał się z oburzeniem. To wszystko są gorzkie owoce przegranej i wojny.

Z drugiej strony ta akcja bojowa była nie tylko masowa, nie tylko budziła określone nastroje, nie tylko wychowawczo miała oddziaływać, miała ona poza tym zupełnie określony cel strategiczny, plan, ujęty przez Piłsudskiego już w roku 1905 w konsekwentnie przemyślany projekt. Napady, organizowane na całym obszarze Polski, miały zdeorganizować policję i żandarmerię, miały przymusić ją do szukania pomocy wojskowej i w dalszym ciągu doprowadzić do rozproszenia garnizonów na drobne oddziały, rozrzucone po całym kraju — uniemożliwić po prostu wojsku trzymanie większych sił w skupieniu. To otwierało możliwość rezerwowi rewolucyjnym uderzania na uszczuplone siły garnizonów w ważniejszych punktach i ewentualnie odnośzenia zwycięstw. Policję zdeorganizowały. Przyznał to sam generał-gubernator Skatón. Ale...

Siły rewolucji wyczerpały się zanim można było to wykorzystać. A zresztą i sam ten plan nie został przeprowadzony należycie. Piłsudski bynajmniej nie był absolutnym panem bojówki, jak to się często powtarza. Miał on przeciw sobie nie tylko esdekującą lewicę w Partii. Jego projekty rozbiły się nieraz o sprzeciw samego wydziału bojowego, który szukał akcji efektywnych, lub pożądaną z jakichś ubocznych względów. Wszak wbrew Piłsudskiemu została zorganizowana słynna akcja pod nazwą

Krwawej Srody (15. VIII. 1907). Czy on sam zdołałby z całą bezwzględnością przeprowadzić plan opracowany? — nie będziemy się spierać. Ale ten plan, odstępstwa od niego — szkody stąd wynikłe — to wszystko razem wzięte stanowi olbrzymią naukę, kolosalny zapas doświadczenia, które, powiedzmy, zostało wyzyskane w przyszłości. Byłoby wyzyskane niewątpliwie o wiele pełniej i powszechniej, gdybyśmy mieli na ten temat uczciwe badania — zamiast apologetyki i jeszcze nieudolniejszej polemiki.

Najmniej mówi się, wspominając rok 1905-ty, o walkach bratobójczych, które pochłonęły setki — może nawet i więcej ofiar. Potworne sceny walk międzypartyjnych rozgrywały się w Białymstoku, który w organizacji PPSowskiej miał fatalną sławę. Powiadano, że tam wysła się człowieka niemal na pewną zgubę. Niski stopień uświadomienia ludności, skupienie różnych etnicznych żywiołów, nagromadzenie anarchistycznych skupisk, zaciekle współzawodnictwo stronnictw polskich, żydowskich, rosyjskich — wszystko to wytwarzało kłębowisko niesłuchanie niebezpieczne, w którym oczywiście łowiły ryby najbardziej podejrzane żywioły. Nie o tych wszakże walkach myślimy. Przywieść na pamięć wypada w tej chwili to, co obserwowaliśmy w Łodzi, gdzie żywioły skupione w Narodowym Związku Robotniczym, stanowiącym ekspozyturę Narodowej Demokracji na terenie robotniczym, zdecydowały podjąć zbrojną rozprawę z „socialistyczną anarchią”. Zbrojne grupy chwyciły ludzi na ulicy i mordowały bezlitośnie każdego, kto miał przy sobie jakąś literaturę socjalistyczną bez względu na to jakiego kierunku. Na działaczy socjalistycznych urządzano zasadzki przy wyjściu z fabryk... I cały odłam prasy polskiej z „Kurierem Warszawskim”, „Gazetą Warszawską” na czele w szeregu artykułów, przepuszczanych oczywiście bardzo chętnie przez moskiewską cenzurę, uzasadniał te mordy jako konieczność, jako akt świadomego odruchu społeczeństwa przeciwko — rozwydrzeniu agitacji strajkowej i — rewolucyjnej. Dopiero w roku 1908-ym zaczęły się w Warszawie odbywać konferencje celem zapobieżenia tym strasliwym faktom, tym bitwom, w których padało nieraz po dwudziestu ludzi dziennie.

Na chwałę bojówki trzeba przyznać, że ona właśnie, największa siła zbrojna, nie wzięła w tym udziału.

Przykład roznamiętnienia partyjnego, jaki oglądaliśmy wtedy naprawdę jest odstraszaający. I znów zgłębienie tych wypadków, zbadanie ich jak najściślej dałoby prawdopodobnie ogromny materiał ostrzegawczy. Pokryliśmy to milczeniem. I przytłumione głosy dobywające się z tej otchłani uparcie z tragedii tej poczyniły w ostatnich latach niepodległości robić coś w rodzaju manewrów do żyletkowego zwalczania Żydów i wszelkich postępców.

Dziś czy kto podniesie głos w obronie tych zajęć i tych wypowiedzi, mord bratobójczy sławiących? Ale pamiętać o nich należy dobrze, aby nie powtórzyć drogi: „od łyżeczka do rzeźmicy”. Takie samo roznamietnienie doprowadziło do mordu Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej...

Jednym z najpiękniejszych momentów legendy roku 1905-go jest tak zwany strajk szkolny — a właściwie bojkot szkoły rosyjskiej podjęty przez samą młodzież — od studentów politechniki i uniwersytetu, aż do uczniów z klasy wstępnej. Zerwał się on żywiołowo. Młodzież rzuciła się za przykładem robotników. W ciągu kilku godzin, a może w praktyce, w ciągu paru dni, ogarnął on Warszawę i cały kraj — przeniknął wszędzie. A któż właściwie stał za nim?

Bezwzględnie poparła go tylko PPS, oddając na jego usługi w wielu miejscach swoją technikę. W ogromnej jednak większości wypadków młodzież radziła sobie sama przy pomocy jakichś drukarenek-zabawek, hektografów i temu podobnych prymitywnych środków. Bo przecie właśnie tu bezpośrednie wpływy pepesowskie były stosunkowo słabe.

A przeciw strajkowi? Przeciw strajkowi stanęła olbrzymia większość rodziców, którzy lękali się o przyszłość swych dzieci, którzy po prostu nie mogli sobie wyobrazić, by tego rodzaju akcja mogła osiągnąć pozytywne wyniki. Z całą gwałtownością występuje z potępieniem strajku Kuria Metropolitalna w osobie arcybiskupa Chrościak-Popiela. Za nim idzie olbrzymia większość duchowieństwa. Przeciw strajkowi ogłasza manifest wódz postępowej inteligencji — Aleksander Świętochowski. Zrazu dyskretnie, ale niebawem coraz mocniej zwalczać poczyną strajk Roman Dmowski, któremu jednak bynajmniej nie cała Narodowa Demokracja sekunduje w tej sprawie. Żydzi zachowują się lojalnie, lecz bynajmniej nie wszyscy uznają tę walkę za własną.

I stała się rzecz zupełnie niesłychana. Młodzież zwycięża! Władze szkolne rosyjskie zachwiały się. A wtedy całe społeczeństwo ogarnia jakiś niewidziany zapal — zapal twórczy! Powstają tajne czy krypto-tajne komplety. Komplety przeobrażają się w szkoły prywatne. Co stąd, że bez praw? Tak czy inaczej prawa przyjdą! Powstaje olbrzymia organizacja finansowania tych szkół w postaci Towarzystwa Wpisów Szkolnych i doprowadza do tego, że większość młodzieży korzysta z takich czy innych ulg w opłatach. Więcej jest stypendystów niż opłacających należne wpisy samodzielnie.

W organizowaniu szkół biorą udział przedstawiciele wszystkich kierunków myśli politycznej. Od najsukrajniejszych ugodowców, wczoraj jeszcze najzagorzalszych przeciwników strajku, aż do najbardziej lewicowych socjalistów. Powstają zręby szkolnictwa zawodowego i to w najlepszym tego słowa znaczeniu. Po-

wstaje, namiastka uniwersytetu w postaci Wyższych Kursów Naukowych.

Te szkoły prywatne zyskują uznanie dla swoich świadectw zagranicą — w Szwajcarii, we Francji, w Austrii. Semestry wyższych kursów zaliczają niektóre wyższe uczelnie w Europie. Inicjatywa sztabaków, wstępniaków wyprowadziła sprawę polską, sprawę szkolnictwa polskiego zagranicę, na forum międzynarodowe. Dokonała tego z czym nie może sobie poradzić nieraz najlegalniejsza dyplomacja.

Jest to zjawisko jedyne w swoim rodzaju, dla którego na próżno szukalibyśmy analogii w dziejach świata. Jest to świadectwo twórczego geniuszu organizacyjnego Narodu polskiego, który zdołał opanować wszystkie sprzeciwy i urzeczywistnić na stałe swój program w czasie po prostu błyskawicznym. Bo pomimo wszystkich szukan ze strony władz, pomimo wszelkiego rodzaju ograniczeń i przesładowań szkolnictwo polskie dotrwało do czasu niepodległości. A jeżeli wybiegniemy cośkolwiek naprzód, to uświadomimy sobie co naprawdę znaczyła tego rodzaju zaprawa.

Otóż w r. 1914 na obszarze Królestwa Kongresowego było wszystkich razem szkół rządowych i prywatnych, polskich i rosyjskich, około czterech tysięcy. Uczęszczało do nich razem około czterechset tysięcy uczniów. Już w roku 1917-ym, a więc pod okupacją niemiecką i austriacką, liczba szkół — już teraz wyłącznie polskich — wzrosła do ponad osiem tysięcy. Liczba uczniów w nich przekroczyła siedmiokrotnie sto tysięcy. A przecie kraj był osłabiony przez mobilizację i ewakuację znacznej części szkół na wschód. Kadry do tej olbrzymiej pracy dała polska szkoła, stworzona przez żywiołowy porw młodzieży, poparty — podnosimy to jeszcze raz z całym naciskiem — naprawdę serdecznie i poważnie, jedynie i wyłącznie przez PPS.

Fakt ten posiada i inną stronę o dużej wartości pouczającej. Ukazuje on nam do jakiego stopnia niewola i poczucie klęski paraliżują myśl i czyn polityczny. Najbieglejsi politycy, po przeprowadzeniu najdokładniejszych kalkulacji, dochodzili do wniosku, że nie ma żadnych możliwości by młodzież zwyciężyła. Ludzie rozsądni dowodzili z nieodpartą logiką, że bojkot szkoły rosyjskiej niczym, ale to niczym literalnie, nie zagraża rządowi carskiemu, nic nie zatrzymuje w jego aparacie. Ci ludzie pragnęli układać się, wytargowywać. Tłumaczyli, że ryzyko walki beznadziejnej jest zbyt wielkie. I cóżbyśmy przez targi dostali?! Rozstrzygnął sprawę impuls „rozumnych szaleń”. Zwyciężył w tak ogromnym stopniu, że potem wszyscy już pragnęli być tego zwycięstwa uczestnikami. I nikt nie wyciągnął wniosków dla siebie i swojej taktyki. I dziś nie umiemy tych wniosków wyciągnąć.

A przecie człowiek, mający pretensję do myślenia politycznego, ma obowiązek rozważyć tego rodzaju doświadczenia. Dmowski i Świętochowski na pewno występowali z całą szczerością i działali w najlepszej wierze. Co więcej, mieli wszystkie przedmiotowe racje po swojej stronie. I oto najściślejsze oblicze-

nia okazały się błędne, bo pominięto w nich jedną niewiadomą, nie dającą się ująć w żadną formułkę, której na imię — zapał, entuzjazm, jeśli kto woli. Zapał, który olśnił, przeraził nieprzyjaciela, zachwianego oczywiście przez klęski na polach bitew.



Sięgnijmy jednak do źródeł racji zwalczania strajku. Są one proste i nieodparte. Naród, aby żyć, musi posiadać przede wszystkim środki materialne. Szczepanowski, który wołał, że Polak je dwa razy mniej niż Niemiec, a cztery razy gorzej od niego pracuje, zdawał się uderzać w najbardziej istotną bolączkę naszego życia. Rozwój zaś życia gospodarczego wymaga pewnego ładu. Każdy ład jest lepszy od anarchii. Zasobny, pracowity Poznańczyk, pomimo największego nacisku germanizacyjnego, zdołał nie tylko nie utracić, ale nawet powiększył obszar ziemi w polskim posiadaniu. Zdołał spolszczyć część nasłanych kolonistów. Czesi codzienną pracą zarobkową, oszczędzając systematycznie, zdołali skutecznie wypierać niemiecki żywioł z własnej ziemi, z własnych miast. Dla Czecha wykupienie bodaj najmniejszego gospodarstwa z rąk obcych stanowiło czyn chwalebny. Nakaz wzbogacania się pozwolił temu narodowi odrodzić się w ciągu wieku dziewiętnastego. Nad tymi wzorami nie wolno przejść do porządku dziennego. Polityk nie może spuszczać z oka tej podstawowej strony zagadnienia. Ale, jak wykazał nasz przykład, źle jest jeżeli te najprostsze, najbardziej uchwytne i nieodparte przesłanki osłaniają rzeczy inne — nieraz stokroć ważniejsze.

I w ogniu walki pod adresem tych, co ów ruch młodzieży powstrzymać usiłowali padały wówczas słowa oskarżenia:

*Więc my — młodzi
Charonowej twojej łodzi
Wpoprzek staniam!*

Tak jest, bo w polityce, tak jak i w każdej dziedzinie ludzkiego działania zawsze sprawdza się zasada, ponoć przez Schillera sformułowana: niszczenie rozsądku przez uczucie samo prowadzi do dzikości, ale zniszczenie uczucia przez rozsądek — stanowi barbarzyństwo.

Zwycięstwo strajku szkolnego, lawinowy wysięk organizacyjny ku tworzeniu własnego szkolnictwa było zjawiskiem tak niespodzianym, że polityczne czynniki polskie po prostu nie umiały go odpowiednio wykorzystać. Ruch żywiołowy wybiegał poza wszystkie koncepcje. To, co zyskali abiturienti polscy zagranicą wynikało z ich własnego nacisku, z poparcia czynników prywatnych. O jakiejś zbiorowej akcji ze strony czynników politycznych polskich — nie było mowy.

Ale strajk szkolny dokonał innej rzeczy o niesłychanie doniosłym znaczeniu. Oto wypchnął olbrzymie zastępy uczącej się młodzieży polskiej z Kongresówki do Lwowa i Krakowa. Część jej szła do gimnazjów po uzyskaniu matury i trzeba powiedzieć, że ze strony komisji egzaminacyjnych, nawet ze strony delegatów Rady Szkolnej Krajowej galicyjskiej doznawała ona znacznej pomocy i wielu ułatwień.

Ten napływ studenterii do niedużych i ubogich miast galicyjskich odmienił całe życie. Uczelnie nabrzmiały ruchliwym, dynamicznym żywiołem zakordonowców, którzy albo mieli jakieś środki od rodzin, albo zarabkowali często jako robotnicy, np. przy regulacji Rudawy w Krakowie. Część ich rzuciła się do pracy w instytucjach społecznych takich jak Towarzystwo Szkoły Ludowej, Uniwersytet Ludowy im. Mickiewicza itp. Sporo ich weszło do spółdzielczości, powołując do życia nowe jej działy (m. in. inż. Zygmunt Chmielewski).

Nie mówimy o zdobycach królewaków. Chodzi nam o zmieszanie się żywiołu polskiego ze wszystkich dzielnic, postępujące z coraz większą konsekwencją. Oczywiście odbiło się to bardzo poważnie na ruchu politycznym. Łamy dzienników wszystkich odcieni zapełniają się coraz bardziej wiadomościami ze wszystkich zaborów. Pojęcie Polski przechodzi w dzień powszedni. Na tym nie koniec.

W roku 1905-ym ostoja, podstawą pracy politycznej PPS jest już Kraków. Tu wychodzi „Przedświt”, „Światło”, wydanie zagraniczne „Robotnika”. Tu osiada ostatecznie „Książka” i „Życie”, które podejmują dość żywą działalność wydawniczą. Tu powstaje szkoła bojowa, kształcąca instruktorów dla zaboru rosyjskiego. Tu „Gintra”, Maria Paszkowska utrzymuje „komunę” w której znajdują przytułek uciekinierzy spaleni w robotcie partyjnej. W niedalekiej przyszłości rozwinie się tu działalność kółek milicyjnych z których weźmie początek ruch strzelecki — naprawdę poważna organizacja militarna — kadry przyszłych Legionów.

Coraz żywsze i ciaśniejsze będą stosunki PPS z PPSD, której posłowie nieraz podejmą interwencję skuteczną na rzecz niepodległościowców polskich. Stwierdzić należy od razu, że interwencji tej w imię solidarności narodowej podejmowali się i posłowie innych kjerunków.

Ożywiają się znacznie stosunki międzydzielnicowe stronnictw pravicowych — przede wszystkim Demokracji Narodowej. Nad kierunkiem Szczepanowskiego, dominującym jeszcze w roku 1900, bierze górę „wszechpolski” kierunek Dmowskiego i Popławskiego. Ba, nawet konserwatyści „trójlojalni”, wiążący losy narodu z zaborczymi centralami, usiłują uzgodnić swą politykę. Jako odpowiednik galicyjskich stańczyków powstaje stronnictwo Polityki Realnej w Królestwie, które odbywa pierwszy swój zjazd w Wiedniu, pod opiekuńczymi skrzydłami prawicy Koła Polskiego.

Jest rzeczą niezmiernie znamionną, że nie zdołało przekroczyć granic zaborów jedynie Stronnictwo Ludowe — przywiązane zbyt mocno do terenu pracy.



Na Galicji bardzo mocno odbił się ruch rewolucyjny w Królestwie. Zmieniła się całkowicie atmosfera.

Oto kilka przykładów niesłychanie charakterystycznych. Kiedy w roku 1900 Emil Hecker został powołany do austriackiej służby wojskowej, zażądano odeń deklaracji, że po odejściu do rezerwy nie wstąpi ponownie do partii socjalistycznej. Ponieważ odmówił — usunięto go ze szkoły jednorocznych.

Gdy Józef Uziembło w roku 1902 zbierał materiały do początków ruchu socjalistycznego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, pomimo interwencji kilku profesorów uniwersytetu (m. in. prof. Benedykta Dybowskiego) odmówił mu nie tylko dostępu do pism zagranicznych, ale nawet do roczników „Czasu” krakowskiego.

Gdy Bolesław Limanowski w roku 1901 przyjechał do Lwowa, pozwolono mu zostać tam zaledwie kilka dni dla odwiedzenia mogiły syna Tadeusza. Po czym musiał natychmiast wyjechać. Żadne interwencje nie pomogły.

A po paru latach? Jednoroczników już nikt nie pyta o przekonania polityczne. Uciekinierzy przez granicę, zaczepiającym ich strażnikom, odpowiadają po prostu: „Uciekłem, jako socjalista!” Żaden studiujący w bibliotekach nie natrafia na trudności z „zakazanym” materiałem. Na zgromadzenia tzw. „za zaproszeniami” zbierają się setki a nawet tysiące uczestników i policja przygląda się im zupełnie biernie.

To są objawy, świadczące o całkowitej odmianie psychiki całego społeczeństwa, która nastąpiła tak szybko, że nie mogła ująć niczyjej uwagi. A te przeobrażenia napędzają ludzi optymizmem.



Rok 1905 stanowił również początek tego, co w czasie pierwszej wojny światowej podzieliło naród według orientacji. PPS stanęła tu zupełnie wyraźnie przeciw Rosji, przeciwko jakiegokolwiek wiązaniu się z nią. Niepodległość dla niej zarysowała się już nie jako hasło programowe, ale jako postulat niemal najbliższy. Piłsudski sprecyzował to zupełnie wyraźnie. Przyznając, że w danej chwili jeszcze nie czas na powstanie, stwierdza, że należy do tych, którzy pragną w powstaniu tym wziąć udział. Tak myśleli i inni. Stąd praca nad przygotowaniem kadr dla akcji militarnej, która przetrwała po ruch rewolucyjny pamiętnego 1905 roku. Po stronie tej orientacji stanął z czasem i konserwatyści galicyjscy i ostatecznie Polskie Stronnictwo Ludowe. Zaznaczyć przy tym należy, że praca PPS się

gała daleko na wschód — obejmując Wileńszczyznę, gdzie przecie przez pewien czas wychodzi naczelny organ partii „Robotnik”.

Po drugiej stronie stało stronnictwo Dmowskiego, licząc na możliwość uzyskania daleko idących ustępstw ze strony Rosji i to tylko dla Królestwa Kongresowego. Deklaracje przedstawicieli stronnictw w Dumie petersburskiej głosiły, że zajmują stanowisko państwowości rosyjskiej bez zastrzeżeń.

Starcie tych kierunków było bardzo ostre. Jak wspomnieliśmy doprowadziło w roku 1907 do walk bratobójczych, do rozlewu krwi — przede wszystkim w Łodzi.

W niedalekiej już przyszłości prądy te jeszcze ostrzej się zarysują. Orientacje na rzecz państw centralnych, których wyrazicielami skrajnymi byli konserwatyści krakowscy, oczywiście runęły z chwilą przegranej mocarstw centralnych. Orientacja rosyjska powinna była runąć jeszcze wcześniej — z chwilą wybuchu rewolucji bolszewickiej. Została wówczas jedna polityka — niepodległości bezwarunkowej. I jej reprezentant i twórca, Józef Piłsudski, stanął na czele powstającego Państwa Polskiego — powołany na to stanowisko przez opinię całości Narodu. Mógł zaś stanąć, bo w decydującej chwili miał do dyspozycji siły zbrojne — może nieliczne i słabo wyszkolone, ale stanowiące ośrodek, w którym się skupiło wszystko przydatne do walki.

Załączki zaś tego ośrodka powstały w roku 1905.



„Więc Tobie, Wielka Przeszłości...” Nie. Bynajmniej nie w tym celu piszę te słowa. Chwile przełomowe w życiu narodów stanowią winny przedmiot przede wszystkim studiów. Studiów wyteżonych, szczerych i sumiennych. *Errare humanum est*. Trzeba jednak mieć siłę spojrzenia błędem w oczy. I tylko ten, co umie to robić, zasługuje na miano poważnego polityka. Jeżeli zaś chodzi o PPS — to w tym okresie istotnie przewodziła ona tym czynnikom w Narodzie, które ostatecznie kierowały wypadkami w chwili odrodzenia narodowej niepodległości. Ona skonsolidowała te czynniki. Czy zdołała utrzymać tę rolę? A jeśli nie — to dla czego? To już inny temat. Temat nie łatwy. Odpowiedzialność zaś za to obciąża oczywiście nie tylko jej przeciwników.

Adam UZIEMBŁO

Przeгляд niemiecki

Umowy paryskie

W pierwszych dniach marca Bundestag Niemiec Zachodnich ratyfikował cztery zasadnicze umowy międzynarodowe:

- O przywrócenie suwerenności (327 głosów za, 151 przeciw),
- O stacjonowaniu obcych wojsk w Republice Związkowej (323 głosy za, 150 przeciw),
- Ustawę o przystąpieniu do Unii Zachodnio-Europejskiej (315 głosów za, 153 przeciw),
- Umowę w sprawie Saary (264 głosy za, 204 przeciw).

Trwający od czterech lat proces usamodzielniania się i remilitaryzacji Niemiec Zachodnich dobiega końca. Rozpoczyna się nowy etap niemieckiej polityki powojennej, już całkowicie niezależnej zarówno w stosunkach wewnętrznych jak i w zagranicznych. Oba te aspekty przyszłej polityki niemieckiej mają dla nas, bezpośrednich wschodnich sąsiadów, znaczenie wyjątkowej wagi, niewspółmiernie większej od naszych emigracyjnych sporów i partyjnych czy politycznych hocków-klocków, jak mawiał Piłsudski. Ostatecznie te spory dotyczą niemal wyłącznie emigrantów i to stosunkowo niewielkiej ich ilości, natomiast polityka naszego zachodniego sąsiada, trzykrotnie liczniejszego od nas, wielo- wielokrotnie mocniejszego gospodarzo i już mogącego urządzić się samodzielnie, może mieć dla przyszłości narodu i państwa polskiego decydujące znaczenie.

Wprawdzie ta samodzielność dotyczy tylko około 3/4 narodu, gdyż Niemcy zamieszkujący Zonę Sowiecką, czyli tak zwaną Niemiecką Republikę Demokratyczną (niemiecki skrót DDR) są rządzeni identycznie jak Polacy pod władzą Rokossowskiego i Bieruta. Zasadniczo różnica jest tylko jedna: 17 milionów podległych Rosji „Demokratów Niemieckich” graniczy na przestrzeni setek kilometrów z wolną politycznie dość zwartą, Niemiecką Republiką Związkową, posiada możność legalnych przejazdów w obu kierunkach swej zachodniej granicy i dużą łatwość nielegalnych ucieczek do wolnego świata.

Faktem o wzmagającym się znaczeniu pozostaje, że ponad 17 milionów Niemców i 25 milionów Polaków żyje i wzrasta w jednakowych prawie warunkach, ulega tej samej rosyjskiej przemocy, coraz szybciej zapomina o dawnych sporach i coraz jaśniej rozumie wspólnotę dążeń i celów. Dlatego też dokładna i wnikliwa znajomość wydarzeń i prądów zarówno w Niemczech Zachodnich jak i w „Niemieckiej Demokratycznej Republice”, winna stać się jednym z ważniejszych naszych zadań emigracyjnych.

Zrozumienie wspólnoty celów i losów narodu niemieckiego i jego wszystkich bliższych i dalszych sąsiadów — nie jest jeszcze w Niemczech Za-

chodnich ani popularne, ani łatwo przenikające do umysłów. Jednakże ilość naukowców, publicystów i polityków poważnie i bez resentymentów zajmujących się tym zagadnieniem stale wzrasta.

RADY ROBERTA INGRIMA

W grudniowym numerze „Der Europaeische Osten” w związku ze zbliżającą się samodzielnością przyszłej wschodniej polityki niemieckiej, Robert Ingram (*) twierdzi:

„Dla Bonn zagadnienie uwolnienia Zony Sowieckiej wiąże się nieodłącznie z problemem państw satelickich. W przeszłości tak złowrogo nadużywano słów o niemieckiej misji, że spowodowano całkowite zniszczenie najcenniejszych placówek niemieckich na Wschodzie Europy. Dzisiaj ta misja niemiecka tylko na tym polega, że imperializm sowiecki wywołał wspólnotę losów Niemców, Polaków, Czechów, Słowaków, zarówno jak i Węgrów, Rumunów i Bułgarów. Tylko we wspólnym działaniu wszystkie te narody mogą być prawdziwie wolne i bezpieczne. To jest podstawa z której winna wychodzić niemiecka polityka wschodnia”.

Kończąc swe ciekawe wywody Ingram pisze: „Uwolnienie zajętych terenów niemieckich nie jest sprawą jutra, ani pojutrze, a może być dokonane tylko w ramach globalnych wyrównań. Mamy przeto czas pomyśleć o przyszłości i jasno sobie uprzytomnić, że aby zapewnić prawdziwy ład i bezpieczeństwo — muszą być wymyślone nowe formy, dogodne zarówno dla narodów satelickich, jak i dla narodu niemieckiego.

„DER EUROPÆISCHE OSTEN”

To tytuł nowego miesięcznika wydawanego w Monachium. Z pięciu numerów, jakie ukazały się dotychczas, wygląda że pismo specjalizuje się w sprawach „satelickich” a zwłaszcza w polskich.

Publicystyczny i koncepcyjny charakter, dobry poziom, rzeczowe i zwięzłe ujmowanie spraw, śmiałe poruszanie drażliwych tematów wyróżnia to pismo w powodzi publikacji poświęconych sprawom Wschodu Europy.

Pierwsze dwa numery „Der Europaeische Osten” dały niemieckiemu czytelnikowi opis polskiego kryzysu politycznego na emigracji, utrzymany w powściągliwym stylu, stwierdzający tylko fakty i pozbawiony jakichkolwiek krytycznych lub złośliwych uwag. Opis ten wykazuje dobrą znajomość tematu. Trzeci numer, grudniowy, oprócz wspomnianego poprzednio artykułu Ingrama, dał krótką wzmiankę o przeniesieniu się kryzysu i na polski emigracyjny Skarb Narodowy. W dalszej kolejności w styczniowym numerze „Der Europaeische Osten” zajmuje się też kryzysem lecz już nie sąsiadzkim a własnym. Artykuł Herberta von Eschbach-Golde „Getto polityki wysiedleńców” rozpoczyna analizę przemian w środowiskach wysiedleńców (niemieckich). Zamiast streszczenia tego artykułu przytoczę niektóre wnioski, jakie z niego wyciągnął Helmut Langenwische-Danzig w lutowym numerze, pod tytułem „Zarys ustroju Wschodniej Europy”:

— Stwierdzenie słabnięcia woli powrotu wysiedleńców wskutek starzenia się starszego pokolenia i zakorzeniania się na Zachodzie młodszego pokolenia;

(*) Robert Ingram, obecnie obywatel USA, urodzony i wychowany w Austrii, autor bestsellera „After Hitler Stalin” oraz po niemiecku pisanych „Bismarck selbst”, „Die Rettung Deutschlands” i wielu angielskich i niemieckich publikacji.

— Fakt, że nie powstał w Niemczech masowy ruch polityczny dążący do powrotu na utracone ziemie wschodnie;

— Pomniejszanie wartości praw przez nadmierne powoływanie się właśnie na prawo, gdyż stałe oświadczenie i stwierdzenie, że utrata wschodnich obszarów stanowi potworny rabunek i łamanie praw — oczywiście w żaden sposób nie jest w możności przywrócić tych terenów Niemcom, natomiast potwierdza tylko bezsilę prawnych roszczeń;

— Jawny brak widoków, aby byli alianci mogli dojść do rewizji postanowień z Poczdamu, sprowadza wszystkie niemieckie wysiłki w tym kierunku do roli bezużytecznego hałasu zakulisowego.

Autor, podobnie jak Robert Ingram, inspirował dość wyraźnie potrzebę wspólnego z emigracjami planowania „zarysów ustroju Europy Wschodniej”.

Gdyby te inspiracje rzeczywiście doprowadziły do wolnych rozmów Niemców z przedstawicielami narodów środkowo-wschodniej Europy, rozmów nie oficjalnych i urzędowych delegatów konferencyjnych, lecz z obu stron dobrej woli naukowców, literatów i publicystów, byłby to niewątpliwie poważny wyłom w murze „przestarzałych pojęć” — a rezultat byłby chyba tylko dodatni.

DWIE INSTYTUCJE

Oprócz dwóch niemieckich państwowych Instytutów Wschodnich, stolica Bawarii gości dwie emigracyjne instytucje o podobnych celach, a mianowicie: rosyjski „Instytut badań historii i kultury Z.S.S.R.” i ukraińską „Niezależna asocjacja dosłidników sowieckiej teorii i praktyki w nacjonalnych problemach”. Instytucja rosyjska jest obficie finansowana przez „Amerykański komitet wyzwolenia od Bolszewizmu”, podczas gdy ukraińska została utworzona i jest utrzymywana przez społeczeństwo emigracyjne. Rosyjska istnieje od kilku lat, ukraińska powstała przed kilku zaledwie miesiącami. Obie instytucje stanowią dwa wrogie obozy wzajemnie się zwalczające. Wielokrotne próby doprowadzenia do zgody, podejmowane przez niektórych członków amerykańskiego komitetu — jak dotąd — speliły na niczym.

O cóż chodzi? Zagadnienie jest i proste i zawiłe jednocześnie. Prosta jego strona wynika z „pryncypialnej” postawy Rosjan nie chcących ustąpić od zasady: *Najpierw* uwolnienie od bolszewizmu, a później ewentualne rozmowy o suwerennej Ukrainie, związanej w taki czy inny sposób z Rosją; Ukraińcy natomiast żądają proklamowania przez emigrację rosyjską tezy: Uznajemy bez zastrzeżeń suwerenność Państwa Ukraińskiego, a o ewentualnej unii, sojuszu, czy tylko sąsiedzkich stosunkach, będziemy dyskutować po wspólnym uwolnieniu się od bolszewizmu.

Zawiłą stronę tego sporu postanowiła badać i wyjaśniać ukraińska „Niezależna Asocjacja”, której pierwsza publiczna impreza — trzydniowa Konferencja Naukowa — odbyła się w dniach 4, 5 i 6 marca i stanowiła niepowtarzalne wydarzenie w naukowych kołach monachijskich. Pomieszczeń udzielił Konferencji Uniwersytet Monachijski. Przy udziale ponad setki naukowców, literatów, publicystów i polityków kilku narodowości wygłoszono 14 referatów i przeprowadzono liczne dyskusje. Niektóre z wygłoszonych referatów jak „Rosyjskie historyczne korzenie bolszewizmu” profesora Jurja Bojko, „Nacjonalne i międzynarodowe w bolszewizmie” profesora O. Jurczenko, „Krach rusofilstwa w Czechach” czeskiego profesora R. Wirera i „Sowiecka nacjonalna polityka w Kazachstanie” niemieckiego antropologa dra H. Findeisena omówimy w jednym z najbliższych numerów „Kultury”.

S. W. KOZŁOWSKI

Polska w bibliografii powojennych Niemiec (1945-1953)

4

8. CZASOPISMIENICTWO.

Bibliografie druków periodycznych dzielimy zwykle najogólniej na takie, które a) jedynie rejestrują druki, oraz na takie, które b) podają zawartość druków. Wartość bibliograficzną posiadają również c) przeglądy prasowe na dany temat, oraz d) serwisy tłumaczeń artykułów zestawione pod kątem widzenia wybranego zagadnienia.

Polonica znajduje się we wszystkich tych rodzajach opracowań bibliograficznych w Niemczech powojennych. W grupie jest to kilkunasto-zeszytowa seria, formatu czwórki, pt. *Aus- und Zeitschriften über die deutschen Ostgebiete und das gewählte Berichte aus polnischen und tschechischen Zeitungen Sudetenland* (58), wydana przez Deutsches Büro für Friedensfragen in Stuttgart, kontynuowana w zmienionej formie wydawnictwem „Wissenschaftlicher Dienst” (59) Instytutu Herdera w Marburgu.

Z opracowań, w grupie c) podajemy dla przykładu „Polnische Berichte über die neuen polnischen Westgebiete” *Hermann Volle* (60) opracowane na podstawie materiału prasowego Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie, czy „Einige polnische Nachkriegsveröffentlichungen” (61), przegląd, w którym *Rudolf Neumann* omawia publikacje z zakresu gospodarki i odszkodowań wojennych, pisma *Bieruta*, *Kwiatkowskiego*, *Minca*, *Suchodolskiego* i *Tatarkiewicza*.

W zakresie opracowań zawartości czasopism, grupa b) bibliografia niemiecka poszczycić może się imponującym wydawnictwem *Reinharda Dietricha*, które obejmuje: A. Bibliografię zawartości czasopism niemieckich, B. Bibliografię zawartości

58 DEUTSCHES BUERO FUER FRIEDENSFRAGEN, Stuttgart: *Ausgewählte Berichte aus polnischen und tschechischen Zeitungen und Zeitschriften über die deutschen Ostgebiete und das Sudetenland*. Folge 1-5, 6, 7, 10, 15, 17, 22, 24. Stuttgart, 1949.

59 Wissenschaftlicher Dienst des Johann Gottfried Herder-Institutes. Marburg/Lahn, 1951-1953.

60 VOLLE, Hermann: *Polnische Berichte über die neuen polnischen Westgebiete*. Europa Archiv, Mai 1947. Str. 593-599.

61 NEUMANN, Rudolf: *Einige polnische Nachkriegsveröffentlichungen (Wirtschaftspläne-Reparationsforderungen)*. Zeitschrift für Ostforschung, 1952, Heft 1, Str. 126-128.

czasopism obcojęzycznych, oraz C. Bibliografię recenzji (62, 63). Wydawnictwo to przynosi rocznie 450.000 tytułów, wybranych z 9.000 periodyków niemiecko- i obcojęzycznych. Materiał ten, odnoszący się do blisko półsetki krajów na świecie, ułożony jest alfabetycznie według haseł rzeczowych. Polonica rozsiępane są w niej gęsto. W serii A znajdujemy je pod hasłami:

Breslau, Danzig, Oder, Oder-Donau-Kanal, Oder-Neisse-Grenze, Piasten, Polnisch, Posen-Provinz, Posen-Stadt, Schlesien, Warschau, etc. Temat „Śląsk” obłożony jest tu kilku tysiącami tytułów, temat „Granica Odry-Nysy” zawiera ich już kilkakaset. W serii B znajdujemy piśmiennictwo wybrane z polskich periodyków krajowych, które Dietrich bieżąco opracowywuje. Znajdują się między nimi: *Acta Geologica Polonica* (20 167), *Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska: A-F* (21 686 - 21 693), *Biuletyn Państwowej Służby Geologicznej* (23 478), *Demokratyczny Przegląd Prawniczy* (26 431), *Fundacja Popierania Bibliotekoznawstwa* (27 931), *Gospodarka Morska* (28 399) *Kwartalnik Historyczny* (31 133), *Nauka Polska* (32 635), *Pamiętnik literacki* (33 643), *Prace Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego* (34 150), *Przegląd Historyczny* (34 562), *Przegląd Zachodni* (34 566), *Robotniczy Przegląd Gospodarczy* (36 482), *Rocznik Slawistyczny* (36 485), *Roczniki Statystyczne* (36 487), *Życie Gospodarcze* (39 900), i inne. Polskich periodyków emigracyjnych w bibliografii Dietricha brak.

Poza tym wszechstronnym bieżącym wydawnictwem, posiadającym europejskie znaczenie i pół wieku tradycji, istnieją publikacje poświęcone jedynie poszczególnym naukom czy zagadnieniom. W Berlinie, Państwowa Komisja dla Spraw Sztuki wydaje miesięczny przegląd piśmiennictwa poświęconego literaturze i sztuce w Rosji i w krajach jej satelitów (64), zaś Instytut Marxa-Engelsa-Lenina-Stalina przy Centralnym Komitecie S.E.D., opublikował międzynarodową bibliografię publicystyki marksistowskiej za czas 1950-1952 (65). W obu tych wydawnic-

62 *Internationale Bibliographie der Zeitschriftenliteratur. Abt. A. Bibliographie der deutschen Zeitschriftenliteratur mit Einschluss von Sammelwerken... unter wissenschaftlicher Mitarbeit von Dr. T. Adamczyk und Dr. H. Kummerloewe bearbeitet und hrsg. von Reinhard Dietrich. Bd 97-106 1947/48-1953. Osnabrück, Verlag Felix Dietrich KG.*

63 *Internationale Bibliographie der Zeitschriftenliteratur. Abt. B. Bibliographie der fremdsprachigen Zeitschriftenliteratur. Neue Folge. Bd 30-34. 1949/50-1951/53.*

64 BEHRSING, Siegfried, Dr.: *Kunst- und Literaturnachrichten aus der Sowjetunion und den Ländern der Volksdemokratie. Mitteilungen über die wichtigsten Aufsätze und Artikel auf dem Gebiete der Kunst und Literatur in der periodischen Presse der Sowjetunion und der Länder der Volksdemokratie. Hrsg. Staatliche Kommission für Kunstangelegenheiten (Berlin) (1952).*

65 *Internationale Bibliographie der marxistischen Zeitschriftenliteratur. Hrsg. vom Marx-Engels-Lenin-Stalin-Institut beim ZK der SED. Juli 1950-Dezember 1952. Berlin, Dietz Verlag, 1953. Str. 47-103-120.*

twach jest sporo rzeczy polskich i o Polsce. W Niemieckiej Republice Związkowej wychodzi mnóstwo bibliografii bieżących tego typu, zawierają one jednak znikomy procent poloników, że wymienimy dla przykładu „Bibliographie der Wirtschaftspresse” wydawaną przez Archiwum Gospodarki Światowej w Hamburgu (66), „Zentraldienst für wissenschaftliche und technisch-volkswirtschaftliche In- und Auslandsliteratur” (67), czy krótkotrwałą; „Bibliographie des Monats” (68).

Najliczniejszymi wśród bibliografii druków periodycznych są bibliografie rejestrujące tytuły tych druków. W Niemczech powojennych ukazało się sporo takich list, początek zrobiły władze okupacyjne, publikując je dla celów kontroli licencji. Jedną z nich „A check-list of current serials in the United States Zone of Germany” (69), wydana we wrześniu 1946 roku podaje m. in. pierwsze licencjonowane pisma polskie w tej strefie Niemiec to jest „Tygodnik Polski”, i jego dodatek „Mały Polak”, wychodzące w Bad Nauheim. Z biegiem czasu pojawiło się na rynku niemieckim mnóstwo bibliografii periodyków, nakładu różnych spółek reklamowych, giełd księgarzy, urzędów pocztowych, wreszcie instytucji bibliograficznych, obejmowały one jednak w zasadzie tylko licencjonowane druki niemieckie.

Wydawnictw poświęconych periodykom obcojęzycznym, w rodzaju znanego po pierwszej wojnie „Gesamtverzeichnis der ausländischen Zeitschriften (G.A.Z.) 1914-1924”, czy choćby „Handbuch der Auslandspresse” zainicjowanego w roku 1918 przez *Kriegspressesamt*, w Niemczech po tej wojnie brak. Istnieją wprawdzie dwa czy trzy wydawnictwa uwzględniające częściowo prasę i periodyki zagraniczne, ale mają one charakter raczej katalogów reklamowych niż wydawnictw naukowych. Jeden z nich, wydany przez *Stamma* w Essen pt.: „Der Leitfaden für Presse und Werbung 1954” (70), zasługuje na specjalną uwagę polskiego czytelnika.

Zawiera on m. in. listę 7.426 tytułów periodyków niemieckich i obcokrajowych, uporządkowanych w trójnasób: według tytułów, miejsc ukazywania się oraz według haseł rzeczowych.

66 *Bibliographie der Wirtschaftspresse. Dokumentation wirtschaftlicher und technischer Artikel der ausländischen Fachpresse. Hamburg, Hamburgisches Welt-Wirtschaftsarchiv, 1949-1953.*

67 *Zentraldienst für wissenschaftliche und technisch-volkswirtschaftliche In- und Auslandsliteratur. Weilheim. Gesellschaft für Wirtschaftsplanung u. Betriebswirtschaft. 1949.*

68 *Die Bibliographie des Monats. Die wichtigsten Zeitungs- und Zeitschriftenaufsätze zur Literatur der Gegenwart. Red.: Walter Jens. Stuttgart, Deutsche Verlagsanstalt, 1952. Nr. 1-7.*

69 *A check-list of current serials in the United States Zone of Germany, September 1946. Prepared by the Library of Congress Mission HQ. U.S. Forces, European Theater, APO 757, U.S. Army. (Frankfurt a. M., 1946). Str. 23.*

70 *Der Leitfaden für Presse und Werbung. Hrsg.: Willy Stamma. Essen-Stadtward, 1954. Str. 993. (wyd. 7-me).*

W rozdziale V-tym na str. 602 wyszczególnione są dzienniki polskie krajowe według miejsc ukazywania się w liczbie 33, z czego na Warszawę przypada połowa. Następuje spis czasopism fachowych, ułożonych według tej samej zasady, obejmujący 263 tytuły; z tego na Stolicę przypada 221 tytułów, na pozostałe 11 miast 42 tytułów. Rewelacyjną jest lista umieszczona na stronach 358-359, zatytułowana „In Deutschland erscheinende fremdsprachige Zeitschriften” znajdujemy tam następujące tytuły wraz z podaniem miejsca ukazywania się pisma: Biuletin (!) Polski (München), Czasopismo Stomatologiczne (Danzig), Nowe Kadry (Beuthen), Ostatnie Wiadomości (Mannheim), Polak (Quakenbrück), Ster (Danzig), Sygnały (Danzig) oraz Technika i Gospodarka Morska (Danzig). Wreszcie na stronie 480-484 znajduje się spis periodyków wysiedleńców niemieckich, ułożonych według miejscowości ich ukazywania się w Niemczech. Periodyków polskich z Ameryki, Anglii i Francji przewodnik Stamma nie uwzględnia.

Nieco więcej uwagi poświęcono periodykom obcojęzycznym znajdującym się w zbiorach instytucji naukowych. Ukazały się dwa wydawnictwa z tego zakresu: „Systematisches Verzeichnis ausländischer Zeitschriften in deutschen Bibliotheken (1950-1952)” (71), oraz „Bibliographie historischer Zeitschriften, 1939-1951” (72), opracowana przez Heinricha Kramm, która w trzeciej części znajdującej się w druku przyniesie także spis polskich czasopism historycznych, znajdujących się w dawnej Pruskiej Państwowej Bibliotece w Berlinie, obecnej Westdeutsche Bibliothek w Marburg/L.

Osobliwością wśród bibliograficznych poloników niemieckich jest katalog TVAZ (Tübinger Verzeichnis Ausländischer Zeitschriften) (73), który podaje periodyki z lat 1939-1952 znajdujące się w zbiorach bibliotecznych w Tübingen.

Ze spisu tego dowiaduje się polski czytelnik, że według stanu z dnia 1. kwietnia 1952 roku w 54 bibliotekach naukowych Tübingen znajdowały się dwa polskie periodyki: „Rocznik matematyczny” i „Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej. Warszawa”.

Jan KOWALIK

(c. d. n.)

71 *Systematisches Verzeichniss ausländischer Zeitschriften in deutschen Bibliothek* (łącznie z Nachtrag I (1950-1952)). Berlin, Öffentliche Wissenschaftliche Bibliothek, 1953. Kart 240-443. 4°.

72 WESTDEUTSCHE BIBLIOTHEK (Sammlungen der ehem. Preussischen Staatsbibliothek): *Bibliographie historischer Zeitschriften 1939-1951*. Bearbeitet von Heinrich Kramm. Lfg. III.: Nordische Länder, Polen, Tschechoslowakei, Balkanländer, UdSSR. Marburg/Lahn, Verlag Akademische Buchhandlung Otto Rasch, 1954 (?).

73 *Tübinger Verzeichnis Ausländischer Zeitschriften TVAZ*. Bestände der Jahre 1939-1952 aus 54 wissenschaftlichen Bibliothek in Tübingen. Stand vom 1. April 1952. Tübingen, Universitätsbibliothek, 1953. Kart 147. 4°

Kronika kulturalna

Nagroda „Kultury”

Jury Konkursu „Kultury” (Jerzy Giedroyc, Paweł Hostowiec i K.A. Jeleński) postanowiło większością głosów przyznać tegoroczną nagrodę Marianowi Pankowskiemu za poetycki essay pt. „O Smagłej Swobodzie”. Zgodnie z regulaminem naszej nagrody literackiej, „O Smagłej Swobodzie” zostanie wydane jako osobny tom w ramach biblioteki „Kultury”. Odkładamy zatem omówienie nagrodzonej pracy do naszego działu krytycznego po ukazaniu się książki.

Pozostaje omówienie samego konkursu. Nadesłano nam szesnaście prac: osiem powieści, cztery opowiadania, dwa zbiory nowel i dwa essaye. Prócz jednego, wszyscy autorzy wybrali tematy polskie, krajowe lub emigracyjne. Nie poszukując na ogół nowych form i stylizacji, usiłowali rzetelnie dać obraz losu Polaków w ciągu ostatnich lat piętnastu. Wiele z nadesłanych utworów nosi znamiona talentu i głębokiej znajomości rzemiosła pisarskiego. Zrównoważona konstrukcja i wykończenie formy kilku powieści postawiły jury wobec trudnego wyboru.

W całości nadesłanych utworów zwraca przede wszystkim uwagę ich staranność i poprawność, ilość włożonej w nie pracy systematycznej i poziom wymagań jakie stawiali sobie uczestnicy konkursu. Są to w karierze pisarza najpewniejsze zadatki powodzenia, pozwalające również patrzeć z ufnością na następny konkurs „Kultury”.

Rękopisy nadesłane nam pozwalają może na wyciągnięcie kilku wniosków co do emigracyjnej literatury, o wiele, jak widać, bogatszej niż by na to wskazywały skromne możliwości wydawnicze. Członkowie jury nigdy nie mogli się zebrać razem, i stąd rękopisy, przesyłane pocztą z rąk do rąk, były przedmiotem obfitej korespondencji, podczas gdy autorów znaliśmy tylko z pseudonimów. Uwagi które nam się nasunęły wyjęte są przeważnie z tej korespondencji.

W wielu pracach uderzył nas duży obiektywizm zarówno w stosunku do Kraju, jak do emigracji. Daleko tu od „schematyzmu”, który obowiązuje w Polsce, ale przejawia się również,

w odwrotnej formie, w różnych wypowiedziach „oficjalnego” uchodźstwa. W dziedzinie literackiej natomiast, „sorealizm” dokonuje pewnych spustoszeń również poza granicami Kraju. Szereg nadesłanych nam, poprawnych zresztą i ciekawych powieści, stylem, monotonią, psychologicznym prymitywizmem postaci przypomina wydawnictwa „Czytelnika”. Mimo że autorzy od kilku, albo nawet od kilkunastu lat żyją zagranicą, mało znać wpływu, choćby pośredniego, współczesnej literatury zachodniej. W paru pracach przebija natomiast zainteresowanie zachodnim, zwłaszcza brytyjskim, stylem życia. Podejścia są tu zresztą bardzo różne. Od bezkrytycznej, trochę naiwnej aprobaty „British way of life”, aż po próby satyrycznej analizy. Trudno oczywiście wyciągać jakiekolwiek socjologiczne wnioski na podstawie kilkunastu rękopisów, ale zastanawia fakt że w powieściach rozgrywających się na terenie Francji czy Anglii stnieje często żywy i osobisty stosunek polskich bohaterów do cudzoziemców. Natomiast Argentyna i Australia występują raczej jako anonimowy krajobraz, na tle którego drobne grupki Polaków żyją własnym, odciętym od tubylców życiem. Środowisko niemal zawsze „inteligentkie”. Gdzieś tam jakby echo Mniszków: emigracyjne „wyższe sfery” i ich dawne splendory. Równoważy to drobna doza robotniczej „krzepy”, pełnej „narodowej tężyzny”. Zaledwie dwa albo trzy rękopisy robią wrażenie utworów „amatorskich”. Posiadają one zresztą zadatki talentu może ciekawszego, mimo braków konstrukcji i stylu, od szeregu utworów pisarzy o oczywistej rutynie i wyrobieniu.

Z ocen jury — ograniczając się do pozytywnych — przytoczymy parę zdań dotyczących rękopisów które przeszły przez pierwszą selekcję:

Kamienica nad Morzem: „Tu jest na pewno talent. Co za umiejętność stworzenia atmosfery... Może wpływ Graham Greene’a?... Ślady lektury nowelistów rosyjskich (Czechowa)...”

Antolka i Helena: „Bardzo dobra robota kobieca... poprawnie zbudowana... równa, rzetelna”.

Stracone dni: „Próba pogłębienia psychologii kobiecych rozbitków z wielkiej katastrofy...”

Ziemia Przeznaczona: „Powieść napisana starannie, z opsem środowiska. Ślady wpływów literackich angielskich (Eric Knight?)”.

Ciężkich Godzin w Miastach Wielu: „Żywe... z talentem... na nierównym poziomie”.

Brama Nicanor: „Świeżość, różnorodność zainteresowań... Linia Chamisso — Charles Nodier — Eleonora Sztyrmer — Kafka”.

Młyn Kastora i Polluksa: „Ciekawe podejście do problemów emigracyjnych... Zależność od współczesnej powieści francuskiej”.

Książki

Polska, Rosja i Zachód

Pod tym tytułem ukazała się w połowie ubiegłego roku nowa książka Wacława Lednickiego. Nie ma potrzeby przedstawiania czytelnikowi polskiemu jej autora, znakomitego rusycysty, dawnego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykładowcę obecnie na Uniwersytecie Kalifornijskim. Jego nowa książka zwraca się przede wszystkim do czytelników amerykańskich, których informuje o aspektach stosunków rosyjsko-polskich i o interferencji tych ostatnich w stosunkach między Rosją i Zachodem, w XIX i w pierwszych latach XX wieku.

Do traktowania tego przedmiotu Wacław Lednicki posiada jedną w swoim rodzaju kompetencję, zdobytą przed 30 lat badań i kilkanaście książek ogłoszonych w różnych językach. Jego wirtuozeria w analizach tekstów romantycznych i ustawianiu ich na tle wypadków współczesnych była zawsze przedmiotem podziwu znawców i przyniosła mu w różnych krajach niemało wawrzynów akademickich. Zachowując te cenione zalety, ostatnia jego książka wyróżnia się nadto szerokim zasięgiem poruszonych w niej zagadnień. Obejmując sto lat literatury rosyjskiej i polskiej, przynosi ogromny zapas dokładnej, metodycznej wiedzy literackiej, oświetlającej cały okres panowania rosyjskiego w Królestwie Polskim. Ślusznie też tytułem została życzeniwie przyjęta przez krytykę angielską, jak można wnosić z recenzji ogłoszonych przez dodatek literacki *Times*’ów i *przez New Statesman*’a.

Dla czytelnika polskiego, a być może i dla samego autora, są to ważne zapewne lecz nie najistotniejsze aspekty *Rosji, Polski i Zachodu*. Po odrzuceniu Polski do strefy wpływów sowieckiej i oddaleniu się jej za kilka granic i linii demarkacyjnych, tragiczna historia stosunków polsko-rosyjskich stała się dla czy-

(*) Wacław Lednicki. *Russia, Poland and the West. Essays in Literary and Cultural History*. London, Hutchinson, 1954. Str. 420 in 8-vo.

telników zachodnich tylko igraszką myśli, dziedziną literacką, gdzie reguły gry i zagadnienia formy wysuwają się na pierwszy plan.

Dla czytelnika polskiego historia ta jest zapoznaną częścią jego własnej formacji historycznej. Mówię „zapoznaną”, ponieważ — wbrew najbardziej rozpowszechnionemu wśród nich mniemaniu — Polacy nigdy nie znali dobrze Rosji i nie ogarniali całości stosunków polsko-rosyjskich. Ich zdolności poznawcze zamroczone były przez kompleks ofiary przemocy i jego niezliczone konsekwencje, mistykę oporu zbrojnego, mistykę męczeństwa, wallenrodyzm i różne systemy zamykania się w uczuciu obrażonej godności. Na przestrzeni stu lat panowania rosyjskiego w Warszawie niewiele znajdziemy poczynąń polskich opartych na dokładnej znajomości przeciwnika i obliczeniu jego sił.

Odzyskanie niepodległości, zdjęcie dwujęzycznych szyldów, zburzenie soboru na placu Saskim i zmycie innych śladów obcego panowania, a nawet zwycięska wojna 1920 nie przyniosły całkowitego przezwyciężenia dawnego kompleksu, który przybrał jedynie formy bardziej przewrotne i skryte. Polacy nie chcą niczego pamiętać, odwracają się nie tylko od niedawnej przeszłości, ale nawet od nowej granicy, za którą Rosja, pretendująca od dawna do roli Trzeciego Rzymu, przygotowuje jeszcze ambitniejsze plany hegemonii światowej. Oddzieleni od Rosji zaledwie papierową zasłoną traktatu czują się tak bezpieczni, jak gdyby wbrew pozorom byli narodem notariuszów, wierzących święcie w potęgę stemplowego papieru.

W tych właśnie latach Wacław Lednicki rozpoczął samotnie swą rekonstrukcję stosunków rosyjsko-polskich w okresie powstania listopadowego. Był to okres pierwszego zetknięcia się wręcz obu narodów, które dotąd znały się mało, oddzielone od siebie przez znaczne obszary i zamieszkałe na nich ludy. Pierwsze bliskie zetknięcie zostawia po sobie, jak trzęsienie ziemi, otwartą przepaść, dzielącą odtąd elity umysłowe obu narodów. Przytaczam tu za nową książką Lednickiego kilka szczegółów pozwalających wytyczyć rosyjski brzeg tej przepaści. Dowiadując się w 1834, że na wiecu, poświęconym w Brukseli pamięci dekabrystów, Lelewel cytował jego wiersze, Puszkina pisze w liście prywatnym, że wolałby zesłanie na Syberię od pocatunku Lelewela (str. 103). Ks. Wiaziemskij, który najostrejszą potęgą odę Puszkina na wzięcie Warszawy i jego diatrybę przeciw zachodnim „oszczercom Rosji”, powoduje się względami estetycznymi, sądząc że widok pana karzącego słusznie swego chłopca za beczelne domaganie się wolności nie jest stosownym tematem dla poety (str. 91). Mimo przestróg Wiaziemskiego, najślawniejsi poeci rosyjscy, ilekroć przybiorą uroczysty ton „państwowy”, wpadać będą odtąd w ślady Puszkina. Nawet Aleksander Blok, autor „warszawskiego poematu” *Wozmiedzie*, pisząc w swych *Scytach* o „uśmierzaniu zręcznych niewolnic” — *uśmirit' rabyń stroptiwych* — ma zapewne na myśli polskie powstania.

Dwa narody słowiańskie zamknęły się odtąd, jeden w kompleksie siły, drugi w kompleksie ofiary przemocy.

Wacław Lednicki obszedł cały rosyjski brzeg tej otchłani. Przejmująca samotność jego wędrówki zasługuje być może na osobne studium. Stronice jego książek mają w sobie chwilami coś pośpiesznego, gorączkowego, jak relacja świadka który widział z bliska, co inni znają tylko z tradycji i legendy.



Rosja, Polska i Zachód dzieli się na trzy grupy szkiców. Pierwsza dotyczy współczesnych Mickiewicza — Czaadajewa, Puszkina, Lermontowa i de Custine'a — oraz omawia literackie echa buntu dekabrystów. Autor porównuje obraz Rosji mikołajowskiej w pismach Czaadajewa, Lermontowa i de Custin'a z tym, jaki wywiózł z Rosji Mickiewicz, zatrzymując się na uderzających zbieżnościach i współzależnościach omawianych tekstów.

W roku mickiewiczowskim książka Lednickiego zwróci zapewne na siebie uwagę polonistów, odkrywając nieznaną dotąd dobrze zasięg wpływów Mickiewicza w Rosji. Zainteresują ich być może też kontakty polskie Czaadajewa, członka krakowskiej loży wolnomularskiej, i Lermontowa zaprzyjaźnionego z Ksawerym Branickim, późniejszym autorem francuskiej książki *Les Nationalités Slaves*.

Z tej grupy szkiców dowiadujemy się o reakcjach, jakie wywołało w elicie rosyjskiej powstanie listopadowe, o tajemniczym polonofilu, którego opisuje niedokończony wiersz Puszkina, o przyjaciółce Czaadajewa, Jekatierinie Panowej, która modliła się o zwycięstwo Polaków „ponieważ walczyli o wolność”, o wątpliwościach ks. Wiaziemskiego co do korzyści z posiadania Królestwa Kongresowego itd. Reakcje te są częściowo bardzo odmienne od urzędowo-patriotycznych wierszy Puszkina. W tej części książki ujawnia się też doniosłość, dla stosunków Rosji z Zachodem, sprawy polskiej, dzięki której Rosja zyskała sławę „więzienia narodów”.

Druga grupa obejmuje cztery szkice poświęcone Dostojewskiemu, jego stosunkowi do Europy Zachodniej, jego *Zapiskom z podziemia*, jego konfliktowi z Bielińskim i jego stosunkowi do Polaków. Ta część książki najmniej podobała się krytykom angielskim, czego można się było łatwo spodziewać, zważywszy że od pół wieku Dostojewski jest beniaminkiem krytyków i czytelników zachodnich. Czytelnicy wolni od tych modnych przesądów znajdą w książce Lednickiego wiele szczegółów nowych, zbliżeń interesujących i sądów przywracających temu zjawisku literackiemu jego właściwe proporcje.

Ostatni szkic poświęcony jest „warszawskiemu poematowi” Aleksandra Błoka, ogłoszonemu dopiero w 1921 i mniej znanemu od jego innych utworów. Lektura tego nieoczekiwanego u Błoka poematu zostawia niezatarte wrażenie. Książka Lednickiego

kiego informuje o okolicznościach, w jakich powstało *Wozmieszde* i pozwala umieścić je wśród innych utworów Błoka.

Rosja, Polska i Zachód ozdobione są 15 ilustracjami, spośród których zwraca szczególną uwagę piękny i mało znany portret Czaadajewa.



W zakończeniu chciałbym powiedzieć kilka słów pod adresem neorusycystów. Rewolucja 1917 — podobnie zresztą jak inne rewolucje — stworzyła pozory przerwania ciągłości historii, wywołując wrażenie, że Rosja dawna została zmyta bez śladu, i że na jej miejsce powstało coś innego. Stąd pojawienie się na Zachodzie nowego pokolenia ekspertów od spraw rosyjskich, których pamięć sięga jedynie początków nowej ery czyli dnia przyjazdu Lenina do Piotrogradu. Zapewne, historia rosyjska ostatnich 38 lat jest tak bogata w wypadki, że wymaga pewnej specjalizacji. Parcelacja przeszłości, zwłaszcza w naszym wieku antyhistorycyzmu, grozi jednak zachwianiem zmysłu proporcji i poczucia granic, w jakich rozgrywają się wypadki współczesne.

Przed zbytnią specjalizacją w tej dziedzinie ostrzega zresztą ciągłe odradzanie się poczucia ciągłości historii, zwłaszcza u pokoleń które same przeżyły burzliwe wypadki. Ludzie wyniesieni przez przewroty śpieszą zazwyczaj do umocnienia swej sytuacji przez powrót do tradycji poprzednich, i Rosja sowiecka nie będzie tu zapewne wyjątkiem. Wystarczy przyrzeć się referencjom i odsyłaczom Lednickiego, aby dostrzec, ile trudu zadali sobie badacze sowieccy dla utrzymania kontaktu z literaturą przedrewolucyjną.

Po zakończeniu panowania na Kremlu synów Kaukazu i innych inorodców, historia Rosji wyda się nam być może wkrótce bardziej ciągła niż dotąd. Neorusycyści znajdą wówczas w książce Lednickiego niewyczerpany zapas błyskotliwych cytatów, porównań, zestawień i reminiscencji, których tu nie przytaczam, aby nie odbierać czytelnikom świeżości odkrycia.

Paweł HOSTOWIEC

Nowości poetyckie

Pokażny tomik Juliana Dobrowolskiego (*) zawiera utwory ideologiczne, w najszerszym pojęciu tego słowa. Wiersz tytułowy *Chłopski poemat*, próbuje nam ukazać dzieje i rolę ludu polskiego, poczynawszy od Piasta.

(*) *Chłopski Poemat*, Polski Klub Literacki, Chicago, 1954.

Niestety, na kilku stronicach, autor nie potrafił „nabrać wysokości” i dał czytelnikowi zaledwie garść dyspozycji, z których każda mogłaby starczyć za argument do osobnego i rozległego poematu.

Zresztą sam wiersz nie zawsze toczy się gładko („gdy cię hetman zawołał/ hetman co suknię twą przywdział/ ...przyskoczyłeś do lawet i dział” (str. 31) i poeta nagina często fakty... do rymu, gdy pisze: „Przepili ci Sasy ziemię i kaplice/”, aby móc zrymować: „aleś schwycił kłonicę.”

Za Sasów nie brakowało kaplic, raczej szkół było za mało... Również w innych utworach przymuszony rym nie przynosi szczęścia, np. „Graj-że mazurka, graj Mariko/ niech czardasz z polonezem uściśną swe dłonie/ Czeka nas jeszcze niejedyn Rubikon” (str. 11).

Nie można pisać o Polsce w ogóle i dlatego wiersze te zatracają, niestety, prawdę i smak rzeczy prostych, dając przystęp rozlewności i tęsknej łezce („rozmodlonych pługów przenajświętsza ojczyzno”). Ilekroć jednak Dobrowolskiemu udaje się przebić przez manierę chłopskiej boguojęzyczności, ze stronic podnoszą się linie rzetelnej poezji, jak np. „kiedy pszenicą ziemię złociłem” (str. 23), lub gdzie indziej, gdy pisze: „nad asfalt droższe granatowe jałowce” (str. 22). Najlepszym osiągnięciem zbioru jest niewątpliwie fraza, będąca siedmiosłownym hymnem na cześć urody polskiej ziemi: „Nigdzie się słońce tak dumnie nie nosi...” (str. 18).



Czytając *Ziemię Trudną* (**) Czesława Bednarczyka, zdajemy sobie sprawę, że utwory te powstały na przestrzeni kilku lat. Wystarczy bowiem zestawień wiersz tytułowy (przypominający gobelinową poezję Tadeusza Sulikowskiego) z „Podwórzem”, napisanym różną zwrotką skamandrycką, aby zauważyć różnicę toku składniowego i inność dykcji lirycznej w obu wypadkach.

Fakt ten bynajmniej nie wpływa na szczerość tej liryki. Autor widzi ziemię i, co ważniejsze, umie nam przekazać swoje widzenie.

....,Nad przyzbą chodzą
bżów kiście
i sad gości kwiatami jak mlekiem
i spokój nucą kiście.”

(„Podwórze”)

albo gdzie indziej:

....,Droga polna ma ciepło wełny,
grzeje stopy szerokie,
a tuż za rowem pływa żyto płowe
po kłosy oblane mrokiem”.

(„Pejzaż”)

O ile braterski, pogodny ton tych wierszy świadczy o tym, iż zostały napisane od serca, o tyle ich słuszną oprawą formalną daje nam pewność że poezja ta nie powstała „od ręki”. Wiele utartych i wytartych zestawień musiał odrzucić poeta, aby móc powiedzieć (o ludziach oglądanych na ulicy):

....,Oto kobieta, jak opowieść pogodna
z liryki i szeleszczących kształtów...

(**) Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1954.

...”Oto dziecko — zapowiedź niepokojąca,
skrót, w którym najwięcej Boga...

Jednak piękne w początku różowym,
jak i w ostatnim tchu

księgi
rozrzucone po ulicach”.

(„Księgi”)

Nie wiadomo dokąd potoczy się wiersz Bednarczyka; w stronę śpiewnej zwrotki, czy też w stronę form swobodniejszych, gdzie rymy dozowane dyskretnie wzbogacają strój wiersza, nie szatkując go na równe kawałki. Ziemia Trudna jest tomikiem udanym. Należy oczekiwać, że na przyszłość Bednarczyk potrafi każdy wiersz nacechować swoim imieniem. Zastrzeżenie to dotyczy jedynie form warsztatowych, a nie materiału.

O ile prawie każdy początkujący poeta pisuje wiersze na tematy religijne, o tyle rzadko kiedy spotykamy w tego rodzaju utworach coś więcej niż wyblakłe, katechizmowo-odpustowe realia. Wzruszenie, często nawet szczerze, tonie w ciżbie dewocjonalistów. Autor korzysta z gotowych chwytów jak np. rozmowa oko w oko ze Stwórcą, przepisuje Biblię, bądź cytuje (uroczą zresztą) litanię loretańską. Zapomina natomiast o rzeczy najistotniejszej, o „czyhaniu na Boga” pojętego i „widzianego” własną wyobraźnią.

Czytając *Czas odkupiony* (*) Tadeusza Kęsika, jesteśmy przyjemnie zaskoczeni. Większość utworów odbiega od wyżej wspomnianego szablonu — a kilka spośród nich wzbogaca naszą lirykę religijną o nowy, żarliwy akcent.

Pomimo iż Kęsik buduje przeważnie swe strofy według klasycznego już dziś schematu skamandrytów, w ramach owej wczorajszej poetyki osiąga wiersze świeże jak np. ostatnia strofa „Do ptaków”:

*Bracia, siostry płochliwe,
Pietrzasta chmuro święta!
Uskrzydłona prefacja —
Ptaki, ptaszki, ptaszka!*

Pośród siedemnastu wyłącznie religijnych wierszy, pośród radosnych modlitw poetyckiego brewiarza, za najdojrzalszy uważam „Rozmyślenia” (str. 32). O ilez głębiej i piękniej udało się poecie rozwinąć wizję gdy zamiast huśtającej zwrotki użył wersetu. Wesele duszy i wiosnę można bowiem zamknąć w bezpretensjonalnym rytmie, ale monolog kierowany w stronę Nieznanego winien posiadać inną, bardziej medytatywną oprawę.

Ton ten znalazł poeta we wspomnianych już „Rozmyśleniach” których końcowy fragment przepisuje czytelnikom z przyjemnością:

*Daj, aby całe życie było odbiciem do skoku
W błękitny środek nieba, na trwały grunt wieczności.
Zapłodnij moje wargi dobrocią, siłą, radością
Rozłupując serca w orzech sobkostoła stwardniałe.
A moje serce małe przemień w wiadro przejrzyste,
Które w studni zamyśleń dosięgło źródła prawdy...*

(*) Rzym, Rok Maryjny, 1954.

Gdy miną lata skupienia, pustynnych postów i czuwań,
Gdy jasność w mrok się przetrze — nakreślę krzyż płonący,
A sam stanę się niczym.

A wtedy dłoń Twojej mocy uniesie w światło moją nicość
I wskrzesi mnie, i w luk
Sprężony przemieni, byś strzelać
Mógł ze mnie dobrocią.

M. P.

”Tworzywo” Melchiora Wańkowicza

Książka Wańkowicza, stanowiąca pierwszą część trylogii poświęconej polskiej emigracji w Kanadzie, jest oparta na studiach w terenie. Bohaterowie należą do „starej” emigracji (tom kończy się z wybuchem wojny w 1939 roku) ale nie stanowią grupy reprezentatywnej dla emigracji zarobkowej, bo jeden z nich, syn fornała galicyjskiego, ucieka do Kanady z rodzicami w 1900 roku przed wezwaniem do służby w żandarmerii austriackiej w Bośni, drugi to chłopak z poznańskiej Wrześni, siostrzeniec Drzymały, zbiegły przed służbą w armii pruskiej; trzeci proletariusz łódzki bojowiec P.P.S. z lat 1905-1907 zbiegły do Kanady przed policją rosyjską. Losy tych ludzi oraz ich rodzin splatają się na preriiach Kanady. W 1929 przyłącza się do nich były legionista, kawaler Virtuti Militari, ex-wójt na kresach, szukający w Kanadzie zarobku.

Stosunek starego pokolenia emigracji do polskości jest przedstawiony w książce jasno i szczerze. Ogromna większość emigracji sprzed pierwszej wojny światowej to ludzie, którzy problemów Polski niepodległej nie znają i kontaktów z tą Polską nie utrzymywali (czytanie książek czy prasy krajowej należało do rzadkich wyjątków), a wspomnienia jakie z kraju wynieśli to nędza i wyzysk. Nie wyklucza to oczywiście przywiązania do krajoznawstwa czy zwyczajów stron rodzinnych, których nosicielkami są zresztą zawsze kobiety, ale na ogół jest to polskość na poziomie wegetacyjnym. Prof. J. Makarewicz, w książce pisanej w latach dwudziestych z wrażeń z pobytu w Stanach Zjednoczonych, zwrócił uwagę, że trwanie przy języku i zwyczajach ojczystych pierwszego pokolenia emigracji stoi w pewnym związku z jego poziomem kulturalnym. I tak np. analfabeta ma większe trudności poznania języka kraju osiedlenia, a tym samym mniej jest narażony na wynarodowienie, co bynajmniej nie świadczy o jego świadomości narodowej. U emigracji późniejszej dołącza się do poczucia krzywdy społecznej wspomnienie drobnych sztykan administracyjnych, antyzambrowania po poczekalniach starostów (ile szkody narobiła administracja w latach 1918-1939 widzi się dopiero na emigracji). W pokoleniu, które przeszło przez szkołę lub wojsko polskie widać już jednak „upolitycznienie” i zrozumienie zagadnień polskich. Przed-

stawicielem tej grupy jest w książce Wańkowicza ów chorąży-legionista. Powstanie parafii polskich to dzieło najstarszej emigracji, wyraz potrzeb obywatelskich a nie narodowo-organizacyjnych. Tworzenie towarzystw świeckich i nauczanie dzieci języka polskiego to proces późniejszy i bodaj trudniejszy. Zresztą „hale” towarzystw to raczej instytucje handlowe ciągnące zyski ze sprzedaży piwa i wynajmu na ślubne bankiety. Inna rzecz, że ofiarość emigracji zarobkowej na kościoły i domy budowane często własnymi rękami przewyższa bez porównania do chwili obecnej ofiarność emigracji inteligentnej na cele społeczne i polityczne.

Drugim zagadnieniem dobrze przedstawionym przez Wańkowicza jest stosunek owej starej emigracji do rzeczywistości kanadyjskiej. Trudno wyobrazić sobie większą przepaść niż ta jaka dzieliła przed pięćdziesięciu laty wieś galicyjską lub przedmieścia Łodzi od pionierskiej Kanady z owych lat. Poza przyzwyczajeniem do ciężkiej pracy i biedy nic tych półanalfabetów nie przygotowało do życia w tak odmiennych warunkach. W o ile lepszym położeniu będzie emigracja powojenna „oblatana po świecie” i przybyła do kraju zorganizowanego znacznie bardziej na modłę obecnej Europy niż Kanada początku XX wieku tak różna od Galicji czy Królestwa. W Europie życie ściśnięte w formy stałe i zdawało się wtedy — wieczne, w Kanadzie — płynność stosunków społecznych i gospodarczych, wolność nieograniczona przepisami. Co ważniejsza inny stosunek do człowieka. W kraju nieufność wzajemna i wrodzona podejrzliwość, łagodzona na wsi starymi zwyczajami gościnności i pomocy sąsiedzkiej w wypadku klęski elementarnej; tutaj: szczodrość, często brutalna, ostra walka, ale równocześnie bezinteresowna pomoc pionierów. Odnosi się wrażenie, że inny stosunek człowieka do człowieka stanowi do dziś bodaj największą różnicę pomiędzy Europą, przynajmniej jej częścią wschodnią, a krajami Ameryki Północnej.

Zgodnie z rzeczywistością pierwsze pokolenie emigracji żyje w książce poza nawiasem politycznego czy społecznego życia Kanady. W życiu gospodarczym odgrywa natomiast rolę czynną. Pionierska praca trzebień lasu pod farmę w Manitobie, rolnictwo w Albercie i Saskachewan, praca robotników leśnych i górników oto tło życia tej emigracji. Walka z mrozem, posuchą i pożarami lasów, klęska bezrobocia i załamanie się cen rolnych w latach trzydziestych (o rozmiarach i głębi kryzysu gospodarczego w Kanadzie mało się wie w Europie) to warunki w jakich toczą się losy bohaterów.

W sumie książka przedstawia wiernie i interesująco egzotyczne warunki życia pierwszych fali emigracji do Kanady i jej zagadnienia społeczne.

Nie czuję się powołany do wydawania literackiego sądu o książce Wańkowicza, ale pozwolę sobie na parę uwag. Jeżeli prawdą jest twierdzenie, że młodzi pisarze nie potrafili często utrzymać w rytmie kompozycyjnych swego pierwszego dzieła, to Wańkowicz jest pisarzem bardzo młodym. Czegoś w tej książce nie ma! Obok rozdziałów opracowanych literacko, półsurowy materiał statystyczno-opisowy; opisy przyrody, folkloru huculskiego, odgrzewane anegdoty, dygresje autora na tematy luźno związane z treścią książki — wszystko podane w sposób opisowy, bez pozostawienia czegokolwiek domyślności czytelnika. Językoznawcy będą mieli zapewne dużo pociechy z tej książki. Obok częstych u Wańkowicza nowotworów chowu rodzinno-kresowego, znajdują w niej próby gwary wielkopolskiej, wschodniogalicyskiej i volapückeru polsko-angielskiego.

Książka zyskałaby na znacznym skróceniu. Wolno o tym pisać, bo praca Wańkowicza ma się w przyszłości ukazać w tłumaczeniu angielskim i może liczyć po przeróbce na zainteresowanie w Kanadzie.

T. S.

Pieniądz w Polsce Ludowej

Niedawno wydana praca p. H. Wrońskiego (*) o roli pieniądza w państwach demokracji ludowej jest drugą wartościową publikacją na temat gospodarki polskiej, jaka się ukazuje w języku francuskim. Wprawdzie tytuł mówi o państwach demokracji ludowej w ogóle, ale książka jest poświęcona głównie analizie polityki pieniężnej w Polsce. Nie robimy z tego autorowi zarzutu, gdyż z analizy poszczególnych etapów polityki pieniężnej w Polsce wyprowadza on wnioski ogólne o znaczeniu polityki pieniężnej w gospodarce planowej typu stalinowskiego w ogóle, a potem w rozdziale, poświęconym innym krajom demokracji ludowej, krótko uwydatnia te same linie przewodnie reform walutowych.

Mocną stroną pracy dr Wrońskiego jest gruntowna znajomość doktryny ekonomicznej stalinizmu. Na ogół brak jej autorom, piszącym na tematy gospodarki w krajach komunistycznych. Można to łatwo wytłumaczyć, gdyż właściwie teoretyczny dorobek wiedzy ekonomicznej w Rosji nie jest bogaty i ciekawy. Chociaż ekonomiści sowieccy opierają się o zdobycze ekonomii burżuazyjnej, ich pisma trzeba znać, by zrozumieć mechanizm gospodarki sowieckiej, która upodabnia się do gospodarki wielkiego koncernu monopolistycznego. Dopiero gdy chodzi o procesy, pozostawione w pewnym stopniu wolnej grze sił należy operować pojęciami zachodnimi, by ustalić związki przyczynowe między cenami, płacami itd.

Rozmiary inwestycji i konsumpcji nie są wynikiem gry sił, lecz przedmiotem planowania. Konsumpcja nie może przekroczyć poziomu, wyznaczonego produkcją artykułów konsumpcyjnych. Suma płac robotniczych wyznacza jednak rozmiary popytu na artykuły spożywcze. O ile wartość wypuszczonych na rynek towarów spożywczych po cenach oficjalnych jest niższa od sumy wydatków powstaje tendencja do zwyczajów cen. Ujściem dla nadmiaru siły nabywczej może być tak zwany rynek kolchozny. Jest to ten odcinek życia gospodarczego, w którym w pełni obowiązują reguły „gry rynkowej”, w którym po obu stronach popytu i podaży występuje jeszcze współzawodnictwo. Rynek ten, jak zwrócił uwagę Wroński, ma znaczenie marginesowe, gdyż brak na nim handlujących zawodowo. Jest to właściwie szereg drobnych rynków lokalnych, bez powiązania między sobą.

(*) *Le rôle économique et sociale de la monnaie dans les démocraties populaires*, Librairie Marcel Rivière et Cie, Paris, 1954.

Pieniądz w formie banknotu dostaje się do obrotu tylko poprzez wypłaty pracownikom i wypłaty chłopom za dostarczone państwowemu aparatowi skupu produkty, odgrywające rolę nie tak wielką, jak mogłoby się wydawać, gdyż lwia część dostaw stanowią kontyngenty przymusowe.

Silne podkreślenie różnicy między bezgotówkowymi obrotami bankowymi, stanowiącymi ogromną większość obrotu gospodarczego w systemie komunistycznym, a gotówkowym obrotem (płace — zakupy artykułów konsumpcyjnych — powrót na konta bankowe przedsiębiorstw wytwórczych względnie do budżetu państwa) pozwala autorowi lepiej wytłumaczyć mechanizm gospodarki komunistycznej. Większość nieporozumień w ocenie jej wyników, a zwłaszcza w obliczeniach podziału dochodu społecznego, wynika z niezrozumienia tej różnicy.

Polska przeszła w omawianym przez autora okresie trzy wielkie reformy pieniężne: w roku 1945, w roku 1950 i w roku 1953 — za taką reformę można uważać dekrety o zmianie cen i płac z 3 stycznia tego roku, które były wynikiem rezygnacji z próby ustalenia cen i płac na poziomie sowieckim i zrównania siły nabywczej złotego z siłą nabywczą rubla.

Każda z tych reform miała na celu „absorbowanie” nadmiaru gotówki, jaka znalazła się w ręku ludności. Stwarzając poprzez wypłaty gotówkowe siłę nabywczą, dajmy na to 100 w określonym czasie, wypuszczano na rynek dobra spożywcze, przedstawiające wartość dajmy na to 60. Powstające nadwyżki akumulowały się, zaostrzając inflację. Wzrost produkcji dóbr wytwórczych nie mógł wpłynąć na ten rozwój, gdyż dotyczył innego rynku, nie operującego pieniądzem w notach.

Oczywiście nadwyżki wypłacanych zarobków mogą być też absorbowane przez kapitalizację pieniężną, to jest składanie oszczędności bankowych lub zakup pożyczek państwowych. Autor wykazuje, że w gospodarce komunistycznej wysokość oszczędności pieniężnych nie wpływa na poziom inwestycji, co zapewne wprawi w zdumienie ekonomistów zachodnich, przywykłych do tego, że kapitalizacja pieniężna jest warunkiem inwestycji rzeczowych. W Polsce zwracano dużą uwagę na oszczędności i organizowano spontaniczne subskrypcje, ale wszystko to miało znaczenie dla rynku, posługującego się banknotami i miało na celu uporządkowanie detalicznych obrotów artykułami konsumpcyjnymi.

Oczywiście pozostaje związek pośredni między obu rynkami. Wielki wzrost produkcji artykułów inwestycyjnych nie pozostawia wolnego potencjału wytwórczego dla przemysłu konsumpcyjnego a zwiększa fundusz płac. By „usprawnić zbyt” planiści mają skłonność wyznaczać ogólną wartość produkcji artykułów spożywczych bez żadnej rezerwy a nawet nieco za nisko, po to by się towary nie zależały w magazynach. Konsument kieruje się wówczas zasadą Lopka Krukowskiego: jak się nie ma (do nabycia w sklepie) co się lubi, to się lubi (i kupuje) co się ma. W wykonaniu, wobec zasady „sztywnych priorytetów, wszelkie

niedociągnięcia odbijają się przede wszystkim na produkcji artykułów spożywczych, równowaga między nią a funduszem płac zostaje naruszona tak poważnie, że należy przeprowadzać reformę walutową dla zlikwidowania nadmiaru banknotów, oraz zmniejszać stosunek płac i cen, by zapobiec nowemu naruszeniu równowagi.

We wszystkich państwach demokracji ludowej reformy przeprowadzone około roku 1950 załamały się. Stoi to w pewnym związku z wojną koreańską (dalej usztywniającą pierwszeństwo dóbr wytwórczych z armatami, służącymi do produkowania pokoju światowego łącznie), a także równocześnie obowiązującą tendencją do zrównywania poziomu życia w krajach demokracji ludowej z poziomem sowieckim.

Dobrze, że to ukazało się właśnie po francusku, właśnie bowiem we Francji sowieckie zniżki cen wywołują sporo nieporozumień. Dały robotnikowi pewną poprawę poziomu życia w stosunku do roku 1945, kiedy był on rzeczywiście nieprawdopodobnie niski. Równocześnie w krajach demokracji ludowej reformy walutowe zahamowały wzrost skali życia, a potem cofnęły go do poziomu o wiele niższego. Dla Francji przykład demokracji ludowych byłby o wiele bardziej interesujący, toteż słusznie autor omawianej pracy uzupełnia ją danymi porównawczymi skali życia robotnika polskiego i francuskiego.

Pod wieloma względami książka dr Wrońskiego wyjaśnia więcej niż niektóre opracowania, zadawałające się reprodukcją materiału statystycznego. Analiza ekonomiczna jest tu już pogłębiona. Ale — *caeterum censeo* — jest to tylko zbliżenie się do tego, co można by uzyskać przez systematyczną analizę całości gospodarki sowieckiej w Polsce. Ot choćby jeden przykład: reforma cen i płac z 3 stycznia 1953 była połączona — bo być musiała — ze zmianami stawek podatku obrotowego. Te zmiany odbić się musiały na budżecie państwa i poziomie inwestycji. Od tej strony nikt nie podjął próby analizy dekretów z 3. 1. 1953.

Nie robię z tego zarzutu autorowi — nie wchodziło to bezpośrednio w zakres jego tematu. A poza tym — tu już trzeba pracy zbiorowej, na którą się nikt nie zdobywa: jedni nie mają środków, inni (ONZ) mogą pisać tylko to, o co się Sowiety nie zadowolą, w jeszcze innych wypadkach autorzy są skrepowani przez konieczność pisania w sposób zrozumiały dla dysponentów środków materialnych. Wiadomo, że nieco lepiej jest np. w studiach dotyczących samej Rosji. Ale jeśli idzie o poziom opracowań dotyczących demokracji ludowych — to niezadowolający na odcinku polskim stan rzeczy jest jeszcze wielokrotnie lepszy od tego zaniedbania w jakim znajdują się badania innych krajów. A wydaje się, że zachodnio-europejscy ekonomiści mogliby się z pożytkiem dla siebie i swoich krajów tymi zadaniami zająć.

W. ZAL.

Młody las

To co odbywa się obecnie w Polsce zasługuje na szczególną uwagę i to niezależnie od prognostyków o trwałości czy nietrwałości „odwilży”. Uzupełniając artykuł Mariana Pankowskiego o dziesięciolecie poezji polskiej w poprzednim numerze „Kultury”, zatrzymamy się nad kilkoma nowymi objawami.

W „Nowej Kulturze” z 30 stycznia znajdujemy zjadliwy wiersz Antoniego Słonimskiego ujmujący doskonale sytuację:

CHÓR ODWAŻNYCH

*Hej brudasy moralne, do łaźni!
Trzeba prac, kiedy pełna balia.
Bądźmy dzisiaj odważni, odważni,
Niech drży kanalia
ostrożna!
My będziemy odważni!
Bo można.*

*Byle czym nas już nie przestraszą,
I nikomu nie radzę nas drażnić.
Niech tam inni bez wazeliny wążą.
My już nie. My jesteśmy odważni,
Bo tak dziś każą.*

*W poczuciu prawdy i obowiązku
Szczepać trzeba własne zdanie,
Jeśli się je ma.
Oczywiście to nie może być bez związku
Ale ze związkiem a właściwie za.*

*A jakby się okazało, że to jeszcze nie,
My pierwsi będziemy się bić w piersi,
Aż nam spuchną sutki,
Aż nas znowu przyholubi do piersi
Obywatel minister Kultury i Sztuki.*

Ze „odważni” (do których należy też redakcja „Nowej Kultury”) nie są lwami, to jasne. Ich poczynania jednak pozwalają na uchylenie na chwilę kurtyny kryjącej pewne procesy bardziej autentyczne.

O młodzieży polskiej wypowiadano często sady nacechowane skrajnym pesymizmem. Na podstawie prac literackich tej młodzieży łatwo było dojść do wniosku że żywa substancja narodu jest płasko doktrynerska i zdemoralizowana przez szkołę obłądy. Wrzaśkliwa grupka „pryszczatych” terroryzująca starszych ciągłym odwoływaniem się do prawowierności pozwałała na jak najsmutniejsze przypuszczenia. Jeżeli kiełkowało coś w tej młodzieży, musiało być zgniecione przez walec parowy. Otóż ten sam numer „Nowej Kultury” przynosi „kolumnę młodych”. Same nieznane nazwiska — literackie debiuty (w każdym razie w stolicy; niektórzy już drukowali w pismach prowincjonalnych). Czytając te utwory ma się chwilę wzruszenia i radości. Nie, nie trzeba krzywdzić polskiej młodzieży. Jeżeli względne rozluźnienie śruby przynosi takie (nieśmiałe) rezultaty, można sobie zdać sprawę z bogactwa i potęgi uczuć nowego pokolenia. „Lecz wewnętrzny ogień sto lat nie wyziębi”. Z tych wierszy przeziara żywy człowiek, myślący samodzielnie, szukający, wahający się, niechętny gotowym formułom. I nikt z czytelników — chyba że los narodu nic go nie obchodzi — nie pozostanie na głos tego człowieka obojętny.

Może są tu niedostatki formy. Może „pozytywne” pierwiastki oznaczające niedostateczne wylamanie się z obowiązujących wzorów (choć powracający temat: miłość, dziecko, wyraża warunki w których młodzi żenią się bardzo wcześniej i w których życie rodzinne ma wielką wagę). Ale nawet w wierszach politycznych widać zastanowienie i poszukiwanie jakiegoś cieplejszego, ludzkiego tonu (Krzysztof Klinger: „Kombatant mój”, Jan Zych: „Do albańskiego inżyniera”).

Przelamaniem purytańskiego strachu przed sprawami ciała są dwa wiersze utalentowanego Jana Harasymowicza („przepraszałyśmy zgniecione fiołki na polanie”; „Kochanie, a co będziemy mieli potem, za jakiś czas? Będziemy mieli rączki! Cudowne niewinne rączki, trzepocące jak motyle, grzmiące kolośalną grzechotką, rączki, które będą nami dyrygowały od rana do nocy.”)

Całkiem poważną zapowiedzią na przyszłość jest wiersz Wandy Trąmpczyńskiej:

ZAMKNIĘCIE DRZWI

*Znam już nieco życie. I w różnych odcieniach.
Łąki szczęścia. Wertepy cierpienia. Wiem,
co to jest wstawać nocą do śwych chorych dzieci.
Ciesz się mnie każdy promyk słońca, który świeci.
Zachwyca mnie Beethoven, jak i słowik mały —
Przy mnie domy Warszawy w gruz się rozpadły.
— I znam samotne nocne rozmyślanie,
gdy jasnej myśli — w ciemności — nic już nie przesłania,
a śpiących dzieci oddechy jakby nierealne...
— Przy mnie, jakże realne: życie i śmierć. Dwa zagadnienia.*

Podobnie mi się kiedyś wyłoniła z mroku prosta i zrozumiała
 Conrada „Smuga cienia”. — Tak i dzisiaj drzę cała,
 bo wydaje mi się, że w nurt trafiam najgłębszy,
 i widzę, jakbym w życiu widziała po raz pierwszy:
 Dopiero żyjąc dojrzałe, właśnie żyjąc pełnią
 zdobywa się krok za krokiem wiedzę umierania.
 O ulgo! — Więc nie ma bezbronnego, ślepego konania!
 Śmierć przeżywamy — żyjąc. Przeżywamy tak — jak chcemy.
 Więc to jest jeden węzeł! Żyjemy — umieramy. Umieramy —
 żyjemy.

Codziennie w swej świadomości życie swe żegnamy
 i co dzień odnajdujemy — jakże stokrotniejsze!
 Bliscy nam stają się bliżsi. — I kwiaty piękniejsze.
 I w Ojczyznę jedyną wrastamy silniejsi.
 — I chcemy do końca pracować, cierpieć, być szczęśliwi...
 — Chcemy żyć — i umierać! A samo odejście —
 to będzie już tylko — zamknięcie drzwi.

W „Liście do matki” Janusz Koniusz przedstawia konflikt
 młodego komunisty. I ten konflikt nie jest wcale ujęty jako prze-
 chwałka kogoś kto wie, kto zjadł wszystkie rozumy. Dzięki
 temu że autor matkę szanuje konflikt nabiera rzeczywistej ostro-
 ści rozdarcia.

LIST DO MATKI

Nie możemy się zgodzić,
 Bo we mnie dwa sumienia,
 toczą bój bez wytchnienia,
 które z nich ma przewodzić.

Jedno moje sumienie
 twymi łzami zlepię,
 w kościołach wymodlone,
 pokorne, ciche, nieme.

Drugie moje sumienie
 w kamieniu wiedzy kute
 ostrym, partyjnym dłutem.
 Które wybrać? — Sam nie wiem.

Stąd u mnie ta udręka,
 stąd wśród nas ta niezgoda
 niby ogień i woda,
 stąd ból twój, twoja męka.

O matko, męki twojej
 nie skreślę zapomnieniem.
 Biorę drugie sumienie
 chociaż oba są moje.

Ludmiła Mariańska powtarza w pięknym wierszu „Colos-
 seum” asnykowski motyw „trzeba z żywymi naprzód iść”, ale
 inaczej, na miarę epoki ruin.

Gdy z ruin Colosseum, wspaniałej budowli,
 wzięto kamień, ażeby pobudować wille —
 czy było to jedynie aktem barbarzyństwa?

Może po to jest wielkość, aby ją rozdrobnić,
 przystosować do serca, sobie upodobnić,
 jak mury Colosseum: były też i po to,
 ażeby ktoś do domu powracał z tęsknotą,
 do domu, co oddycha, uśmiecha się, żyje.

A ruiny są smutne, jak serce niczyje.

„Odważni”, którzy teraz drukują w „Nowej Kulturze”
 młodych, bardziej samodzielnych, nie umieli sprzeciwić się zale-
 wowi demoralizującej bzdury w ciągu ostatnich kilku lat. Nie
 o nich jednak chodzi. Chodzi o siły które w Polsce są, o „młody
 las”. Szkoda jeżeli zostanie przydeptany.

N.

Notatki wydawnicze

Pięćset listów ludzi, których zwykło się nazywać „szarymi”. I dużo
 w nich szarej materii życia: oddajcie „Trzech Muszkieterów” koledze,
 Ludwik winien mi jest dziesięć franków, ciekaw jestem czy u was pogoda,
 tutaj pada. Tylko że są to listy wstrząsające. I właśnie „szary” szczegół
 urasta w nich do miary symbolu samego życia, jak na greckich nagrobkach
 wzmianka o owieczce, plastrze miodu. Są to listy członków ruchów oporu
 czternastu krajów europejskich, skazanych na śmierć przez hitlerowców pod-
 czas ostatniej wojny (*). Można by postawić tu problemy psychologiczne,
 egzystencjalne, przypomnieć ostatnie chwile bohatera noweli Sartre’a „Le
 Mur”. Są to listy do bliskich: czy nie zatajają rozpacz, czy nie forsują
 „dulce” obok „decorum” śmierci za ojczyznę? Ale, czy należy w tych
 listach szukać pełnego wyrazu świadomości ludzi, którzy — jak wszyscy

(*) „Lettere di Condannati a Morte della Resistenza Europea”, Giulio
 Einaudi Editore, Milano, 1954. Przedmowa Tomasza Manna. Wydane przy
 współpracy szeregu organizacji międzynarodowych, m. in. F.I.R. i U.N.E.-
 S.C.O. Materiały polskie zostały dostarczone przez „Żydowski Instytut His-
 toryczny” i „Związek Bojowników o Wolność i Demokrację” w Warsza-
 wie.

— często zapewne żyli z dala od jej surowego światła? Wystarczy że w Danii i we Włoszech, u młodych chłopców i u poważnych ojców rodziny, u czynnych bojowników i u biernych ofiar zbiorowych mordów znajdziemy ten sam wyraz nadziei, poczucia znaczenia i celu własnej śmierci, wiary w lepszą przyszłość świata. Jakże mocne jest przekonanie wpajane w szkole, ryte na grobach nieznanym żołnierzom, upartą legendą podpisujące historyczne ryciny: ofiara (jego, ich, wasza) nie poszła (nie pójdzie) na marne. Ludzkość przyjmuje okresowe hekatombie pod warunkiem że będą wstępem do utopii. „Jeszcze Polska nie zginęła!”, „Vive la France!”, „Eviva l'Italia!”. A nawet: „Niech żyje Dom Królewski!” czy „Niech żyje Królewski Pułk Holenderskich Indii!”. Jednostka umiera w poczuciu że zbiorowość trwa wzmocniona jej ofiarą. Przekonanie to przebija przez wszystkie niemal listy skazanych na śmierć jak konwencjonalne ale konieczne utwierdzenie się w wierze w celowość własnej śmierci. Ale te echa Ostatnich Słów Wielkich Ludzi mniej wzruszają niż drobny szczegół, który nagłe przesyła do głębi: „Niech mały Janek będzie grzeczny”; „czy pamiętasz nasz ostatni spacer, Joanno?”; „Mamo, całuję twoje spracowane ręce”. „Ofiara” przestaje być anonimowa i staje się nagle, ze swą drobną troską, miłością do Joanny, przywiązaniem do matki, ważniejsza od „Sprawy”. I trzeba dopiero z pewnym wysiłkiem przypomnieć sobie że chodzi tu o walkę z totalnym barbarzyństwem hitlerowskim, że zagrożona była wówczas nie tylko taka czy inna konwencja historii, ale sama treść ludzkiego życia. Groźba ta została zażegnana — i ot w dziesięć lat po wojnie międzynarodowe komisje, związki ruchów oporu i przedstawiciele zwyciężczych rządów wydają tę patetyczną antologię. Tymczasem w innych więzieniach, inni skazani na śmierć piszą inne listy do Joanny, wspominają matkę, każą się synom dobrze uczyć, kończą: „Niech żyje Polska!”, „Niech żyje Litwa!”. Ale te listy należą już do innej, przyszłej antologii. Kiedy zaś przyjdzie czas na jej wydanie, gromadzić się już będzie zapewne nieoficjalny materiał do następnej.

Zresztą już w tej antologii niektóre ofiary ruchów oporu zostały pominięte. W sekcji poświęconej Polsce jest trzynaście listów i wstrząsających listów Żydów — najtragiczniejszych ofiar tej wojny — i dwa listy Polaków z Armii Ludowej. Polacy z A.K., skazani na śmierć przez Gestapo, rozstrzelani i umęczeni w obozach pozostają anonimowi. Bieg historii sprawił że są to ofiary „nieoficjalne”.

Notatkę o „Lettere di Condannati a Morte” wysłałem już do „Kultury”. Kiedy dostałem do rąk książkę Michała Borwicz, „*Ecrits des Condamnés à Mort Sous l'Occupation Allemande, 1939-1945*” (Presses Universitaires de France, Paris 1954). Jest to teza doktorska z dziedziny socjologii. Jest to również, wydaje mi się, jedna z najważniejszych książek napisanych po wojnie przez polskiego pisarza. Michał Borwicz był sam skazany na śmierć i cudem tylko uniknął powieszenia. Niemal każdy list napisany przez ofiary hitlerowskich morderców miał na celu niesienie świadectwa prawdy. Ale były to świadectwa indywidualne, cząstkowe. Borwicz zebrał te świadectwa, zastosował do nich metody współczesnej socjologii. I oto praca pojedynczego człowieka, który sam przeżył to co opisuje, staje się świadectwem najpełniejszym.

Borwicz zaczyna od społecznych ram hitlerowskiej tyranii. Ghettta i obozy koncentracyjne. Metody katów i reakcje ofiar. Na tym tle, rosnąca potrzeba pisania, pozostawienia po sobie śladu. Te listy, napisy na ścianach, zakopywane rękopisy mają także znaczenie psychologiczne: człowiek skazany na śmierć stara się w nich nadać znaczenie własnemu życiu. Książka Borwicz jest tak bogata, że należy jej się osobne studium. Zawiera ona rów-

niez beczenny materiał dla historyka, właśnie dlatego że jest politycznie niezależna, że nie stara się wykorzystać ofiar które wspomina dla żadnej konkretnej „sprawy”. Borwicz myśli tylko o sprawie człowieka. Siła tego przekonania i pasja prawdy nadaje jego książce wartość wybiegającą poza literaturę i poza naukę.



Krytycy i eseści poruszający się swobodnie w dziedzinie literatury europejskiej stają się coraz rzadsi. Nie mówię o profesorach literatur porównawczych, ani o specjalistach poświęcających się literaturze jednego obcego kraju. Chodzi mi raczej o tych zapamiętałych czytelników jakimi byli we Francji Benjamin Crémieux czy Valéry Larbaud, we Włoszech Alberto Savinio. Ludzi którzy znali na wylot literaturę klasyczną ale potrafili również wiedzeni szczególnym instynktem, „odkryć” nowego pisarza niemieckiego, angielskiego, hiszpańskiego. Niemiec Ernst-Robert Curtius jest jednym z ostatnich erudytych europejskiej literatury. Ma on zresztą szczególny kult dla literatury klasycznej i średniowiecznej. Wirgiliusz i Dante są mu bliżsi niż jakikolwiek pisarz Europy „nowoczesnej”. Jego książka o łacińskiej literaturze średniowiecza jest jednym z najważniejszych powojennych wkładów do historii literatury. W „*Essais sur la Littérature Européenne*” (Grasset, Paris, 1954), zaczyna wprawdzie od Wirgiliusza, ale kończy na esejach o Hermannie Hesse, T. S. Eliocie i Toynbeem. Może dlatego że sam tak głęboko tkwi w klasycyzmie, stary Curtius, nie ulegając w najmniejszym stopniu żadnej literackiej „modzie”, ma dziwnie przekonujące wyczucie prawdziwej wagi współczesnych pisarzy, i pisarzy dawniejszych. W szkicu napisanym kilka lat temu zapowiada on że Balzac rośnie z każdym dziesięcioleciem, że postać jego zaćmi niedługo i Stendhala i Flauberta. Najciekawszy jest może esej poświęcony przez Curtiusa Eliotowi. Ceni on Eliota bardzo wysoko i zajmuje się jego poezją od trzydziestu lat z górą, od czasu „Prufrocka”. Stąd specjalnie ciekawe są jego uwagi, stawiające zasadnicze pytanie: czy Eliot jest wielkim poetą, czy też wielkim „Poeta mino”?

KAJ

Przegląd czasopism

France-Observateur, jeden z najbardziej poczytnych i wpływowych francuskich tygodników, związany jest od chwili założenia — w 1949 roku — ze skrajną lewicą. Jest to organ francuskich intelektualistów, odnoszących się często krytycznie do Związku Sowieckiego i metod partii komunistycznych, ale stojących zasadniczo na stanowisku, że można nie być komunistą ale nie wolno być „antykomunistą”. W polityce zagranicznej *France-Observateur* reprezentuje skrajne skrzydło „neutralizmu”, odnosząc się z niechęcią do każdej inicjatywy amerykańskiej i niezmordowanie protestując przeciw każdej formie europejskiego udziału w Pakcie Atlantycznym. *France-Observateur* odpowiada mniej więcej „*New Statesman and Nation*” w Anglii, z tym że stoi nieco bardziej na lewo. W kołach „antykomunistycznych” oskarża się często *Observateur* o „kryptokomunizm” lub przynajmniej „fellow

travellerskie" oblicze. Rzeczywistość jest, prawdopodobnie, jak zwykle zresztą, bardziej złożona. Niektórzy redaktorzy *France-Observateur*, jak Claude Bourdet i Roger Stéphane, są z pewnością ludźmi niezależnymi, o pewnej, naiwnej może, ale szczerzej ideologicznej koncepcji, zbliżonej do „bevanizmu” na który chcieliby może nawrócić komunistów... Inni redaktorzy, jak Gilles Martinet i H. de Gallard, uchodzą za bardziej zbliżonych do komunistów. Nawiasem mówiąc, *Observateur* posiada podobno pewne zakulisowe wpływy na politykę francuską. Podobnie jak „brains-trust” *Mendès-France’a* miał być złożony z redaktorów „*Expressu*”, prywatni doradcy premiera Edgar Faure rekrutują się rzekomo spośród redakcyjnego zespołu *Observateur*.

Observateur niewiele poświęcał dotychczas uwagi polskim sprawom. Nie liczne korespondencje z Polski poświęcone były wyliczeniu polskich powojennych „osiągnięć”, lub tłumaczeniu, że aresztowanie kardynała Wyszyńskiego spowodowane było „reakcyjnym” charakterem polskiego katolicyzmu. Tym bardziej godne uwagi są dwa artykuły *Observateur*a o polskiej emigracji. Pierwszym z nich była korespondencja z Monachium o „Radiu Wolnej Europy”. Bertrand Ferney odzywał się w niej z dużą dozą sympatii o polskim zespole „Radio Free Europe” twierdząc, że stoi on na stanowisku nieodwracalności przemian społecznych dokonanych w Polsce, oraz że broni odważnie polskich granic zachodnich. Stanowisko to miałyby, zdaniem francuskiego dziennikarza, napotykać się na ostry opór ze strony niemieckiej i sprawiać pewne kłopoty amerykańskim czynnikiem „Free Europe”. W związku z tym Ferney sceptycznie zapatruje się na przyszłość polskich audycji z Monachium po odzyskaniu przez Niemcy pełnej suwerenności.

W numerze z 10 marca ten sam dziennikarz przeprowadza wywiad z byłym premierem Mikołajczykiem, z okazji kongresu P.S.L. w Paryżu. Po przedstawieniu osoby Mikołajczyka czytelnikom *Observateur* przytacza odpowiedź polskiego polityka na zadane mu pytania. Podajemy je poniżej — w obszernym skrócie — gdyż jest to prawdopodobnie najdalej angażująca się wypowiedź jakiegokolwiek działacza polskiej emigracji:

P.: Jakie powinny być ostateczne granice Polski?

O.: Linia Odra-Nisa na zachodzie. Na wschodzie nie jest możliwy powrót do granic z roku 1939. Ludność polska została stamtąd przesiedlona... i zastąpiona przez Rosjan. Kwestia ta winna być uregulowana w ramach federacji, w której uczestniczyłaby między innymi Litwa.

P.: Czy uważa Pan za potrzebne uzbrojenie Niemiec Zachodnich?

O.: Mamy jeszcze więcej niż Francuzi powodów do obawy przed militarystką niemiecką! Jestem osobiście przeciwnikiem uzbrojenia Niemiec Zachodnich... Niestety ciągle próby Z.S.S.R. skłócenia Zachodu wykazały, że konieczny jest długotrwały sojusz między zachodnimi mocarstwami.

P.: Czy uważa Pan ten sojusz za cel sam w sobie, czy też za konieczny wstęp do negocjacji ze Wschodem?

O.: Po zawarciu sojuszu trzeba będzie negocjować ze Wschodem. Zwłoka nie jest zresztą w interesie Zachodu. Pozwoli ona jedynie Chruszczowowi na skoncentrowanie władzy w swoich rękach... i stanie się mniej skłonny do ustępstw. Trudności ekonomiczne, z którymi walczą teraz Związek Sowiecki są poważne, przede wszystkim w dziedzinie rolnictwa. Jeśli — jak przypuszczam — Sowiety nie uporają się z tym w najbliższej przyszłości, a Zachód będzie zjednoczony — nowe negocjacje mogą spowodować zgode Sowieców na wolne wybory w Polsce.

P.: Związek Sowiecki zawsze twierdził, że wolne wybory w Niemczech mogłyby mieć miejsce tylko gdyby zjednoczone Niemcy pozostały poza obszarem wszelkiej wojskowej koalicji zachodniej czy wschodniej. Czy nie myśli Pan, że ten sam problem zaistniałby w wypadku Polski?

O.: Z pewnością. Nie jest wykluczone, jeśli chodzi o Polskę, rozwiązanie typu fińskiego. Muszę zaznaczyć, że te projekty muszą być realizowane jedynie na drodze pokojowej. Niektórzy demagodzy domagają się uwolnienia Polski poprzez wojnę. Uważam osobiście, że lepiej jest odłożyć dzień uwolnienia niż być uwolnionym przy pomocy bomby atomowej.

P.: Od roku 1945 zażyły w Polsce ważne zmiany gospodarcze, jak nacjonalizacja przemysłu czy reforma rolna. Czy Pan je potępia?

O.: Powrót do wielkiej własności rolnej jest wykluczony. Ale, reforma rolna przeprowadzona przez komunistów, pojęta jako etap w kierunku kolchozów, doprowadziła do zbyt daleko idącej parcelacji i stworzenia gospodarstw karłowatych. Rozwiązaniem mogą być współdzielnie chłopskie, już przed wojną bardzo rozwinięte w Polsce. Co do ciężkiego przemysłu, to będzie musiał pozostać upaństwowiony.

P.: Co myśli Pan o działalności różnych amerykańsko-polskich organizacji, które namawiają naród polski do sabotażu?

O.: Jestem przeciwnikiem każdego aktu czynnego sabotażu. Jeśli produkcja zabierana jest przez Z.S.S.R., to fabryki stanowią polskie bogactwo. Byłoby absurdem je niszczyć. Radzimy natomiast chłopom aby dostarczali jak najmniej produktów rolnych do państwowej organizacji rozdzielczej.



Najpoważniejszy wieczorny dziennik francuski *Le Monde*, którego neutralistyczne sympatie są znane, poświęcał często obszerne artykuły Polsce. Ostatnio ukazał się tam cykl siedmiu obszernych korespondencji z Polski pióra Georges Penchenier, pt. „Polska — otwarta brama na Wschód”. Komuniści dochodząc do władzy, zostali w Polsce — zdaniem p. Penchenier — prymitywny i zabobonny naród: z jednej strony ciemną masę chłopską, z drugiej drobną grupę „arystokratów” z pałacami, końmi i służbą. Jedyna w Polsce warstwa średnia — to Żydzi, wymordowani przez hitlerowców. Według p. Penchenier wszystkim właścicielom ziemskim pozostawiono po 100 ha ziemi. 13 procent całego obszaru rolnego pozostało jako „majątki państwowe”. Mimo to każdy bezrolny chłop otrzymał „działki od 7 do 10 ha ziemi”. Pamiętając, że obszar własności rolnej, przewyższający 100 ha, wynosił w Polsce w roku 1939 około 16 % całego obszaru rolnego, pomyłka rzeczowa p. Penchenier wynosi około cztery tysiące procent (sic). Stwierdzając z dużą dozą słuszności, że forma polskiego katolicyzmu jest największą zaporą w przeprowadzeniu wszystkich zamierzeń komunistów, p. Penchenier z mieszaniną sympatii i ironii ocenia osiągnięcia reżymu w różnych dziedzinach życia. Naród polski jest przywiązany do tradycji katolickich i narodowych, komuniści polscy byli dość sprytni by się z tym liczyć, dzięki temu pozyskali sobie entuzjastyczny udział narodu w odbudowie, stworzyli przemysł źle funkcjonujący na skutek biurokratycznych przepisów, ale potężny; chłopom przemienionym w robotników dali możliwość drobnoburżuazyjnej egzystencji w przynębiających nowych osiedlach o najgorszym smaku (ale chłopie cieszą się tym jak dzieci...), młodzież pozyskała sportem i zabawami — oto w największym skrócie, wizja p. Penchenier. Odzwierciedla ona dość wiernie podświadome przekonanie wielu zachodnich obserwatorów: dla nas to życie byłoby koszmarem, ale dla tych prymitywnych wschodnich ludów to i tak duży postęp.

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

- DELACROIX (Eugène). *Lettres intimes*. Correspondance inédite. Pp. 215. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 520).
- BRISVILLE (Jean-Claude). *D'un amour*. Roman. Pp. 192. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 390).
- BISIAUX (Marcel). *Les petites choses*. Roman, pp. 262. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 550).
- ARAGON. *Les yeux et la mémoire*. Poème. Pp. 224. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 490).
- ZNANIECKI (Florian) - LEDNICKI (Wacław) - HALECKI (Oskar). *Three Columbia Bicentennial Lectures*. Str. 60. (Nakł. Polish Institute of Arts and Sciences in America, New York, 1954).
- LEDNICKI (Wacław). *Adam Mickiewicz — Poland's Romantic Ambassador to the Court of Realism*. Str. 20. (Odbitka z „Three Columbia Bicentennial Lectures”, December 1954, Pol. Inst. of Arts and Sciences in America, New York).
- BARNATZIK (H.A.). *Les esprits des feuilles jaunes*. Pp. 272 (Ed. Plon, Paris, 1955, frs 900).
- MORAND (Paul). *L'eau sous les ponts*. Pp. 236. (Ed. Grasset, Paris, 1955, frs 570).
- CURTIUS (Ernst-Robert). *Essais sur la littérature européenne*. Pp. 333. (Ed. Grasset, Paris, 1955, frs 675).
- KIRST (Hans Hellmut). 08/15. *La Révolte du caporal Asch*. Roman traduit de l'allemand par E. Bestaux. Pp. 351. (Ed. Robert Laffont, Paris, 1955, frs 540).
- RZEWUSKI (Henryk). *Pamiętki Soplicy*. Str. 291. (Nakład. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, cena 15 sh.).
- RUDEL (Yves-Marie). *La paroisse des infidèles*. Pp. 252. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1955, frs 480).

- APOLLINAIRE (Guillaume). *Anecdotes*. Pp. 332. (Ed. Gallimard, Paris, 1955, frs 780).
- WINDHAM (Donald). *Canicule*. Traduit de l'américain par E. van Rysselberghe. Pp. 238. (Ed. Gallimard, Paris, 1955, frs 500).
- REMARQUE (Erich Maria). *L'île d'espérance*. Pp. 325. (Ed. Plon, Coll. Feux Croisés. Paris, 1955, frs 780).

DOKUMENTY CHWILI

- JĘDRZEJEWICZ (Wacław). *Polonia Amerykańska w polityce polskiej*. Historia Komitetu Narodowego Amerykanów Polskiego Pochodzenia. Str. 303. (Nakł. Nat. Committee of Americans of Polish Descent, New York, 1954).
- WASIUTYNSKI (Wojciech). *Listy o ludziach*. Str. 196. (Nakł. „Myśli Polskiej”, Londyn 1955).
- Pamiętnik z okazji 35-lecia założenia Polskiego Uniwersytetu Ludowego w Domu Polskim, Philadelphia, Pa., 1919-1954*. Str. 21.
- COYOS (Rev. Père). *Ma captivité en Corée du Nord*. Pp. 217. (Ed. Grasset, Paris, 1955, frs 660).

HISTORIA

- Mémoires de Marchand*. Vol. II. *Sainte Hélène*. Pb. 435 avec 40 illustrations hors texte. (Ed. Plon, Paris, 1955, frs 1.200).

EKONOMIA

- WRONSKI (Henri). *Le rôle économique et social de la monnaie dans les démocraties populaires*. La réforme monétaire polonaise 1950-1953. Préface de Jean-Marcel Jeanneney, Prof. à la Faculté de Droit de Paris. Pp. 181. (Ed. Librairie Marcel Rivière et Cie, Paris, 1954, frs 580).

- MENDES-FRANCE (Pierre) et ARDANT (Gabriel). *La science économique et l'action*. Pp. 230. (Ed. Unesco-Julliard, Paris, 1954, fr. 600).

POEZJA

- ŁOBODOWSKI (Józef). *Uczta zadziwionych*. Str. 184. (Nakładem subskrybentów i autora, Pa-ryż, 1954).
- BUJNOWSKI (Józef). *Odsyłacz w bezsens*. Poezje. Str. 22. (Wyd. Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn, 1955).

NAUKA

- KOŚCIAŁKOWSKI (Stanisław). *Historia*. Wstęp do studiów historycznych. Str. 168. (Wyd. Polski Uniw. na Obczyźnie, Londyn, 1954).
- KUKIEL (M.). *Czartoryski and European Unity 1770-1861*. Str. 354. (Wyd. Princeton University Press, Princeton, New Jersey, USA, 1955, cena dol. 6).
- HEGEL (G.W.F.). *Leçon sur l'histoire de la philosophie*. Introduction: Système et histoire de la philosophie. Traduit de l'allemand par J. Gibelin. Pp. 340. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 750).

RÓŻNE

- STAHL (Zdzisław). *Kryzys prezydentki i droga wyjścia*. Str. 24. (Nakł. „Gryf” Publications, Ltd., Londyn, 1954).
- NIKE-NARBUTT (A. R.). *Testament Pierwszej Kadrowej*. W 40-lecie wyjazdu z Krakowa (1914-1954). Z Cyklu: Droga do Wolnej Polski. Str. 24. (Biblioteczka „Pogoni” Nr 4, Londyn, 1954).
- Fakty i dokumenty*. (Stenogram z przemówienia Prezesa Rady Min. Stanisława Mackiewicza w dniu 28 czerwca 1954 r. w Sali Rady Nar. RP. w Londynie). Str. 19. (Wydano z funduszy prywatnych, Londyn, 1954).
- LOCHTIN (Stefan). *The Soviet conquest in Central and Eastern Europe*. Str. 43. (Nakł. Polish Ex-Combatants' Association, London, 1954).

- Political Controls in the Soviet Army*. A study based on reports by former soviet officers. By V. P. Artemyev, F. Belov, I. Dmitriev, M. Erel, M. Kolossov, and N. Tuschin. Str. 93. (Ed. by Zbigniew Brzezinski, Russian Research Center, Harvard University, New York, 1954).

- O św. Mikołaju, dzieciach, zwierzętach, pasterzach i jak szli do szopki*. Baśń wigilijna, opowiedzieli Kolędnicy Wędrujący. Sześć obrazów scenicznych. Str. 54. (Nakł. Stow. Polskich Kombatantów, Londyn, 1954).

- Ricerche Slavistiche*. Vol. III. — 1954. In memoriam Enrico Damiani. Comitato di Redazione: Ettore Lo Gatto, Leone Pacini, Riccardo Picchio. Pp. 326. (Gherardo Casino Editore, Roma, 1954, lire 3.000).

- SEP-SZARZYŃSKI (Stanisław). *Historia Zielonego Wianka*. Ilustracje Jerzy Faczyński. Str. 30. Nakładem Katol. Ośrodka Wyd. „Veritas”, Londyn 1955).

- BROMKE (A.) and SYPNIEWSKI (T.). *Warsaw Rising*. The first conflict of the cold war. Str. 8. (Nakł. Tommittee of the Tenth Anniversary of the Warsaw Rising in Canada, Toronto, 1954).

- RUDNYČKYJ (Jaroslav B.). *Slavica Canadiana A. D. 1953*. (Slavistica Nr 21). Str. 32. (Nakładem Ukraińskiej Wolnej Akademii Nauk, Winnipeg, 1954).

- STANKIEWICH (John P., dr). *Et-nographical and Historical Territories and Boundaries of White-ruthenia* (Kryvia, Byelorussia). Str. 15 i mapa. (Nakł. The Francis Skoryna Kryvian (Whiteruthenian) Society of Arts and Sciences in the U. S. Inc., New York 1954).

- DURCANSKY (Ferdinand). *The International Aspects of the Slo-vac Question*. Str. 38. (Wyd. Slo-vac Liberation Committee, New York, 1954).

- OLSZEWSKI (Stanisław). *Kryzys emigracji*. Problem federacji śród-kowo-wschodniej Europy. Str. 39. (Londyn, 1955).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Kulturze” Nr. 12/86 1954 — grudzień — na stronie 80-ej, wiersz 10-ty od góry, w Kronice angielskiej, pisze Londyńczyk:

„Usamodzielnienie się Skarbu Narodowego w Stanach Zjednoczonych, uchwały Skarbu Narodowego w Brazylii, uchwały Sejmików polskich w Argentynie itd. — są przykładem odrywania się grup emigranckich od „macierzy” londyńskiej. W dziesiątkach listów które otrzymuje nasza redakcja — z zadziwiającą monotonią powtarza się zdanie: „mamy dość Londynu”.

Wzmianka powyższa umieszczona przez Londyńczyka wyraźnie podkreśla jego nieznaną terenu Argentyny i zajętego stanowiska przez zjednoczoną Polonię w Związku Polaków w Argentynie która całkowicie popiera Tymczasową Radę Jedności Narodowej, czego wyrazem jest uchwalona deklaracja ideowa na Walnym Zjeździe dnia 27 czerwca 1954 r., ogłoszona w „Głosie Polskim” Nr 2414 z dnia 2 lipca 1954.

„Walny Zjazd Związku Polaków w Argentynie skupiającego wszystkie organizacje polskie w tym kraju, stwierdza, iż Polonia argentyńska jest do głębi wstrząśnięta kryzysem, zaistniałym na najwyższych szczeblach władz państwowych.

Odmowa wyznaczenia gen. Kazimierza Sosnkowskiego następcą Prezydenta R.P. wbrew wyraźnej woli całego społeczeństwa, domagającego się wprowadzenia w życie Aktu Zjednoczenia — naraża ciągłość prawną władz państwowych na najcięższą próbę, ponieważ zgodnie z powszechną opinią kodyfikatora dotychczasowego Prezydenta R.P. wygasła z dniem 9 czerwca 1954 roku.

Walka ze społeczeństwem i lekceważenie jego woli wyrażonej jasno i wyraźnie przez ugrupowania społeczne i polityczne podrywa u swoich i obcych w znacznej mierze ten kapitał zaufania i uznania, jaki dla sprawy polskiej zdobył w świecie swą krwią i ofiarami żołnierz polski w czasie ubiegłej wojny.

Kierując się dobrem Narodu Polskiego, stwierdzamy, że zasadniczym i głównym celem działania politycznego jest odbudowa wielkiego, niepodległego i prawdziwie demokratycznego państwa, symbole zaś legalizmu należy uznać za niezbędne, o ile służą bez zastrzeżeń temu celowi.

Walny Zjazd apeluje do przywódców emigracji, a w szczególności do Pana Gen. K. Sosnkowskiego, do Pana Gen. W. Andersa i Kierownictwa Stronnictw, podpisanych pod Aktem Zjednoczenia, by w imię najwyższych interesów polskich starali się zapobiec katastrofalnym skutkom kryzysu, przystępując niezwłocznie do zwołania Rady Jedności Narodowej z uwzględnieniem składu, przewidzianego w Akcie Zjednoczenia.

Walny Zjazd stwierdza, iż Polonia argentyńska, która stale domagała się zjednoczenia politycznego, która z największą radością powitała Akt Zjednoczenia, jest równie zgodna i jednomyślna co do konieczności najszybszego wprowadzenia go w życie.

Zjazd postanawia przesłać powyższą deklarację oraz odpisy depesz do: Gen. Sosnkowskiego Gen. Andersa, Komisji Porozumiewawczej Stronnictw, Kongresu Polonii Amerykańskiej, Światowego Związku Polaków z Zagranicy oraz wszystkich ośrodków prasy polskiej na uchodźstwie”.

Równocześnie podają wyciąg z treści listu Zarządu Związku Polaków w Argentynie, skierowanego do Rady Trzech z dnia 28 sierpnia 1954, ogłoszonym w „Głosie Polskim” Nr 2423 z dnia 3 września 1954:

„W związku z pismem okólnym, podpisanym przez prezesów: Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa, Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i Światowego Związku Polaków z Zagranicy, z dnia 15 sierpnia 1954 r., oraz w ślad za depeszą z dnia 26 sierpnia 1954 r. o treści: „Helczyński, 10, Stanhope Pl. London W2. Akcję Tymczasowej Rady, zmierzającą do likwidacji kryzysu państwowego popieramy dla dobra Rzeczypospolitej Polskiej. Słowiński Prezes” — w imieniu Związku Polaków w Argentynie, w którym zrzeszone są stowarzyszenia niepodległościowe, śpieszmy zapewnić Radę Trzech i Tymczasową Radę Jedności Narodowej o naszej całkowitej solidarności i poparciu dla akcji, mającej na celu likwidację kryzysu na najwyższym szczeblu władz Rzeczypospolitej”.

Inż. Stanisław SŁIWIŃSKI,
Prezes Związku Polaków w Argentynie.



Szanowny Panie Redaktorze,

Nie chcę wchodzić w całość „Rozważań noworocznych” p. J. Mieroszewskiego, umieszczonych w Nr 1-2/87-88 „Kultury” pt. „Bilans Emigracyjny”. W artykule tym jest wiele słusznych uwag i wniosków dotyczących naszego życia, pragnę jednak sprostować jedno z twierdzeń p. Mieroszewskiego, w sprawie środowiska do którego należę.

P. Mieroszewski pisze: „W...fabrykach i zakładach przemysłowych (Montrealu) pracuje wielu polskich inżynierów i techników. Wszyscy oni doskonale zarabiają i nie biorą żadnego udziału w życiu polskim”.

Kwestia zarobków ujęta jest poniekąd słusznie. Po paru latach ciężkiej pracy i często dość bolesnej adaptacji większość techników polskich w Kanadzie dochodzi do stanowisk związanych z poborami, które umożliwiają im zaspakajanie nie tylko pierwszych potrzeb życiowych. Są oczywiście i pod tym względem wyjątki, ale o nich się nie mówi.

Należy jednak stwierdzić, że zarzut nie brania udziału w życiu polskim może dotyczyć tylko bardzo nieliczne jednostki. Są wśród nas technicy, którzy nie interesują się niczym poza zdobywaniem dolara. W tych staraniach uważają, że wszystko, co wiąże ich z polskością, jest niepotrzebnym balastem i zawadą. Zmieniają nazwiska, unikają organizacyjnego życia polskiego, nie prenumerują pism polskich, rozmawiają z dziećmi po angielsku, zapisują się do irlandzkiej lub francuskiej parafii.

Gdy chodzi jednak o ocenę ogółu, to tak samo, jak i w sprawie zarobków należy mówić o większości i to o większości przeważającej.

Technicy polscy już w roku 1941 zorganizowali Stowarzyszenie Techników Polskich w Kanadzie, które poza celami samopomocy i podtrzymywania wspólnoty koleżeńskiej ma za zadanie pielęgnowanie tradycji kultury polskiej.

Stowarzyszenie rozwija się. Liczy obecnie ponad 500 członków. Prowadzi akcję wizową, opiekuje się nowo przyjeżdżającymi do Kanady techni-

kami, organizuje zbiórki na cele kulturalne, odczyty, wieczory towarzyskie i od 10 lat wydaje regularnie miesięczny „Biuletyn”, który rozsyłany jest nie tylko do członków, ale i do bratnich organizacji technicznych na emigracji, jak np. w Anglii, Francji, Południowej Afryce, Stanach Zjednoczonych, Argentynie itp.

Stowarzyszenie jest członkiem Kongresu Polonii Kanadyjskiej i to członkiem bardzo czynnym.

Stowarzyszenie jest organizacją apolityczną i z tego względu nie zabiera głosu w sprawach politycznych, ale zachęca członków do brania jak największego udziału w życiu społeczeństwa polskiego, notując z uczuciem dumy każdy przejaw działalności w tym kierunku na łamach Biuletynu.

Pomimo apolityczności bardzo pilnie przestrzeganej przez władze Stowarzyszenia ostatni Walny Zjazd Stowarzyszenia (maj, 1954) powziął uchwałę, stwierdzającą, że Stowarzyszenie przyjmuje z uznaniem do wiadomości podписание w Londynie Aktu Zjednoczenia Narodowego i gorąco wita kandydaturę gen. K. Sosnkowskiego na Prezydenta R.P.

Ponadto Zjazd wyraził głębokie przekonanie, że postulaty Aktu Zjednoczenia będą wprowadzone w życie bez zwłoki dla dobra sprawy polskiej.

Uchwała ta przesłana była w myśl wskazań Zjazdu na ręce p. Prezydenta R.P. A. Zaleskiego, gen. K. Sosnkowskiego, Prezydium Rady Narodowej i Politycznej, do Kongresu Polonii Kanadyjskiej i do prasy polskiej w Kanadzie, która tę uchwałę podała do wiadomości publicznej.

Bardzo możliwe, że p. Mieroszewski miał co innego na myśli i użył tylko nieodpowiedniego wyrażenia, tym nie mniej będę bardzo wdzięczny Szanownemu Panu Redaktorowi za umieszczenie niniejszego sprostowania i pozostając, łącząc wyrazy szacunku i poważania

Dr J. PAWLIKOWSKI

prezes Stow. Techników Polskich w Kanadzie (1945-1953).



Szanowny Panie Redaktorze,

W swoim sprawozdaniu p. A. Muhlstein ocenia tak dodatnio „Wspomnienia Gen. de Gaulle”, oświetla tak korzystnie postać generała, ukazując same tylko światła, że w ujęciu p. Muhlsteina generał de Gaulle i jego działalność w czasie ostatniej wojny nabiera pomnikowych rozmiarów, przesłaniając prawdę historyczną.

W imię tej prawdy, pragnę dodać parę uwag.

Zarówno wódz jak i polityk muszą posiadać jedną wspólną cechę: muszą mieć za sobą (lub pod sobą) masy. Wódz lub polityk, któremu nie dano tych mas prowadzić nie jest niczym więcej, jak tylko teoretykiem strategii lub polityki. Dopiero posiadanie mas pozwala wodzowi, lub politykowi wprowadzić w rzeczywistość swoje plany. I jest tylko jeden probierz dla wodza: pole bitwy; tylko jeden probierz dla polityka: polityczna arena.

De Gaulle nigdy za sobą tych mas nie miał, nie przysługuje mu więc tytuł wielkiego wodza i wielkiego polityka.

A mas tych za sobą nie miał, gdyż, niestety, Generał de Gaulle nie rozumiał ducha dziejów Francji. Nie rozumiał czym musi być Francja w rodzinie Wolnych Narodów. Tylko wtedy Francja jest wielka, gdy jest posłuszna swej dziejowej misji. Gdy ją zdradza, przestaje być Francją. Przestaje być wielkim narodem, staje się krajem zamieszkałym przez wiele milionów małych ludzi. Zdrowy instynkt francuskich mas odczuł to — i de Gaulle był osamotniony.

P. Muhlstein nazywa „spiżowymi słowami” słowa, które raczej pasowałyby do Sartre'a niż do przywódcy Wolnych Francuzów. Przytaczam te słowa:

„W imię czego ma Francja poświęcać swoich synów w walce, która nie jest już jej walką?”

To bardzo stara melodia.

Po raz pierwszy usłyszałem ją w 1939 roku, pod tą samą melodię podłożone były słowa:

„Czy warto umierać za Gdańsk?”

Mniej więcej w rok później, latając już we francuskiej eskadrze, usłyszałem ją znów, tym razem słowa brzmią:

„Czy warto ginąć nad Stavanger'em?”

Przez kilka lat następnych nie słyszałem tej starej melodii. Latałem w eskadrze foto-rozpoznania. Eskadra należała do Royal Air Force'u, ale personel eskadry pochodził z całego świata. I ani kapitanowi Wysiekierskiemu z Warszawy, ani kpt. Wheeler'owi z Transvaalu, ani kpt. Leavitt'owi z Toronto, ani por. Skinner'owi z Barbados, ani por. Leatham'owi z Benares, ani por. Dennis'owi z Sydney, nie przyszło nigdy na myśl wyrazić pytania:

„Czy warto ginąć nad Kiel'em?”

Co prawda, nie było wśród nas ani jednego „wolnego Francuza”.

Pamiętam dość długi okres czasu gdy fotografowaliśmy porty i lotniska Północnej Afryki poczynając od Dakaru aż po Alger. Na lotniskach Maroka i Algeru stały tysiące francuskich samolotów. Każdy z nich miał za sięg wystarczający na lot do pobliskiego Gibraltaru. O ile wiem, przez cały czas trwania wojny, cztery załogi przyleciały z Afryki do Gibraltaru, by zameldować się w szeregach „wolnych Francuzów”.

W porcie Dakaru stał wspaniały „Richelieu” (nawet raczył czasem do mnie strzelać, co prawda bardzo nie celnie, za co mu jestem wdzięczny).

W Oranie stała prawie cała wspaniała, nienaruszona francuska flota. Pamiętam te dumne okręty, chlubę Francji. Pamiętam ich wspaniałe sylwetki. Pamiętam ich ogromne bandery, te kolory, o których mnie zawsze uczono, że są symbolem Wolności. Pamiętam te wspaniałe bandery — i białe obłoki dymu, gdy do nas, alianckich lotników, strzelali.

Co się stało z tą dumą Francji? Czy poszła walczyć pod generałem de Gaulle? Nie, woleli się niestawnie zatopić niż wierni tradycji „pójść na zew Wolności”. Więc cóż znaczy zdanie w sprawozdaniu pana A. M., że „Wszystkie elementy francuskich sił morskich skupiły się wokół generała de Gaulle”?

Co ich wstrzymało od pójścia *au cri de la Liberté*, od stanięcia w szeregach alianckich do walki *contre la tyrannie*?

To właśnie te „spiżowe słowa”, którymi zachwyca się p. Muhlstein.

W imię czego ma Francja poświęcać swoich synów?

Przez cały czas wojny raz tylko jeden widziałem walczących żołnierzy Francji. W Libii. Brygada Legii Cudzoziemskiej dowodzona przez generała Koenig'a. Tam nie pytano, czy warto umierać za Bir Hakeim. Tam raz jeszcze może po raz ostatni, zabłysła sława francuskiego oręża. Tam była wtedy Francja. Ta prawdziwa Francja, dziś może istniejąca tylko na swych kresach.

Ale to nie byli żołnierze generała de Gaulle'a. Generał de Gaulle był wśród nich bardzo niepopularny, ale byłem tam zbyt krótko, by poznać przyczynę niechęci.

Churchill w swych pamiętnikach wspomina, że ze wszystkich krzyków jakie musiał dźwigać w czasie wojny, najcięższy był krzyż Lotaryngii (oznaka Wolnych Francuzów). Doskonale rozumiem Churchill walczący. Mobilizował wszystkie siły wolnego świata do śmiertelnej walki. Generał de

Gaulle walczyć nie pragnął. Nie potrafił porwać do walki Francuzów. Nie miał wizji Francji, spełniającej swą dziejową misję. Był piaskiem w oczy, był kulą u nogi walczącego Churchilla. Nie umiał wyjść poza te straszliwe słowa: „Czy warto umierać?”

Nie potrafił zrozumieć, że naród, aby być wielkim, musi tak wychować swych synów, by, gdy trzeba, umierali za Gdańsk, Stavanger, La Rochelle, lub nawet za *Dien Bien Phu*.

Ostatnio daje się zauważyć ruch, mający na celu gloryfikację de Gaulle'a. O. K. jeśli to czynią Francuzi. Niech pieją hymny na cześć swego „Oporu” i wodza wolnych Francuzów. Ale czy konieczne jest, byśmy i my, Polacy, brali udział w zaciemnianiu prawdy historycznej?

Łączę wyrazy wysokiego poważania

Bolesław POMIAN-PIĄTKOWSKI



Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule o Niemczech Juliusza Mieroszewskiego w zeszycie grudniowym „Kultury”, znalazło się — obok wielu trafnych, jak zwykle u tego publicysty, spostrzeżeń — porównanie całkowicie, moim zdaniem, nietrafne. „Do tej pory, pisze p. Mieroszewski, Niemcy byli emigrantami. Pozycja rządu w Bonn nie wiele różniła się od sytuacji rządu polskiego w Londynie do roku 1945. Praktycznie biorąc, ani rząd ani kanclerz nie mogli wywierać żadnego nacisku ani na Anglików ani na Amerykanów... Jeżeli przez emigrację rozumieć polityczne ubezwłasnowolnienie w konsekwencji totalnej klęski — Niemcy byli emigrantami, którym pozwolono mieszkać na ich własnej ziemi”.

Zestawienie Niemiec Adenauera z rządem Sikorskiego w Londynie jest całkowicie chybione, pomijając już fakt, że Niemcy zachodnie pozostawały pod okupacją trzech mocarstw sojusznicznych, a zatem niedawnych nieprzyjaciół Niemiec, podczas gdy rząd polski w Londynie działał w Anglii jako sojusznik, a Polska znajdowała się pod okupacją niemiecką. Ale nawet bez tego zastrzeżenia, które wskazuje na nietrafność porównania użytego przez p. Mieroszewskiego faktem jest, że najważniejszym atutem Sikorskiego była armia polska walcząca na Zachodzie oraz armia podziemna w Polsce; Adenauer nie miał i nie ma tego atutu. Rząd Sikorskiego działał na obcej ziemi (rząd podziemny był niejako uzupełnieniem, sankcją i projekcją w przyszłość w jednej osobie); rząd Adenauera działa na własnej ziemi. Sikorski dysponował symbolami partii politycznych; Niemcy zachodnie mają doskonale wykształcone i realne życie polityczne, z wyjątkiem pełnej swobody w dziedzinie polityki zagranicznej i zbrojenia. Niemcom nie tylko „pozwolono mieszkać na własnej ziemi” — ale pozwolono im rozwijać się gospodarczo, porastać w dostatek, budować nowy przemysł, tworzyć partie polityczne, organizować życie kulturalne itd. Okupacja mocarstw zachodnich w Niemczech była okupacją przez bardzo krótki okres czasu — od roku bodaj już 1947-go (a może jeszcze wcześniej) stała się raczej tym, co Francuzi określili doskonale mianem „la présence française en Allemagne”. Okupacja ta stała się bardzo szybko prawdziwym dla Niemiec zachodnich błogosławieństwem: oszczędzała im kłopotów jeżeli chodzi o obronę kraju, osłaniała ich przed Rosją. Fakt, że Niemcy nie musiały się zbroić przyczynił się ogromnie do niebywalej prosperity niemieckiej, która poza tym jest funkcją

fanatycznej „*Wille zur Arbeit*” Niemiec powojennych jak i liberalnej gospodarki.

Nie można w żaden sposób nazwać sytuacji polityki niemieckiej ostatnich lat trzech „ubezwłasnowolnieniem”. Pozycja Adenauera w tym czasie umocniła się niebywale; bierze on udział w naradach międzynarodowych, jest bodaj głównym architektem planowanej unii zachodnio-europejskiej, bardziej europejskiej w planach federacyjnych aniżeli Francja, która zrodziła tę światłą myśl i potem się jej przelekała. Jeżeli zestawić te polityczne dokonania i zdobycze Adenauera ze zdobyczami rządu Sikorskiego i jego następców, to nie trudno się będzie zorientować gdzie znajdują się gracje bardziej szczęśliwej i skutecznej. Pozycja rządu polskiego w Londynie spadała stale od roku 1941 czyli od zawarcia sojuszu anglo-sowieckiego; Adenauer stale rośnie od lat czterech. Nasza droga biegła od klęski do klęski — Niemiec od klęski do sukcesu.

To tylko parę spostrzeżeń na marginesie jednego nietrafnego porównania. P. Mieroszewski pisze, że zna „Niemcy i Niemców od wielu lat”. Nie wątpię w to, ale pozwalam sobie zauważyć, że w jego artykułach zarówno o Niemczech czy o Stanach Zjednoczonych, uderza mnie wiele teoretyzowania publicysty, który nie zwiedza terenów, o których mówi. Dla publicysty autopsja jest niezastąpioną koniecznością i nie uzupełni jej żadna lektura. Znam Niemcy od roku 1934 kiedy zacząłem moje terminatorstwo publicystyczne wyprawami do Niemiec; przebywałem tam niemal trzy lata do roku 1937. Od roku 1946 byłem tam co roku, z wyjątkiem lat 1951, 1953. Napisałem o Niemcach setki artykułów po angielsku i po polsku, wygłosiłem na ten temat dziesiątki odczytów po angielsku w czasie wojny i po wojnie, popeliłem nawet kilka książek pisanych tak pod własnym nazwiskiem jak i pod pseudonimem właśnie o Niemczech; a jednak uważam, że trzeba, aby mieć wyczuć spraw niemieckich, jeździć tam stale. Podobnie, ażeby pisać o Stanach Zjednoczonych trzeba tam jednak pojechać — chociażby raz. Publicystyka jest kosztownym zajęciem, ale na to nie ma rady.

Zbigniew GRABOWSKI

Londyn.



Szanowny Panie Redaktorze !

Chciałem rozumieć spór londyński, wyrobić sobie o nim obiektywne zdanie. Czytam więc prasę polską, zarówno miejscową, jak i zamorską. Czym więcej czytam, tym ciemniej w głowie. Rezygnuję ze zrozumienia prasy. Przerzucam kartki historii i wnet sprawa staje się jasna : Kryzys londyński jest może zjawiskiem dziwnym, lecz w każdym bądź razie nie nowym.

Od wygaśnięcia dynastii Jagiellonów Polska nierządem stoi. Dziedziczość tronu została obalona. Chciano swobody w wyborze króla. Ideałem bowiem możnej szlachty był król bez cienia władzy, bez prawa zbierania podatków. Na królu jednak ciążył obowiązek obrony granic i porządek wewnętrzny. Anarchia, bałagan, zwane delikatnie „swobodą” lub „złotą wolnością” nie tylko rozwieliły się ale uważane były przez szlachtę za jej naicenniejszy klejnot. Pojawia się nawet otwarta zbrodnia przeciw Ojczyźnie: Zborowscy, Radziejowscy, Radziwiłłowie, Ponińscy, Kossakowscy znoszą się z obcymi państwami, paktują z obcymi, knują przeciw Rzeczypospolitej. Ustala się nawet zwyczaj że takie znoszenie się z obcymi jest niekaralne. Były wprawdzie próby naprawy zła, przywróceniaładu państwowego... Zaw sze bezskuteczne. Był więc Batory, który swymi dążeniami ścigał na siebie zajądłą nienawiść szlachty. Krzyczano, że dąży do samowładztwa. Obronił

go kanclerz Jan Zamoyski swoją elokwencją i swoim ramieniem. Niestety Stefan Batory rządził zbyt krótko, by jego wysiłki mogły pozostawić trwały skutek. Był Jan-Kazimierz, który chciał przywrócić dziedziczość tronu, dać prawa mieszczaństwu, wziąć w obronę stan chłopski. Rozległy się krzyki, że dąży do samowładztwa i burzy porządek społeczny. Hetman Lubomirski nie poszedł śladami Jana Zamoyskiego. Przeciwnie, stanął na czele zbrojnego rokoszu i zmusił króla do zaniechania reform. Półtora wieku później była Konstytucja 3-go Maja, która realizowała wszystkie postulaty Jana-Kazimierza. Przywracała władzę królowi, dawała mieszczaństwu wpływ na sprawę Państwa, brała w obronę chłopów. Restytucja ładu państwowego posunęła się tak daleko, że zatruwani zwolennicy „złotej wolności” wytartymi już ścieżkami biegli po pomoc do obcych. Pomoc przyszła, zwolennicy „swobody” zwyciężyli, lecz Ojczyzna została pogrążona w półtorawiekową niewolę. Długo, a gorzko rozważali Polacy przyczyny swej niewoli. Doszli do zgodnych i słusznych wniosków: wolna elekcja i pacta conventa zgubiły Polskę. Najgorsza dynastia byłaby lepsza od najlepszych królów wybieralnych, ale obezwładnionych umowami. Ponad wszystko zostało potępione prywatne znoszenie się z obcymi państwami, wysługiwanie się obcym. Kościuszko np. żądał kary śmierci na takich co na własną rękę rozmawiają z obcymi państwami, chociażby te państwa były przyjacielskie. Chciał chyba przez to powiedzieć, że takie rozmowy zawsze przynoszą nieobliczalne szkody. Niemniej Konstytucja 3-go Maja została oceniona jako wyczyn wielkiego patriotyzmu i wielkiego rozumu.

Idee tej konstytucji przyświecały Polakom w walce o niepodległość. Z chwilą jednak opadnięcia kajdan niewoli Polacy albo zapomnieli wszystkie nauki w niej zdobyte, albo nie potrafili zastosować ich w praktyce. Dosyć że uchwalona konstytucja dla nowoodrodzonego Państwa, jak ją określili niektórzy (do nich należał J. Piłsudski i Marian Zdziechowski) miała dużo wspólnego z dawną „złotą wolnością”, ale niewiele z Konstytucją 3-go Maja. Według tej konstytucji, zwanej Marcową, prezydent Państwa, jak dawniej król, był bardzo ograniczony w sprawowaniu władzy, chociaż ciążyły na nim wielkie obowiązki.

Dopiero 16 lat później zdobyli się Polacy na nową konstytucję, która dawała prezydentowi większą władzę i szersze kompetencje. Była to tak zwana konstytucja Kwietniowa, obowiązująca w zasadzie do dzisiaj. Jednakże już w początkach ostatniej wojny dokonany został wyłom w konstytucji Kwietniowej. Mianowicie powstały tak zwane umowy paryskie, które ograniczały władzę prezydenta na rzecz niektórych działaczy partyjnych.

Obecnie jesteśmy świadkami dalszego ciągu parcelacji władzy prezydenta na osoby, które pragną się z nim władzą podzielić. Jednocześnie torpeduje się i bojkotuje wybory powszechne, by sprawując władzę, nie ponosić odpowiedzialności przed nikim, by nie dać masom wpływu na losy Państwa. Robione są również wysiłki, by pewnych ludzi, którzy na własną rękę układali się z obcymi, obcym państwom służyli, uznać za pełnowartościowych obywateli, ba, zapewnić im wpływ na rząd Państwa. Słowem, dąży się do tego, by Państwo zalegalizowało działalność przeciw sobie.

Niektórzy publicyści emigracyjni doradzają zniesienie legalizmu. Ci widocznie w samobójstwie widzą rozwiązanie wszelkich trudności. Są to groźne objawy patologiczne.

Reasumując: Wróciliśmy na historyczną drogę anarchii i destrukcji państwowej i zrobiliśmy na niej milowy krok naprzód. Jesteśmy więc w zgodzie z naszymi tradycjami politycznymi. Nie jesteśmy natomiast w zgodzie z naszym celem: Wolną i Niepodległą Polską.

Z poważaniem

W. K.
(Australia)

Szanowny Panie Redaktorze,

Dopiero dzisiaj doszedł mnie nr 1/87-2/88 „Kultury” z moją „Pieśnią o Powstaniu”, gdzie zauważyłem pewne nieścisłości.

W notatce „Kultury”, poprzedzającej wiersz, określony zostałem jako redaktor dziennika radiostacji AK „Błyskawica” w czasie Powstania. Wy-maga to wyjaśnienia, że naczelnym redaktorem (i kierownikiem) „Błyskawicy” był Stanisław Zadrożny (pseudonim „Pawlicz”) który powierzył mi tylko redakcję „dziennika radiowego” to jest codziennego serwisu z terenu walczącej Warszawy. Prostuje to, aby zakończyć krążące pogłoski, jakoby był redaktorem to jest kierownikiem „Błyskawicy”.

W końcowej fazie Powstania, wyczerpany gorączką, byłem już tylko gościem w gmachu Ericssona przy alejach Ujazdowskich 47 (tj. w ostatniej siedzibie „Błyskawicy”). Wiersz rzeczywiście powstał tam, wystukany na maszynie radiostacji AK. Oryginał — na papierze firmowym *Ericsson Polnische Elektrizitäts-Aktiengesellschaft, Warschau, Siegestr. 47* — przetrawił rewizje obozów jenieckich; mam go tu, w Australii. Mylnie jednak jest stwierdzenie „Kultury” na str. 240, że „Pieśń” was broadcast from Warsaw on the last day of the Rising. Wiersz ten nigdy nie był nadany przez radio. Prawdopodobnie „Pieśń” pomyłono z innym moim wierszem, pt. „Żądamy amunicji” (a nie „My chcemy amunicji”, jak mylnie podała „Kultura”), który rzeczywiście był kilkakrotnie nadawany przez „Błyskawicę” i powtarzany przez radiostacje na Zachodzie.

„Pieśń o Powstaniu”, pisana pod bombami, ma poważne usterki formalne. Poetyckich doliżywań formy poniechałem, chcąc by wiersz pozostał tym, czym był i jest: eksplozją uczuć rwących nas w kawale — tam, w Warszawie. Po wojnie wiersz byłby doczekał się wcześniejszej publikacji, gdyby nie bezwzględne, nieraz bezcelne, żądania pp. redaktorów, bym wiersz wykastrował, oddał pokłon prawowitemu rządowi, trzasnął kopytami przed generalicją, pochwalil Ojca św., westchnął nad tradycją, szczerbce i odwiecznym dziedzictwem, i tak całość zakłajstrował, by pasowała na doroczny użytek pp. obchodowiczów. W jednym wypadku (byłem wtedy jeszcze w mundurze) major-redaktor szantażował mnie „konsekwencjami”; w innym — zadzwoniono w specjalny dodatek, rodzaj dietki od posiedzeń. Proszę Pana Redaktora o opublikowanie tego, co tu piszę: list ten bowiem niech również przyczyni się do wiedzy o najnowszej historii Polski; dzieje Powstania, nie tylko wierszowane, są wypaczane nie tylko w sowieckiej Polsce.

„Pieśń o Powstaniu”, przez dziesięć lat odrzucana, po raz pierwszy ukazuje się — w nienagannej całości, bez śladu nożyc samozwańczych cenzorów — dopiero w „Kulturze”. Jestem dumny, że właśnie w „Kulturze”.

Prawo do pierwszeństwa druku „Pieśni” oddałem był jednak „Głosowi Polskiemu” w Toronto (Kanada), dokąd wiersz posłałem na konkurs poetycki, gdzie zdobył „specjalne wyróżnienie” (w gotówce równe pierwszej nagrodzie której nie przyznano). „Głos” zapowiedział był druk „Pieśni” w całości — zapowiedzi nie wypełnił jedynie z powodu przedterminowego ukazania się wiersza w „Kulturze”. Niech mi wolno będzie — poprzez łamy „Kultury” — przesłać „Głosowi” wyrazy mego szczerzego żalu, że, w dalekim australijskim buszu, odcięty od dobrodziejstw komunikacji, nie zdołałem zapewnić pierwszeństwa temu równie meżnemu wydawnictwu.

Mocny uścisk dłoni, łączę.

N.S.W., Australia.

Zbigniew JASINSKI

LIST DO REDAKCJI

...Z prawdziwym wzruszeniem przeczytałem artykuł Pankowskiego, w ostatnim numerze „Kultury” o „moralności socjalistycznej” o „dyskretnym” falszowaniu tekstów Zawodzińskiego, o cytowaniu wierszy Miłosza bez podawania jego nazwiska.

Zdaje mi się, że w prasie emigracyjnej trafiamy czasami na podobne metody choć stosowane anarchicznie, bez tamtej „dogmatycznej” systematyczności. Ze tego rodzaju metodę należy piętnować to jasne ale przede wszystkim należy pilnować by się nawet cień tych obyczajów nie zakradł do własnego domu — do „Kultury”.

Przy omawianiu głosów prasy o mojej wystawie wspomniany jest artykuł Ulatowskiego w „Preuves” (bez żadnego porównania najczujniejszy i najinteligentniej krytyczny ze wszystkich które się o tej wystawie ukazały). Podany jest bez nazwiska autora, czy i tu nie zagrała, tępiona słusnie o parę stron dalej przez Pankowskiego, „moralność socjalistyczna”?

Józef CZAPSKI

JOURNAL of CENTRAL EUROPEAN AFFAIRS

Contents — April 1955

THE GERMAN-POLISH NONAGGRESSION PACT OF 1934

Zygmunt J. Gąsiorowski

THE SOCIALIZATION OF AGRICULTURAL MARKETING
IN CZECHOSLOVAKIA

Frank Meissner

COMMUNISM AND THE NATIONAL QUESTION
IN YUGOSLAVIA

Joseph Frankel

LITERATURE ON THE MARXIST MOVEMENT
IN YUGOSLAVIA (1872-1944)

Ivan Avakumovic

NOTES

BOOK REVIEWS

RECENT PERIODICAL LITERATURE

Published Quarterly at the University
of Colorado, Boulder, Colorado

S. HARRISON THOMSON, Editor

Yearly Subscription: \$ 5.00

Postage outside US: \$ 0.25

Single Copies: \$ 1.50

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Czesław MIŁOSZ a visité le camp de Valka en Allemagne occidentale où l'on interne les fugitifs de l'Est européen, auxquels des commissions allemandes ont refusé le statut de « réfugiés politiques ». Il expose les conditions désespérées de leur existence et demande une révision de la Convention de Genève sur les réfugiés.

En marge du II^e Congrès des Ecrivains Soviétiques, Jozef LOBODOWSKI analyse un poème d'Alexander Tvardovski, ex-rédacteur du *Novy Mir*, qui expose, avec une surprenante sincérité, la situation de l'écrivain soviétique.

J. HORZELSKI se propose dans son essai de situer le rôle de la philosophie contemporaine. Il considère le psychologue comme le double nécessaire du philosophe.

On parle beaucoup en Pologne de « sincérité » littéraire. Le *Journal* de Witold GOMBROWICZ pourra peut-être démontrer que sincérité et liberté sont indivisibles.

Kultura présente une sélection de poèmes de Jerzy PIETRKIEWICZ : vingt ans d'une création consciente, d'un dépouillement progressif.

L'économiste Alfred ZAUBERMAN pense que la Pologne demeure, malgré les estimations officielles, un pays surpeuplé.

Jerzy MIEROSZEWSKI étudie les problèmes de politique internationale sous le signe du contrôle des armes atomiques.

Le socialiste Adam UZIEMBLO tâche de dégager l'histoire de la révolution de 1905 en Pologne d'interprétations tendancieuses qu'on y a attachées.

Une chronique anglaise, une chronique allemande et une abondante section de critique littéraire complètent ce numéro.

ENGLISH SYNOPSIS

Czesław MIŁOSZ reports on his visit to Valka Camp in Western Germany. Fugitives from Eastern Europe whom the Germans refuse to recognise as political refugees are interned there. Miłosz exposes the appalling and hopeless condition of their existence. He appeals for a revision of the Geneva Convention on refugees.

Jozef LOBODOWSKI quotes a poem by Alexander Tvardovski, the former editor of *Novy Mir*, which exposes, with surprising sincerity, the writer's condition in Soviet Russia.

J. HORZELSKI endeavours to situate the limits of contemporary philosophy. The modern philosopher can move forward only in conjunction with the psychologist.

Much is being said in Poland, about the need for «sincerity» in literature. Witold GOMBROWICZ's Diary is perhaps a convincing argument for the indivisibility of sincerity and freedom.

Kultura presents a selection of Jerzy PIETRKIEWICZ's poems: twenty years of coherent development.

Alfred ZAUBERMAN, the economist, considers that, in spite of official statements, Poland is still an overpopulated country.

Jerzy MIEROSZEWSKI considers that atomic control is the key problem of international affairs.

Adam UZIEMBLO, a Polish socialist, throws a new light on the 1905 revolution in Poland.

Letters from England and Germany, and a section of literary criticism complete the present issue.

PREUVES

REVUE MENSUELLE LITTÉRAIRE ET POLITIQUE

publie dans son numéro d'avril
LA FRANCE DEVANT LE PROGRES

RAYMOND ARON : Les intellectuels et l'utopie; J.-F. GRAVIER : L'essor intégral de la société française; HERBERT LUTHY : Bourgeoisie et «mobilité sociale»; LOUIS MERCIER : Syndicalisme et «contre-société».

Une grande nouvelle de
DINO BUZZATI
LA MORT DU DRAGON

THIERRY MAULNIER : Paul Claudel.
Le numéro de 104 pages, hors-texte : 180 fr.
PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8^e).
C.C.P. 178-00 Paris.
Un ancien numéro sera envoyé gracieusement
sur demande comme spécimen.

Korespondent londyński „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-(IV^e).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 2^e Trimestre 1955

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S. & O.)
Telefon: Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vanderkindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycka, rua Guará 139, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 ^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Janique Trading Co., 835 Queen St. W. Toronto 3, Ont.; St. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; H. R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybała, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 700 Queen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 208, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 13, Gablonzerstr. 7/I	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		15 kor.	28 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, „Gryf Publ.”, 615 Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 1818 No Sierra Bonita Ave., Hollywood 46, Calif.; S. Dziarczykowski, 3216 W. 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 27, Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; T. Konopacki, 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; S. Sokolowski, 2719 E. Indiana St., Philadelphia 34, Pa.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka + 50%)

Nowa książka

CZESŁAWA MIŁOSZA

ZDOBYCIE WŁADZY

(PRIX EUROPEEN 1953)

Jako IX tom Biblioteki „Kultury” ukazała się głośna książka Czesława Miłosza, która w przekładzie francuskim („Prise du pouvoir”) zdobyła „Nagrodę Europejską”.

W ciągu niespełna dwóch lat „Prise du pouvoir” doczekała się przekładów na osiem języków.

„Zdobycie władzy” jest pierwszym wydaniem w języku polskim. Książka liczy 160 stron. Cena egzemplarza: frs 650 (13 sh., 2 dol.).



Poprzednio w „Bibliotece Kultury” ukazały się następujące książki Czesława Miłosza:

ZNIEWOLONY UMYŚŁ

Stron 240. Cena egz.: 500 frs, (10 sh., 1,75 dol.)

ŚWIATŁO DZIENNE

Stron 160. Cena egz.: 350 frs, (7 sh., 1 dol.)



DOLINA ISSY

Po zakończeniu druku w odcinku „Kultury” ukaże się w wydaniu książkowym, w *ograniczonym nakładzie*.

Zamówienia i przedpłaty (700 frs, 14 sh., 2 dol.) można już zgłaszać do Administracji „Kultury” i do przedstawicieli.